- Sensacyjne wspomnienia piłkarza „Spartaka" — str. 10
- Okradał bogatych i pomagał biednym — str. 6
- Życie proroka Muhammada str. 4
- Czy apteki będą prywatne? str. 6
- Okręty i porty Archipelagu str. 11
- Czy prezydent dokona cudu? str. 3

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NR 47 (1651) ROK XXXII 19 LISTOPADA 1989 ROKU CENA 300 ZŁ

Traktat Wersalski — początek nowej wojny (1)

Koniec dziewiętnastowiecznej Europy

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1. 28 czerwca 1914 roku w Sarajewie

Tego dnia na moście w Sarajewie serbski student Gawryło Princip zastrzelił następcę tronu Austro-Węgier Franciszka Ferdynanda i jego żonę Zofię. Strzały w Sarajewie uznaje się za powód wybuchu pierwszej wojny światowej. Austro-Węgry skorzystały z takiego powodu — wyraźnie pchane do wojny przez niemieckiego cesarza Wilhelma II — wystosowały do rządu serbskiego obraźliwe dla tego rządu ultimatum. Odpowiedź miała nadejść w ciągu 48 godzin.

28 lipca 1914 roku Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii.

1 sierpnia 1914 roku wojnę Rosji, wypowiedziały Niemcy, a 3 sierpnia — Francji.

4 sierpnia 1914 roku — w związku z pogwałceniem przez Niemcy neutralności Belgii — wojnę Niemcom wypowiedziała Wielka Brytania. Niemcy w swoich strategicznych rozważaniach liczyły na to, że Wielka Brytania nie będzie się chciała wtrącać do spraw Kontynentu.

6 sierpnia 1914 roku wojnę Rosji wypowiedziały Austro-Węgry.

W październiku 1914 roku po stronie państw centralnych: Niemcy, Austro-Węgry — opowiedziała się Turcja, a w 1915 roku Bułgaria.

W maju 1915 roku wojnę Austro-Węgrom wypowiedziały Włochy. W sierpniu 1916 roku — Rumunia.

W sierpniu 1914 roku Japonia wypowiedziała wojnę Niemcom.

W kwietniu 1917 roku do wojny przystąpiły Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wypowiadając wojnę Niemcom, opowiadając się po stronie Ententy, której pomagały od początku światowego konfliktu.

Tak rozpoczęła się i rozwijała pierwsza wojna światowa.

2. Prawdziwy koniec XIX wieku.

Formalnie wiek XIX dawno już się skończył. Faktycznie trwał jeszcze i zaczął konać w wojennych drgawkach pierwszej wojny światowej. Wiek XIX — to nie tylko wiek rozwoju techniki, wystaw światowych, mechanizacji i motoryzacji, pary i elektryczności. Wiek XIX — to również wiek kryzysu monarchii wielonarodowościowych to wiek budzenia się świadomości narodowej ludów uciskanych, wiek rewolucji, walk klasowych, powstań narodowościowych, wiek ruchów niepodległościowych. To również wiek sprzeczności, jakie zarysowały się pomiędzy wielkimi mocarstwami. A także wiek rozwiązywania wszelkich konfliktów przy pomocy wojny.

W kalendarzu lata kończą się łatwo i szybko. 31 grudnia kończy się jeden rok, 1 stycznia rodzi się następny. Kalendarz w podobny sposób rozgranicza wieki. Mija sto lat, zaczyna się nowe sto lat. W życiu politycznym, społecznym, kulturalnym elementy jednego okresu nie kończą się tak łatwo i szybko, a przeciwnie długo jeszcze występują jako pozostałości w następnym okresie charakteryzującym się już nowymi elementami i cechami. Coś podobnego stało się na przełomie XIX i XX wieku w Europie.

Europa weszła w XX wiek ukształtowana na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku. Wielcy monarchowie — zwycięzcy Napoleona Bonapartego, cesarza Francuzów — podzielili Europę zgodnie ze swoimi interesami i pozycją. Czas jednak dokonał niezbędnych korekt w tym podziale Europę wstrząsały rewolucje i powstania. Dowód na to, że podział jej dokonany w Wiedniu nie był najlepszy. Nie przewidział bowiem rozwoju ruchów narodowych.

„Ostatnie wielkie urządzenie Europy przeprowadzone zostało na kongresie wiedeńskim w roku 1815 — pisał w drukowanych w Londynie w 1917 roku „Zagadnieniach środkowo- i wschodnioeuropejskich" Roman Dmo-

5

Collage: Grzegorz Gałasiński

Sport i życie

Czy Widzewowi uda się zostać w I lidze?

Rozmowa z LUDWIKIEM SOBOLEWSKIM — wieloletnim prezesem Zarządu RTS Widzew, obecnie honorowym prezesem, który do Walnego Zgromadzenia, jakie odbyło się 14 listopada 1989 r., pełnił obowiązki prezesa.

— Poprzedni zarząd ustąpił i pan wrócił. Dlaczego?
— Byłem honorowym prezesem. Ktoś musiał klubem się zająć, padło na mnie.

— Nie miał pan oporów przed tą decyzją?
— Wyboru raczej nie miałem.

— Dwa lata temu, gdy z panem rozmawiałam, mówił pan bardzo enigmatycznie o powodach swego wówczas odejścia.
— Proszę mi wierzyć, że odszedłem z własnej woli. A powodem tego były nieporozumienia. Moja polityka w klubie, moje koncepcje i moje postępowanie nie pasowało, nie odpowiadało pewnym ludziom, ich planom i zamierzeniom. W tej sytuacji uznałem za właściwe ustąpić.

— Czy może pan powiedzieć, komu nie odpowiadały pana koncepcje i pana działanie?
— W tym czasie wszelkie decyzje należały do władz partyjno-administracyjnych i moje koncepcje i działania nie odpowiadały ludziom, którzy w tych władzach wówczas zasiadali. I to był jedyny powód. Gdybym wówczas zdecydował się kandydować, to nie mam wątpliwości, że byłbym wybrany. Tyle tylko, że nie mógłbym wówczas stworzyć z RTS Widzew takiego klubu, o jakim marzyłem, a który miałby wymiar europejski.

— Przez pewien czas RTS był takim klubem.
— Był. Ale sytuacja zmieniła się i wolałem odejść. Odeszli też inni ludzie, którzy RTS Widzew tworzyli. Po rozmowach z władzami jeszcze przez pół roku lojalnie i rzetelnie przekazywałem klub moim następcom. Dziś nadal uważam, że dobrze zrobiłem.

— Ale przez te 2 lata przyglądał się pan Widzewowi z boku?
— Dlaczego z boku? Działacze RTS Widzew przyjeżdżali do mnie, rozmawialiśmy na różne tematy. Miałem wiele uwag, ale nie dzieliłem się z nimi, bo głoszenie uwag bez możliwości działania nic nie daje.

— Jakie pana zdaniem popełniono błędy?
— Trzeba przede wszystkim powiedzieć, że byli to ludzie, którym nie można odmówić dobrych chęci. Nie byli oni jednak przygotowani do kierowania takim klubem jakim jest RTS Widzew. Klub ten ma swoją specyfikę. To nie ŁKS czy Ruch Chorzów lub Legia. RTS Widzew zbudował swoją potęgę w walce z innymi potęgami piłkarskimi. To tworzy jego specyfikę. To trzeba rozumieć i brać pod uwagę w działaniu. Brak takiej świadomości wyraźnie widać w polityce kadrowej, w transferach, w szkoleniu.

— Tu chyba popełniono najwięcej błędów?
— Tak mi się wydaje. Będę musiał bliżej przyjrzeć się tym sprawom. Zarząd uważał jednak, że robi dobrze.

— Po prostu to nie byli fachowcy. To byli ludzie delegowani do sportu, jak się niegdyś mówiło: przyniesieni w teczkach.
— No niestety, to nie byli fachowcy.

— Słyszałam, że powstały też jakieś nieprawidłowości, nie rozliczono jakichś diet zagranicznych. Wie pan coś o tym?
— Czytałem coś na ten temat w „Przeglądzie Sportowym". Konkretnego nic nie wiem.

— Zdaje pan sobie sprawę, że drużynie grozi spadek do drugiej ligi?
— Naturalnie.

— Co pan zatem sądzi o drużynie piłkarskiej RTS Widzew?
— Sądzę, że można mieć jedenastu Bońków na boisku i nic nie wskórać. Proszę przypomnieć sobie, że Wisła, Szombierki, Bytom, Górnik Zabrze, Ruch Chorzów, Pogoń Szczecin GKS, Legia też miały kłopoty, przeżywały gwałtowny spadek formy i poziomu. Ruch Chorzów spadł nawet do drugiej ligi. Widzewowi do tej pory udawało się tego uniknąć.

To są sprawy dość skomplikowane, żeby móc je określić jednym zdaniem. Nastąpił niekorzystny splot różnych zagadnień. Na przykład system gry, jaki przyjęto, a polegający na tym, że gra się trzema obrońcami

7

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul Sienkiewicza 3/5 tel 32-59-11.

Organizacja reklamy: Andrzej Bartosiewicz. tel. 36-89-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora; odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztowa obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa; w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

D-10

Przegląd prasy

W białoruskim obwodzie brzeskim, przy ujściu Piny do Prypeci leży miasto Pińsk (około 80 tys. mieszkańców). Przed wojną znajdowała się tam polska Flotylla Rzeczna Marynarki Wojennej. Na temat jej losów pisze w tygodniku „KIERUNKI" (nr 45) Mariusz Borowiak.

Od 12 września 1939 r. Flotylla Pińska podlegała gen. bryg. Franciszkowi Kleebergowi. Marynarze mieli bronić przejść rzecznych i dróg przed spodziewanym atakiem niemieckim z północy. Okręty polskie zajęły pozycje wzdłuż Piny, Prypeci, Kanału Królewskiego, Strumienia. Do 16 września nie doszło jednak do poważniejszych walk. Dopiero 17 września Pińsk zaatakowały samoloty radzieckie. Nalot trwał 15 minut. Zniszczeniu uległo kilka starych domów żydowskich oraz budynek teatru należący do Żyda Holcmana. Na szczęście nie było strat w ludziach.

W obliczu niespodziewanej agresji radzieckiej gen. Franciszek Kleeberg rozkazał kmdr. Witoldowi Zajączkowskiemu zatopić Flotyllę Pińską. W dniach 17—21 września okręty polskie poszły na dno Piny, Prypeci, Stochodu, Horynia, Kanału Królewskiego i przygranicznych jezior. Zniszczono również mosty na rzekach Polesia. A marynarze musieli odtąd walczyć pieszo. Po długim marszu i potyczkach z oddziałami radzieckimi 27 września dotarli do Kowla, a następnie z żołnierzami gen. Kleeberga ruszyli na Kock.

Ale nie wszystkim marynarzom udało się dotrzeć do celu. Około 30 oficerów i podoficerów z Pińska zamordowano w Mokranach koło Kobrynia. Według mieszkańców wsi napadu dokonała przestępcza grupa miejscowej ludności, lecz inne źródła wskazują, że sprawcami byli żołnierze radzieccy.. W prawdopodobnym miejscu pochowania pińskich marynarzy ma stanąć pomnik.

Nie każdy dziś sobie uświadamia, że w okolicach Pińska leżał punkt ciężkości dawnej Rzeczypospolitej. Pisze o tym w miesięczniku „ZNAK" (nr 6) Andrzej Romanowski. Na podstawie obliczeń innych autorów podaje on procentowe zestawienie rozmieszczenia Polaków na *„ziemiach zabranych"*. Przed odzyskaniem niepodległości ludność polska stanowiła w poszczególnych guberniach: grodzieńskiej — 17 proc. (najwięcej w powiecie białostockim — 41 proc.), kowieńskiej — 11 proc., mińskiej — 10 proc., mohylewskiej — 3 proc., wileńskiej — 26 proc. (najwięcej w powiecie wileńskim — 51 proc.), witebskiej — 9 proc., wołyńskiej — 10 proc., podolskiej — 9 proc., kijowskiej — 3 proc. (najwięcej w powiecie berdyczowskim — 10 proc.).

„Jak widać, odsetek ludności narodowości polskiej na ziemiach zabranych był znaczny, ale bynajmniej nie imponujący, nie upoważniający w najmniejszym stopniu do nazywania tych terenów (jak to czynił Józef Puzyna) „polską ziemią". Polacy dominowali jednak wśród wyższych warstw społeczeństwa, zwłaszcza wśród stanu ziemiańskiego. Szlacheckie dwory były też najbardziej spektakularnym przejawem polskości. O ilości dworów na ziemiach litewsko-ruskich (ilości rzeczywiście ogromnej) przypomniały przed wojną książki Antoniego Urbańskiego, ostatnio zaś — nie ukończone jeszcze opus magnum Romana Aftanazego. Rozmiary dworów były rozmaite: od niewielkich siedzib po olbrzymie pałace — jak Landwarów Tyszkiewiczów, Płungiany Ogińskich, Nieśwież Radziwiłłów lub Sławuta Sanguszków. Dwory były promieniującymi na okolice ośrodkami kultury nie tylko polskiej, lecz i zachodnioeuropejskiej. (...)

Zasięg dworów na wschodzie pokrywał się mniej więcej z przedrozbiorową granicą Rzeczypospolitej, a nawet poza nią wykraczał. Wyspy polskości tworzyły ponadto liczne zaścianki (rozsypane po całym kraju, zwłaszcza jednak na północnej Białorusi), a także domy dzierżawców, oficjalistów, służby. Rzecz charakterystyczna: mimo tak licznych po powstaniu konfiskat polskich majątków, mało było w krajach zabranych ziemian rosyjskich: słowo «pan» oznaczało z reguły Polaka".

Żyje jeszcze wielu Polaków, którzy swoje dobra i groby przodków pozostawili na kresach wschodnich. Nie wszyscy jednak mają dziś ochotę odwiedzić tamte strony. Andrzej Kuśniewicz zapytany przez Teresę Kulik — czy chciałby zobaczyć, co pozostało z Ukrainy jego dzieciństwa i młodych lat? — odpowiedział w rozmowie opublikowanej na łamach „POEZJI" (nr 7):

„Za żadne skarby! Przecież tam nic nie zostało. W „Stanie nieważkości" opisuję autentyczne spotkanie z Niemką, która na Pomorzu szukała grobów swojej rodziny. Nie znalazła — bo utraciła tę najbliższą ojczyznę, gdzie spędziła pierwsze lata życia. Tak jak dla niej, dla mnie też ta prywatna ojczyzna przestała istnieć. Nie ma czego szukać. Nie tak dawno jakieś ukraińskie dziewczęta z Sambora napisały do mnie list — notabene tytułując mnie wielmożnym panem — z prośbą, bym przysłał im swoje książki. Dowiedziały się, że piszę o Ukrainie. One też przysłały mi zdjęcie kaplicy i znajdujących się w jej podziemiach grobów mojej rodziny. (...) Tam już zostały tylko te groby w kaplicy zbudowanej przez mego dziadka. Zachowałem obraz tamtych stron do 1935 r. kiedy to jadąc na placówkę dyplomatyczną na Ruś Zakarpacką — do Użhorodu — po drodze wysiadłem i odwiedziłem swoją matkę".

Podobne problemy ma także wielu Żydów polskich rozrzuconych dziś po całym świecie. Przed wojną było w naszym państwie 3,3—3,5 mln ludności żydowskiej (najwięcej w części centralnej i wschodniej). Natomiast w połowie 1946 r. zamieszkiwało Polskę 244 964 Żydów. O ówczesnym rozlokowaniu ich pisze w kwartalniku „DZIEJE NAJNOWSZE" (nr 1) Stefan Ciesielski.

Okazuje się, że najwięcej ludności żydowskiej było we Wrocławiu i województwie — 69 993 osoby, a następnie: w Warszawie i Łodzi z województwami — 56 758 osób, w Szczecinie — 30 951 osób, Katowicach i województwie — 25 587 osób, Krakowie i województwie — 21 514 osób. Pozostali mieszkali w Lublinie, Częstochowie, Gdańsku, Białymstoku, Włocławku, Przemyślu, Bydgoszczy, Poznaniu i Olsztynie. Większość (136 550 osób) stanowili Żydzi polscy repatriowani w okresie luty—czerwiec 1946 roku ze Związku Radzieckiego. Pozostała część (ponad 108 tysięcy) przeżyła wojnę na ziemiach polskich lub znalazła się w naszym kraju przed lutym 1946 roku w drodze nielegalnej repatriacji z Ukrainy, Białorusi i Litwy. A później w wyniku legalnej i nielegalnej emigracji liczba ludności żydowskiej szybko zmniejszyła się. W drugiej połowie 1947 r. pozostało w Polsce około 100 tys. Żydów, z których 38 tys. było zawodowo czynnych (5,5 tys. osób w przemyśle państwowym).

„W odczuciu polskich sąsiadów rodzin żydowskich prowadziły one żywot pasożytniczy. W sierpniu 1945 r. w Łodzi na przeszło 20 tysięcy zamieszkujących wówczas Żydów, według informacji KŁ PPR, ani jeden nie był zatrudniony bezpośrednio przy warsztacie produkcyjnym w fabryce. Jeżeli niektórzy pracowali w przemyśle, to na stanowiskach kierowniczych albo w administracji zakładowej. Spośród tej liczby 9 tysięcy, szczególnie młodzieży żydowskiej, było zarejestrowanych jako bezrobotni. W tym samym czasie władze szkolne wysyłały dzieci do akcji żniwnej, co wywoływało komentarze typu — a dlaczego zamiast dzieci nie zatrudniono bezrobotnych Żydów? Wśród części robotników, w tym także członków PPR, krążyły pogłoski, powtarzane przez część terenowego aktywu partyjnego, że w aparacie bezpieczeństwa i MO jest znaczny procent Żydów, którzy ponoć mieli zajmować co bezpieczniejsze, wygodniejsze i intratniejsze stanowiska, natomiast szeregowego funkcjonariusza Polaka posyłano do bezpośrednich akcji bojowych, do przysłowiowego stania z karabinem w ręku, w błocie i na mrozie. Wskazywano, iż krążą opinie, że większość Żydów pełniących funkcje państwowe nie miała nic wspólnego w przeszłości z ruchem robotniczym czy demokratyczną ideologią, że w większości wywodzą się ze środowisk burżuazyjnych i drobnomieszczańskich, że na stanowiska dostają się dzięki protekcji współziomków, by potem samemu obdzielić koncesjami handlowymi, atrakcyjnymi towarami, itp. swą dalszą rodzinę. (...)

Raziła też szerokie rzesze robotnicze rzucająca się na zewnątrz wyższa stopa życiowa ludności żydowskiej. Potocznie sądzono, że jest ona efektem bezkarnych nadużyć gospodarczych popełnianych przez Żydów, z których zresztą wszyscy posiadali, jak informował instruktor KC PPR, karty żywnościowe pierwszej kategorii. Podobne nastroje obserwowano na terenie innych miast, a szczególnie w okręgu kielecko-radomskim. Natomiast ludność żydowska alarmowała władze administracyjne oraz kierownictwa partii politycznych o zagrożeniu swego bezpieczeństwa, o istnieniu znanych sprzed wojny nastrojów pogromowych, odwoływała się do opinii publicznej oraz do swych pobratymców za granicą rozpowszechniając zarzuty na temat rzekomo wrodzonego antysemityzmu Polaków.

W połowie 1945 roku doszło w Łodzi, Radomiu i Krakowie do demonstracji antyżydowskich. Udział w nich środowisk robotniczych — stwierdza Stefan Ciesielski — był prawie żaden. Tylko kobiety łódzkie domagały się mleka dla dzieci, które rzekomo przydzielano Żydom. Ale udział robotników był również mały podczas wieców (16 i 17 VIII 1945) potępiających zajścia antyżydowskie.

Od siebie dodam, że Sekretariat KC PPR wydał specjalną uchwałę w sprawie zadań partii wśród ludności żydowskiej. Podkreślano w niej zasługi rządu ludowego w zwalczaniu antysemityzmu. Ale równocześnie przestrzegano przed niebezpieczeństwem ze strony ruchu syjonistycznego. Mówiąc o pełnym równouprawnieniu Żydów w Polsce, Sekretariat KC zalecał kierowanie ich *„w miarę możliwości i potrzeby z tradycyjnych «żydowskich zawodów» do przemysłu ciężkiego"*. PPR ostro potępiła pogrom Żydów 4 lipca 1946 roku w Kielcach. Władysław Gomułka stwierdził, że popełniono zbrodnię okrywającą Polskę hańbą wobec całego świata.

Z problematyki ludnościowej i strukturalnej polecam artykuł Henryka Domańskiego w miesięczniku „POLITYKA SPOŁECZNA" (nr 8). Na podstawie badań Instytutu Filozofii i Socjologii PAN przedstawia on strukturę zawodową w Polsce. W 1987 roku wyglądała następująco: centralne kierownictwo, dyrektorzy przedsiębiorstw — 1,8 proc. (w grupie mężczyzn — 2,1 proc., a wśród kobiet — 1,4 proc.); specjaliści nietechniczni — 3,3 proc.; specjaliści techniczni — 2,6 proc. (technicy — 6,2 proc.: pracownicy administracji średniego szczebla — 10,7 proc.; pracownicy biurowi — 4,6 proc.; pracownicy handlu i usług — 8,0 proc.; brygadziści — 2,3 proc.; robotnicy wykwalifikowani — 29,7 proc. (mężczyźni — 44,8 proc., kobiety — 10,5 proc.); robotnicy niewykwalifikowani w produkcji — 5,7 proc.; fizyczni pracownicy usług — 3,9 proc.; robotnicy rolni — 1,5 proc.; rolnicy indywidualni — 19,8 proc.; właściciele — 3,6 proc.

Henryk Domański przypomina, że w krajach rozwiniętych spada udział pracowników fizycznych (w tym robotników wykwalifikowanych) i zatrudnionych w rolnictwie. Natomiast dokonuje się ciągły wzrost liczebności wysoko kwalifikowanej kadry pracowników umysłowych (w tym rozwój sektora administracyjnego) i wzrost zatrudnienia w usługach. Na tle innych krajów w Polsce wyjątkowo niski jest udział pracowników handlowo-usługowych.

W artykule przedrukowanym na łamach miesięcznika „POSZUKIWANIA" (nr 1—2) prof. Daniel Bell z Uniwersytetu Harvarda dochodzi do wniosku, że w Stanach Zjednoczonych kształtuje się czteroczłonowa struktura społeczna. Wymienia następujące kategorię: 1) górna klasa średnia (specjaliści i menedżerowie) — 25 proc. ludności; 2) klasa średnia (pracownicy techniczni i administracyjni oraz wykwalifikowani robotnicy) — 35 proc.; 3) klasa usługowa — 25 proc.; 4) klasa niższa (ludzie bez stałego zatrudnienia, pracujący w marginalnych zawodach, wykonujący poślednie prace) — 15 proc. ludności. Przypomina mi to układ czterech warn w systemie kastowym Indii...

E. L.

Zdarzyło się w Łodzi...

▶ Z okazji 71 rocznicy odzyskania niepodległości, odbyły się w Łodzi liczne uroczystości. W sobotę i w niedzielę, w różnych częściach miasta, przedstawiciele różnych organizacji i orientacji politycznych przeszli w pochodach i złożyli kwiaty w miejscach pamięci narodowej.

▶ Ukonstytuowały się nowe władze Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego; przewodniczącym został **Marek Edelmann**, wiceprzewodniczącym **Jerzy Drygalski**, a sekretarzem **Iwona Sledzinska-Katarasińska.**

▶ Kandydatura pani **Iwony Sledzińskiej-Katarasińskiej** na stanowisko dyrektora Ośrodka Telewizji Łódzkiej, została przedstawiona prezesowi Radiokomitetu, Andrzejowi Drawiczowi, przez RKO NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej. Wiemy, iż nie jest to jedyna kandydatura. Pan **Marek Markiewicz** popierany jest przez równie poważne organizacje, m.in. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (wespół z ww.) i Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich, którego członkiem jest Andrzej Drawicz, rusycysta. I nie są to jeszcze wszystkie znane nam propozycje.

▶ Z inicjatywy Konrada Turowskiego zebrało się łódzkie Forum Dziennikarzy. Chętnych do wzięcia udziału w spotkaniu nie ograniczano barierami przynależności organizacyjnej, sympatii politycznych, majątkowymi, ani też stanem zdrowia. Rozmawiano o sprawach istotnych dla całego środowiska. Po gwałtownej — momentami — dyskusji, powołano sekretariat Forum, w składzie: **Konrad Turowski, Jacek Binkowski i Agnieszka Ostapowicz.**

▶ Taksówkarze, pozbawieni wydzielonej stacji benzynowej, wyczekujący godzinami w kolejkach po paliwo, nauczeni polskimi doświadczeniami ostatnich miesięcy, że spełnienie słusznych żądań można osiągnąć tylko przez wymuszenie, zagrozili blokadą ruchu kołowego w śródmieściu miasta.

▶ Red. Bogda Madej, autorka zeszłotygodniowej rubryki „Zdarzyło się w Łodzi", przeprasza pana **Mieczysława Dobrynina**, nowego Inżyniera Województwa, szefa tzw. „Brygad Tygrysa" — za poplątanie nazwiska.

▶ Szum wokół Fundacji na Rzecz ul. Piotrkowskiej nie ustaje. Pośpiech i uchybienia proceduralne zaniepokoiły społecznych uczestników tej inicjatywy tak dalece, że niektórzy wycofali się z niej (w tym inicjatorzy), a inni — wielce poważni — wyrazili rodzaj votum nieufności wobec stojących na czele Fundacji przedstawicieli władz dzielnicy Łódź-Śródmieście. Warto przyjrzeć się z bliska tej ważnej dla miasta i jego mieszkańców sprawie, która, już we wstępnej fazie przeradza się w aferę.

▶ Przed dwoma świątecznymi dniami (w piątek) łodzianie już po raz któryś zostali pozbawieni chleba. Przed piekarniami ustawiały się wielosetmetrowe kolejki. Nowy prezydent spotkał się ze starym problemem. Aż dziw, że w pochodach niepodległościowych nikt nie krzyczał: „Chcemy chleba!". Ciekawe, kto tym razem poszkapił sprawę: piekarze, handlowcy, czy może wraże siły? Jakie? Ciekawe również, kiedy sytuacja znów się powtórzy?

▶ Znany łódzki i centralnoeuropejski artysta **A.P.** pożyczył od pani sprzątającej dom kultury większą sumę pieniędzy na swe działania artystyczne oraz na drugie śniadanie. Jedyną wątpliwość, jaką miała pani sprzątająca, wyartykułował następująco: „Chce pan czekiem, czy gotówką?" Jest to znaczący wielce przyczynek do dyskusji nad kondycją polskiego artysty.

▶ *Joasia G. obchodziła swoje 9 urodziny.* W czasie uroczystości zerwaniu uległy silne — wydawałoby się — dotychczasowe przyjaźnie, a zawiązały się zupełnie nowe. 8-letni Mateusz K. został „na lodzie".

M.K.

SZANOWNI CZYTELNICY!

Nie udało się, niestety, okiełznać żywiołu inflacji. Nadal rosną ceny większości towarów i usług, a w tym koszty wydawania prasy. Musieliśmy więc podnieść cenę „Odgłosów" do 300 złotych za egzemplarz. Nasz wydawca nie zamierza bowiem tolerować pism deficytowych. Takie są prawa gospodarki rynkowej.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Oba srebrzyste mercedesy minęły tablicę zakazującą ruchu, potem budkę z żołnierzem uzbrojonym w kaem i mikronadajnik. Gdy mercedesy zbliżały się do szlabanu, ten szedł już w górę, wpuszczając auta na most, malowniczym łukiem spinający brzegi górskiego potoku. Dalej była kosodrzewina, siwe świerki, krokusy. Na łączkach w dole pasły się owce, pobrzękując dzwoneczkami. Wieżę kontrolną z dwójką komandosów wyposażonych w noktowizory oplatały bluszcze aż po sam szczyt. Starszy stopniem komandos wcisnął zielony klawisz na pulpicie. Mercedesy zwolniły, wtaczając się w palmową aleję, poprzetykaną klombami nasturcji, berberysów, róż i frezji — pierwszy odcinek nowej powieści ALEKSANDRA MINKOWSKIEGO „Sekrety prominentów".

— W połowie lat osiemdziesiątych wydajność na jednego zatrudnionego wynosiła w RFN — 13 494 dol., NRD — 9 107 dol., a w Polsce zaledwie 4 411 dolarów. W latach 1978-85 wydajność w RFN wzrosła o 7 proc., w NRD o 35 proc., natomiast w Polsce spadła o 12 procent. Przy czym tygodniowy czas pracy w RFN wynosi 40,2 godz., w NRD nieco więcej, a w Polsce tylko 36,6 godzin. Polska należy do krajów o najniższej liczbie godzin faktycznie przepracowanych w ciągu tygodnia. Na krótki czas pracy Polaków w porównaniu z Niemcami narzekano już przed wojną — artykuł EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO pt. „Orły i mrówki".

— Z dużą satysfakcją odnotowuję, że w zarządzie Towarzystwa Kultury Polskiej, oprócz Polaków, zasiadają także Ormianin i Żyd. Tam są wszyscy, którzy kochają polską kulturę, nie wdając się w polityczne animozje. Do szkół polskich chodzą dzieci nie tylko polskiego pochodzenia czy z rodzin mieszanych. W teatrze polskim występują również Rosjanie i Ukraińcy, którzy specjalnie nauczyli się języka i mówią po polsku — rozmowa z kierownikiem Polskiej Agencji Konsularnej we Lwowie, WŁODZIMIERZEM WOSKOWSKIM, którą przeprowadziła MONIKA MATUSZAK.

— Kto rzeczywiście przegrał pierwszą wojnę światową? Wygrały ją Stany Zjednoczone, Francja, Włochy, Wielka Brytania, a poza tym Japonia i inne państwa. Przegrały państwa centralne. Tak by się zdawało, lecz w rzeczywistości było trochę inaczej — pisze LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Konfrontacje.

Czy prezydent dokona cudu w Łodzi?

Prezydent

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Nazbierałam wiele różnych ciekawostek, które miałam zamiar opowiedzieć Czytelnikom. Chodziłam po kuluarach, przysłuchiwałam się rozmowom, zbierałam opinie Niektórzy na przykład byli pewni, że rada nie wybierze prezydenta w pierwszym głosowaniu, a tak właśnie się stało. Optymiści liczyli na dwa głosowania, pesymiści na więcej. Przegrali jedni i drudzy. Byli i tacy, którzy uważali, że decydująca rozgrywka nastąpi między Jerzym Jatczakiem a Maciejem Urbaniakiem. Też się pomylili. Wszystko to już historia i nie warto do niej wracać.

Trzeba natomiast wrócić do wystąpienia posła Bogdana Osińskiego. Przypomnę, że na Nadzwyczajnej Sesji RNMŁ, 11 października 1989 roku, zabrał głos poseł Andrzej Kern, i wywołał sprzeciw wielu radnych. Moim zdaniem jego wystąpienie było błędem i zaszkodziło tylko kandydatom. Teraz podobny błąd popełnił poseł Bogdan Osiński. Podobny — to mało, znacznie gorszy

Być może posłowie są przyzwyczajeni do innych warunków, w jakich toczą się dyskusje w sejmowych komisjach i na plenarnych posiedzeniach, stąd nie potrafią występować przed radnymi. Poseł Andrzej Kern wypomniał radnym, że zostali wybrani w sposób niedemokratyczny i długo mu tego nie wybaczą. Poseł Bogdan Osiński usiłował przekonać radnych, że wybierają prezydenta m. Łodzi tylko... na rok. Nie pojął, że wystąpieniem tym obraża premiera Tadeusza Mazowieckiego, bo sugeruje mu nielojalność wobec kandydatów i radnych, że obraża radnych, sugerując im niejasną grę polityczną, a także ministra Jerzego Kołodziejskiego, bo bierze udział w nieczystej grze. No a już przede wszystkim kandydatów na prezydenta i to z powodów tak oczywistych, że nie będę tego tłumaczyła ani Czytelnikom, ani — tym bardziej — posłowi, który powinien umieć przewidywać skutki swoich wystąpień. Jest to w końcu elementarna umiejętność polityka.

Poseł Bogdan Osiński zastosował poza tym chwyty z walki politycznej na Zachodzie, a mianowicie próbował zdyskredytować kandydatów: Jerzego Jatczaka i Macieja Urbaniaka. Obaj zaatakowani, w dziecinnie prosty sposób wykazali nie tylko bezpodstawność zarzutów, ale i złą wolę posła. W ich obronie wystąpili też radni, co dobrze o nich świadczy. Również minister Jerzy Kołodziejski zmuszony został do pouczenia posła o niestosowności jego wystąpienia, co już nie najlepiej świadczy o pośle. Przy okazji minister Jerzy Kołodziejski ujawnił kulisy nominacji na kandydatów i to było bardzo pouczające Wspomniał też o roli, jaką odegrał list 90 radnych do premiera Mazowieckiego z poparciem dla kandydatury Waldemara Bohdanowicza.

W kuluarach, podczas przerwy, panowała zupełnie inna atmosfera niż ta z 11 października 1989 roku. Toczyły się, można tak to chyba nazwać — powszechne rozmowy, nikt się na nikogo nie boczył No, może tylko parę osób... Ale to był wyraźny margines. Co się więc stało? Co się zmieniło?

Po obradach Nadzwyczajnej Sesji RNMŁ 11 października 1989 r. wszystkim pozostał chyba niesmak. Waldemar Bohdanowicz — co zresztą podkreślił w swym wystąpieniu — odniósł wówczas moralne zwycięstwo, a tylko urażona ambicja niektórych radnych nie pozwoliła dokonać wyboru prezydenta Fakt ten powszechnie komentowano nie tylko w Łodzi Przy okazji padły krzywdzące dla łodzian opinie. Ale to już historia.

Z historii tej wyciągnięto jednak właściwe wnioski. Dzięki inicjatywie profesora Andrzeja Feliksa Grabskiego doszło do rozmów przy okrągłym stole, podczas tych rozmów przedstawiciele różnych sił politycznych wyszli z okopów partykularyzmu, odrzucili stare nawyki, spróbowali podejść do problemu jak politycy zaczęli szukać kompromisu, zrozumieli potrzebę dialogu. Stało się tylko niedobrze, że ten „przełom", ten dialog odbywał się za zamkniętymi drzwiami, że dziennikarzy pozbawiono możliwości wykonywania ich zawodu czyli informowania opinii publicznej o tym, co się ważnego dzieje w mieście. Tłumaczenie, że dzięki temu dyskutanci mogli swobodnie wypowiadać się, nie wytrzymuje krytyki, bo stawia ich wobec podejrzenia, że inne poglądy mają za zamkniętymi drzwiami, a inne dla... publiczności. Mam nadzieję, że i z tej lekcji polityki wyciągnie się właściwe wnioski.

Dzięki opuszczeniu partykularnych pozycji powstała lista kandydatów na prezydenta, którą zaakceptował premier Tadeusz Mazowiecki, a później Prezydium RNMŁ Waldemar Bohdanowicz miał podwójną przewagę: raz — był pierwszy alfabetycznie na liście, pierwszy prezentował swój program, dwa — miał już za sobą próbę generalną Dało się to odczuć podczas prezentacji programu Widać było, że krytycznie przeanalizował poprzedni występ, mówił teraz śmiało i przekonywająco Inni — jak to słusznie zauważył kontrkandydat Włodzimierz Jakowicki — zostali pozbawieni niektórych argumentów, gdyż musieli powtarzać to, co już zostało powiedziane Mimo to ich programy różniły się między sobą sposobem podejścia do problemów miasta Jedni na przykład deklarowali nadzieje na pomoc z zagranicy, inni liczyli na władze centralne. Ale wszyscy widzieli ogrom zadań ich skomplikowanie, wzajemne powiązania i szczupłość możliwości wobec ogromu oczekiwań.

— W dalszym ciągu uważam — powiedział Waldemar Bohdanowicz — że w Łodzi wszystko jest ważne i to jest mój program.

Otóż, czymś nowym było na tej sesji to, że do objęcia w posiadanie fotela prezydenckiego startowali nie ludzie „nasi", „wasi", „ich", ale równoprawni kandydaci, którzy mogli przekonać wyborców racjonalnością i skutecznością swoich programów. Dokonało się więc w Łodzi coś, co w naszej praktyce wyborczej stanowi — miejmy nadzieję — przyszłość: nie walka ludzi należących do tej czy innej drużyny, ale walka ludzi prezentujących takie a nie inne programy Mam nadzieję, że warszawscy komentatorzy, którzy zawsze wszystko wiedzą lepiej, tym razem to dostrzegą.

No i mamy prezydenta. Jest on w podobnej sytuacji, w jakiej znaduje się ciągle premier Tadeusz Mazowiecki Ma duże poparcie a jeszcze większe nadzieje wiąże się z nim i jego działalnością. Ale ani Tadeusz Mazowiecki, choć osobisty znajomy Boskiego Namiestnika, ani Waldemar Bohdanowicz, choć działacz katolicki i niewątpliwie dobrze jest notowany u sług Pana Boga, cudu nie dokonają Obaj muszą dokonać takiej sztuki, aby w wyniku ich decyzji ludzie odczuli, że ich życie staje się lżejsze. A dokonać tego nie będzie ani łatwo, ani tak prędko.

Waldemar Bohdanowicz jest może w nieco lepszej sytuacji niż premier Tadeusz Mazowiecki, gdyż poprzez stworzenie właściwych warunków dla ujawnienia różnych inicjatyw, może szybko doprowadzić do poprawy zaopatrzenia Łodzi w artykuły spożywcze Wyraźnie podkreślam, żeby nie było nieporozumienia — poprzez stworzenie właściwych warunków dla ujawnienia różnych inicjatyw Podkreślam dlatego, że są ludzie, którym się zdaje, że prezydent m. Łodzi tylko coś podpisze i już w sklepach będzie pełno mięso, masła serów i tak dalej Tymczasem potrzeba tu pozbycia się starych nawyków, złamania monopoli, stworzenia warunków, aby handel choćby tylko ajencyjny, stał się opłacalny dla tych, którzy się nim zajmują.

Ludzie wiązali wiele ujemnych zjawisk występujących w mieście z brakiem prezydenta. Rzecz przecież nie w tym Zjawiska te narastały latami. Wiążą się one nie tyle z osobami prezydentów, co z koncepcjami rozwoju Łodzi i województwa Waldemar Bohdanowicz przejął władzę w mieście w trudnej sytuacji, kiedy trzeba znaleźć sposoby rozwiązania wielu nabrzmiałych i narastających latami spraw Gwałtownie starzeje się w Łodzi przemysł, choć nie tak dawno wybudowano kilka nowoczesnych na ówczesne lata fabryk. Fabrykom brakuje surowca Niskie są zarobki ludzi tam pracujących. Wadliwie działa komunikacja Brakuje mieszkań. Z zagrożonym środowiskiem też trzeba coś zrobić Ślimaczy się budowa grupowej oczyszczalni ścieków. Zabraknie niedługo wody, a już teraz bilans ciepła na potrzeby miasta przy ostrej — nie daj Boże — zimie jest ujemny Mogłabym dalej tak wymieniać, ale przecież wszyscy to znamy aż nadto dobrze.

Boję się że nowy prezydent m. Łodzi — Waldemar Bohdanowicz stanie wobec ogromu spraw drobnych, zasłaniających mu perspektywę i uniemożliwiających podjęcie decyzji strategicznych dla rozwoju miasta Boję się, że przed drzwiami jego gabinetu przy ul. Piotrkowskiej 104 ustawi się kolejka petentów, którzy — starym zwyczajem — uznają, że ich sprawę może załatwić tylko sam prezydent. Sądzę, że Waldemar Bohdanowicz zdaje sobie z tego sprawę i wie, że trzeba z taką praktyką natychmiast zerwać. Ale, żeby mógł to zrobić, urzędnicy UMŁ muszą pozbyć się biurokratycznych nawyków i poza paragrafami zacząć widzieć człowieka i jego sprawy choćby wydawało się im, że są one bagatelne nudne i mało ważne Dla ludzi ich sprawy są zawsze najważniejsze i takimi pozostaną.

Mam nadzieję, że prezydent m. Łodzi — Waldemar Bohdanowicz pokona te trudności i spełni choćby tylko część oczekiwań łodzian. Czego mu szczerze życzę!

BOGDA MADEJ

Jak ratować polską gospodarkę?

Heraklesowe zadania

WITOLD KASPERKIEWICZ

Nowy gabinet Tadeusza Mazowieckiego będzie musiał zmierzyć się z tak ciężkimi problemami gospodarczymi, że przywodzi to na myśl analogię do prac mitologicznego Heraklesa. Krytyczny stan polskiej gospodarki, narastająca frustracja społeczeństwa i realne już widmo hiperinflacji wymagają od rządu działań radykalnych i konsekwentnych, ale zarazem uwzględniających delikatną tkankę wytrzymałości społecznej, która co tu ukrywać, jest bliska pęknięcia. Ratowanie polskiej gospodarki sprowadzić można do realizacji kilku najpilniejszych zadań.

Po pierwsze — kapitalne znaczenie dla perspektywicznego prowadzenia reform politycznych, społecznych i ekonomicznych ma zahamowanie spirali wzrostu cen i dochodów. Z sentymentem wspominam nie tak odległe czasy, kiedy stopa inflacji wynosiła 20—30 procent. Obecnie mamy do czynienia z hiperinflacją (kilkaset procent wzrostu cen), która niczym hydra oplątała swymi mackami słabnącą gospodarkę. Nie ulega wątpliwości, że walka z tą hydrą nie będzie łatwa ani dla rządu, ani dla społeczeństwa. Trzeba będzie przyjąć i zrealizować ostry program oszczędności budżetowych, zmierzających do zredukowania deficytu budżetu centralnego. W praktyce oznacza to konieczność znacznego ograniczenia dotacji, co niechybnie spowoduje wzrost cen wielu wyrobów. Jak twierdzi wicepremier i zarazem minister finansów **Leszek Balcerowicz**, będzie to tzw. inflacja korekcyjna przez którą należy przejść, aby osiągnąć następnie fazę wygaszania inflacji. Niezbędne będzie wprowadzenie dyscypliny w zakresie wzrostu wynagrodzeń i egzekwowania zobowiązań podatkowych od przedsiębiorstw państwowych, rolników indywidualnych i prywatnych biznesmenów. Nie uniknie się również ograniczeń przywilejów socjalnych różnych grup zawodowych zapisanych w „kartach branżowych" (przydziały, deputaty, zniżki itp.).

Po drugie — konieczne jest powstrzymanie spadku produkcji przemysłowej, który pobudza hiperinflację. Odbudowa produkcji przemysłowej wymagać będzie zmian w strukturze inwestycji, importu zaopatrzeniowego i organizacji zasilania w surowce. Zmiany te służą temu, aby końcowy efekt w postaci produkcji rynkowej był maksymalizowany.

Po trzecie — nakazem chwili jest odwrócenie spadkowej tendencji w produkcji zwierzęcej, której dno — jak wynika z analizy „cyklu świńskiego" — przypadnie na IV kwartał 1989 roku. Tempo reprodukcji pogłowia w 1990 roku zależeć będzie od podaży pasz wysokobiałkowych, które muszą być zakupione za granicą. Produkcja zwierzęca i zaopatrzenie w pasze stanowią tylko fragment polityki rolnej. Wydźwignięcie rolnictwa polskiego do poziomu gwarantującego odczuwalną poprawę sytuacji na rynku żywnościowym wymaga przestawienia części produkcji przemysłowej na potrzeby sektora rolnego i demonopolizacji całej sfery obsługującej rolnictwo. Nieodzowne będą również zmiany w strukturze gospodarstw rolnych. Gospodarstwa małe, dominujące na polskiej wsi, nie sprzyjają podnoszeniu towarowości rolnictwa. Najświeższe doświadczenia związane z operacją urynkowienia gospodarki żywnościowej wskazują, że liberalizacja cen skupu jest niewystarczająca, aby stworzyć prawdziwy rynek produktów rolnych. Dotychczas operacja ta spowodowała eksplozje cen żywności.

Po czwarte — kolejnym zadaniem o dużej doniosłości jest przeprowadzenie głębokich zmian w strukturze przemysłu (tzw. restrukturyzacja). Gospodarka polska musi wreszcie wyjść ze ślepego zaułka „monokultury surowcowo-półfabrykatowej". Przeorientowanie przemysłu w stronę nowoczesnej produkcji o najwyższych standardach wymagać będzie przezwyciężenia dotychczasowej dominującej pozycji gałęzi przemysłu surowcowego i ciężkiego w naszej gospodarce. Nie będzie to zadanie łatwe, nie tylko z powodu braku kapitałów na dokonanie tej operacji, ale także ze względu na fakt, że tradycyjny przemysł jest bastionem związków zawodowych.

Po piąte — konieczna jest odbudowa i modernizacja szeroko pojętej infrastruktury, tj. komunikacji, łączności, handlu, służby zdrowia, hotelarstwa itp. Obecny stan tych dziedzin jest fatalny i w znacznym stopniu rzutuje na złe samopoczucie społeczeństwa. Niedowład panujący zwłaszcza w łączności i komunikacji zniechęca także zagranicznych ludzi interesu do inwestowania kapitałów w Polsce.

Po szóste — pomyślna realizacja poprzednich zadań uzależniona jest w znacznej mierze od postawy międzynarodowych instytucji finansowych i rządów zachodnich wobec polskich przemian i dylematów. Zadaniem rządu w tej materii jest uregulowanie stosunków z wierzycielami (głównie z Klubem Paryskim) polegające na odroczeniu terminów spłaty zadłużenia, a także wynegocjowanie nowych kredytów z MFW, Banku Światowego i banków krajów zachodnich. Korzystne dla Polski ułożenie spraw z międzynarodową finansjerą pozwoliłoby na „złapanie oddechu" przez zmaltretowaną gospodarkę. Trudno wyobrazić sobie wygaszenie inflacji bez zawieszenia spłat zadłużenia i uzyskania nowych kredytów na rozkręcenie produkcji przemysłowej. Jak na razie rządy czołowych krajów zachodnich kokietują nasze władze płomiennymi deklaracjami o poparciu dla polskiego eksperymentu. Zmaterializowanie tego poparcia wymaga od polskiego rządu nie tylko zabiegów dyplomatycznych, lecz również, a może przede wszystkim, przedstawienia światowym organizacjom finansowym przekonywającego programu ozdrowieńczych przemian gospodarczych (tzw. programu dostosowawczego).

Zasadne i kluczowe jest pytanie: **czy rząd będzie miał dość determinacji i rzeczywistego, a nie werbalnego, poparcia społecznego, aby w sposób radykalny podjąć dzieło przebudowy systemu gospodarczego i zlikwidować plagę inflacji?** Kolejne pytanie dotyczy stopnia radykalizmu, na jaki może sobie pozwolić rząd w przeprowadzaniu reformy gospodarczej. Można stwierdzić, iż rząd będzie musiał uniknąć niebezpieczeństw: pierwsze stanowi **żywioł populizmu reprezentowany przez związki zawodowe**, drugim są propozycje zaaplikowania choremu organizmowi lekarstwa w postaci totalnej liberalizacji i prywatyzacji gospodarki („dzika liberalizacja" w stylu boliwijskim czy wenezuelskim). Optymalną w naszych warunkach metodą dokonywania przemian wydaje się być rozważny radykalizm, czyli połączenie konsekwentnego urynkowienia gospodarki z systemem amortyzowania negatywnych skutków społecznych wywołanych przyjęciem twardych reguł ekonomicznych.

Z tej ziemi.

Czy pluralizm jest już niepotrzebny?

1.

Wszystko się zmienia i zmieniać się musi — to już odkryli starożytni Grecy. Jednych te zmiany zadowalają, innych nie, jedni są za takimi lub innymi zmianami, inni są przeciw wszystkim zmianom. Ale zmiany są nieuchronne, są bowiem przejawem życia, można się jedynie zastanawiać w jakim kierunku idą oraz w jakim tempie. Niektórzy pokrzykują na prezesa Andrzeja Drawicza, że zmiany w telewizji są mało dostrzegalne, z czym bym się spierał, ale im głównie chodzi o to, aby wiadomości dzienników telewizyjnych czytali inni prezenterzy niż do tej pory. Dopiero Jacek Snopkiewicz zapowiedział zmianę istotną — zmianę formuły dziennika telewizyjnego. Ma to nastąpić już wkrótce. Poczekam — zobaczę. Jak do tej pory widzę tę samą celebrę tyle tylko, że wokół innych osób.

Zachodzą jednak zmiany bardziej istotne dla życia politycznego w Polsce. Oto do przeszłości już należy Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego. Była to organizacja z innej epoki, była to próba znalezienia kontaktu i porozumienia władzy z narodem. Była od początku skazana na nieporozumienie, choć nie można nie docenić dobrej woli i wysiłku ludzi, którzy uczynili wiele prób, aby wskazać na występujące zagrożenia, aby łagodzić konflikty stanu wojennego. Warto o tym pamiętać.

Teraz Klub Poselski SD wystąpił z inicjatywą likwidacji Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej — tworu równie sztucznego wzorowanego na podobnym tworze z innej epoki i innego kraju. Wcześniej powołano do życia kontrolę społeczną, która zmarła śmiercią naturalną zaraz po urodzeniu. Osławiona IRCH-a też już istnieje formalnie, nie odgrywając w życiu publicznym większej roli. Dzieje się tak dlatego, że nie można naprawiać wadliwej rzeczywistości mnożąc instytucję kontroli, ale trzeba usuwać przyczyny tych wad. Instytucji kontrolnych utworzono tyle, że wielu kierowników różnych instytucji skarżyło się na ich mnogość, co bardzo przeszkadza w pracy. Kontrolerów powinno być mało, ale powinni działać sprawnie i skutecznie. W tej dziedzinie akurat opowiadam się przeciw pluralizmowi.

2.

Okazuje się jednak, że pluralizm przeszkadza też w... tworzeniu demokracji. Oto niedawno ukazał się w „Tygodniku Powszechnym" artykuł Jerzego Turowicza pt. „Miesiąc miodowy i pluralizm". W artykule tym autor deklaruje się zwolennikiem następującej tezy:

„Otóż pełny pluralizm jest możliwy w warunkach pełnej demokracji. A my wciąż owej demokracji jeszcze nie osiągnęliśmy. De facto jesteśmy jeszcze ciągle w sytuacji dualizmu politycznego. Ów dualizm to nie PZPR z jednej strony, a z drugiej cała reszta. Dziś ten dualizm to z jednej strony wszystkie siły chcące budować demokrację, zaś z drugiej obrońcy „ancien regime'u" i własnych przywilejów, nabytych i tych do zdobycia".

Argumentacja ta przypomina mi minione czasy, kiedy to tłumaczyliśmy ludziom, że nie można dać pełnej demokracji, bo naród do niej jeszcze nie dojrzał i dlatego trzeba przejść przez *„dyktaturę proletariatu"*, a następnie różne etapy *„socjalistycznej demokracji"*. A jak już wszyscy dojrzeją do demokracji — to się ustanowi ją dekretem, podejmie odpowiednie uchwały i nastąpi era wielkiej szczęśliwości, bo wszyscy będą myśleli tak samo. Dziś wiem, że to była utopia, żeby nie powiedzieć gorzej.

Nie wyobrażam sobie jednak, aby można było dojść do *„pełnej demokracji"* unikając po drodze pluralizmu. Nabrałem awersji do wszelkich przymiotników poprzedzających lub wspomagających demokrację. Demokracja albo jest, albo jej nie ma. Poza tym — przepraszam za truizm — demokracji trzeba się uczyć. I nikt od tej nauki nie jest zwolniony. A ucząc się demokracji trzeba przerobić temat: *„Pluralizm"*.

3.

Pluralizm wydaje mi się jedyną drogą do normalności. Po 1944 roku uznano, że wszystko, co było do tej pory było złe, bo było burżuazyjne. Polska była burżuazyjna, armia była burżuazyjna i dlatego przegrała wojnę. Wymyślono nawet absurdalne pojęcie, które do dziś krąży po publicystyce historycznej: *„wojna obronna 1939"*, a była to po prostu *„kampania wrześniowa 1939"*, tak jak było wiele innych kampanii w czasie drugiej wojny światowej. Teraz mówi się, że wszystko, co było po 1944 roku było złe i należy przekreślić. Życie jednak nie jest takie proste i trzeba pogodzić się z tym, że obok osiągnięć występują braki i niedociągnięcia. I to w każdych warunkach. Życie po prostu jest pluralistyczne. W polityce również.

Mamy już wiele różnych partii i będzie ich jeszcze więcej. Powstają one na trzech zasadach i to również uważam za rzecz naturalną. Pierwsza zasada — to ratowanie się poprzez zmianę nazwy. Zmienić nazwę, podretuszować program i już mamy nową partię. Druga zasada — to restauracja starych partii albo tych, którym przerwano działalność po 1945 roku. I stąd mamy kilka odłamów PPS, PSL, Stronnictwo Narodowe oraz inne. Zasada trzecia — powstawanie zupełnie nowych partii lub budowanie nowych na gruzach starych. W moim przekonaniu tylko w ten sposób można zbudować realny, pluralistyczny byt polityczny. Ale to nie znaczy wcale, że trzeba wszystkie inne partie polityczne rozwiązać. Przeciwnie — niech ich będzie jak najwięcej i niech poparcie społeczne decyduje o ich randze i roli w państwie. Tylko w taki sposób można skutecznie odejść od totalitaryzmu i przejść do demokracji. Innej drogi nie widzę.

Dlatego też razi mnie taki pogląd, jaki wyłożył w „Tygodniku Powszechnym" Jerzy Turowicz, który uważa, że najpierw stworzymy *„prawdziwą demokrację"*, a dopiero później dozwolony będzie pluralizm. Razi mnie nie dlatego, że przypomina argumentację z minionej epoki, ale dlatego, że praktyka minionej epoki pogląd taki dostatecznie skompromitowała.

4.

Pluralizm potrzebny jest nie tylko w życiu politycznym, ale w społecznym i zawodowym. W środowisku dziennikarskim mamy na przykład dwa stowarzyszenia: Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL. Potrzebna była inicjatywa rzecznika prasowego prezydenta PRL, aby przedstawiciele obu kierownictw spotkali się i zaczęli szukać wspólnych płaszczyzn do działania. A jest ich — w moim przekonaniu — sporo. Tak dzieje się w Warszawie. A w innych miastach?

Pisarze mają dwa związki: Związek Literatów Polskich i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Piotr Kuncewicz w „Życiu Warszawy" uważa tę sytuację za nienormalną, gdyż — jego zdaniem — rozbicie nie sprzyja literatom. Możliwe. Ale myślę, że czasem lepszy jest podział rzeczywisty niż sztuczna jedność. Pod warunkiem, że jest to podział, który nie utrudnia współpracy.

Pluralizm rozumiem bowiem jako warunek zachowania własnej tożsamości politycznej, ideowej, społecznej, która przy założeniu wzajemnego poszanowania poglądów i stanowisk nie przeszkadza we współdziałaniu dla dobra danej społeczności czy wręcz narodu. Pluralizm jest niezbędny ze względu na fakt, że *„jedność moralno-polityczna"* jest fikcją, różnice polityczne i ideologiczne są znaczne, a dla dobra Polski niezbędna jest współpraca różnych sił i orientacji. Niech więc nam różnice nie przesłaniają pola widzenia i niech deklaracje o dobrej woli i tolerancji nie pozostają tylko pięknymi słowami i hasłami.

12.11.1989.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W KRĘGU ISLAMU: Zdarzyło się 29 sierpnia 570 roku (1)

Żywot wysłannika Bożego — Muhammada

HASSAN A. JAMSHEER

Narodziny przyszłego Proroka (nabi) Islamu i Wysłannika Bożego (rasul-u-ullah), Muhammada miały miejsce w kilka chwil przed wschodem gwiazdy porannej w poniedziałek po dwunastu nocach miesiąca rabi'al-awwal roku słonia (a'am al-fil) — tj. **29 sierpnia 570 r. naszej ery.** Nie miejsce tu na bliższą analizę podanej przez tradycję daty. Wystarczy wspomnieć, że ma ona związek z wyprawą namiestnika abisyńskiego w Jemenie, Abraha, przeciwko Mekce. Udział w wyprawie egzotycznego dla Meksykańczyków słonia zwanego w języku arabskim „fil" — stał się asumptem do odpowiedniego upamiętniania tych czasów i wydarzeń w przekazach historycznych. Ważniejsze jest to, iż tradycja muzułmańska podkreśla niepowodzenie tej wyprawy i znaczenie tego faktu jako przykładu cudownych zjawisk związanych z narodzinami Wysłannika Bożego.

Muhammad pochodził w prostej linii męskiej ze znakomitego plemienia Korejszytów — a ściślej z **rodu Haszymitów,** będącego jego odgałęzieniem. W rękach jego przodków znajdowała się od XV w. zarówno władza w Mekce jak i opieka nad Świątynią Ka'ba — najważniejszym centrum kultu na całym Półwyspie Arabskim. Niemniej dzieciństwo Muhammada nie należało do szczęśliwych. Gdy się urodził, jego ojciec Abdullah już nie żył; zmarł w młodym wieku niedługo po ślubie w czasie powrotnej drogi z wyprawy handlowej do Palestyny. Początkujący kupiec pozostawił w spadku zaledwie pięć wielbłądów, stado owiec i jedną niewolnicę. Nie było to dużo jak na majątki ówczesnego patrycjatu miasta Mekki. Opiekę nad dzieckiem sprawował jego dziadek Abd al-Muttalib, który pełnił funkcję opiekuna Świątyni Ka'by (sadin al-ka'ba) i był przywódcą Korejszytów.

Było w zwyczaju notabli Korejszu oddawać swoje dzieci niańkom zamieszkałym na pustyni. Uważano powietrze Mekki za niezdrowe dla dzieci. Przywiązywano ponadto dużą wagę do czystości języka arabskiego, którą pielęgnowano w naturalny sposób w społecznościach stepowych (badia). Wychowaniem Muhammada zajmowała się też matka Amina i niewolnica Umm Ayman. Jednak w 576 r. matka nagle zmarła w drodze powrotnej z jej miasta rodzinnego Jathrib (późniejsza Medyna), gdzie wraz z synem i niewolnicą złożyli wizytę.

Po śmierci dziadka w 579 r., opiekę nad Muhammadem przejął jego stryj Abu Talib. Ten ostatni, pomimo sprawowania funkcji opiekuna Ka'by, musiał poprawiać finanse licznej rodziny poprzez udział w handlu z Jemenem i Syrią. Zabrał też bratanka ze sobą do Syrii, gdzie Muhammad po raz pierwszy zetknął się z cywilizacją bizantyjską i syryjską odmianą chrześcijaństwa. Druga natomiast jego podróż do Syrii miała miejsce w 594 **roku,** tym razem w charakterze pełnomocnika bogatej wdowy — Chadżidży, z którą ożenił się w wieku 25 lat. Aż do jej śmierci, Chadżidża pozostała jedyną żoną Muhammada. Wydała ona na świat dwóch synów, którzy zmarli w bardzo młodym wieku i cztery córki: Rukaja, Zejneb, Umm Kulthum i Fatima.

Niewiele zdarzeń znamy z publicznej działalności Muhammada z okresu pierwszych piętnastu lat po zawarciu małżeństwa — czyli do 40 roku życia. Jedno z nich wiąże się z jego rolą w rozstrzygnięciu sporu wokół **Czarnego Kamienia** — najważniejszego obiektu sakralnego Ka'by czasów pogaństwa i Islamu. Podczas odbudowy świątyni powstał spór między uczestniczącymi w tym dziele rodami o to, któremu z nich przypadnie zaszczyt przenoszenia Czarnego Kamienia na swoje miejsce. Spór trwał kilka dni i groził wybuchem krwawych walk. Uzgodniono jednak — głosi tradycja — że rozjemca będzie pierwsza osoba wchodząca do Świątyni. Tą osobą był właśnie Muhammad, znany i poważany w Mekce i dlatego przywódcy plemienni potwierdzili swoje wcześniejsze uzgodnienie. Zapoznawszy się z problemem, przyszły prorok rozłożył na ziemi płaszcz, położył na nim Czarny Kamień i kazał przywódcom przenieść go chwytając za końce tego płaszcza. We właściwym zaś miejscu sam położył Kamień w swoim stałym położeniu.

W Arabii czasów przedmuzułmańskich pobożni i kontemplacyjnie nastawieni ludzie zwyczajowo wycofywali się z życia publicznego na określony czas i ta praktyka powtarzana co roku znana była pod nazwą „tahannuf" (oczyszczenie). Miejscem odosobnienia Muhammada była jaskinia znajdująca się w górze Marra' w odległości kilku kilometrów od Mekki. Tam w czterdziestym roku życia (tj. w 610 r.) rozmyślania jego przerwała wizja proroca; ukazujący się anioł trzykrotnie kazał mu: **„czytaj!"** (ikra' — stąd słowo Koran), a on odpowiadał: **„Co mam czytać?"** Wówczas anioł (był nim Archanioł Gabriel, jak głosi tradycja muzułmańska) recytował Muhammadowi pierwszą surę (księga, rozdział) Koranu. Brzmiała ona w części następująco (XCVI):

„Czytaj: (Głoś) w imię twego Pana, który stworzył!

Stworzył człowieka z grudki krwi!

Czytaj! Twój Pan jest **najbardziej dobrotliwy!**

Ten, który nauczył człowieka przez pióro;

nauczył człowieka tego, czego on nie wiedział".

Odtąd zaczyna się misja Muhammada jako Proroka Islamu. Pierwszy okres działalności miał charakter tajny i polegał na wyznaniu wiary „la ilaha illa-lah" **(Nie ma boga prócz Allaha).** Pierwszymi wyznawcami Islamu byli: żona Muhammada — Chadżidża, jego kuzyn syn Abu Taliba i późniejszy zięć — Ali, jego wyzwolony niewolnik — Zeid oraz późniejszy kalif Abu Bakr. Nowa religia nawiązywała też do wiary Abrahama, z którego Korejszyci wywodzili swoją genealogię i który miał wraz z synem Ismailem zbudować Ka'bę. W około trzy lata później, zapoczątkowano publiczny etap działalności, co wiąże się z wersetami sury Koranu zwanej „Al-Madaththir" (LXXIV):

„O ty, okryty szatą!

Powstań i ostrzegaj!

I twego Pana wysławiaj!"

Niepowodzenia w pozyskaniu elity mekkańskiej na rzecz nowej wiary — choć pojedynczy jej przedstawiciele przyjęli Islam — skłoniły Muhammada do propagowania swego posłannictwa wśród ludu. Z tego okresu pochodzi szereg wersetów Świętej Księgi Islamu o dniu sądu ostatecznego, które siały niepokój wśród niewiernych. Dalsza działalność Muhammada oraz odrzucenie dotychczasowych bóstw i przekonań oburzały notabli Korejszu — tym bardziej że zwalczanie ich wiary równocześnie naruszało ich interesy materialne.

W związku z tym, że Islam uznał równość klas i ras przyciągał przede wszystkim niewolników. Ci z kolei — jako najsłabsze ogniwo ówczesnego społeczeństwa — bywali poddawani okrutnym torturom. Choć kilku z nich odkupił i wyzwolił bogaty Abu Bakr.

Fanatyzm i potęga elity Mekki odstraszały ludzi od przyjęcia Islamu. Stąd kolejne wersety i sury koraniczne gniewnie groziły bogatym i despotom za wykorzystywanie biedoty. Wywierano również naciski na Muhammada i seniora rodu Haszymitów Abu Taliba; były też próby perswazji, a następnie dyskredytacji. Wezwano Muhammada, by cudami udowodnił swoje posłannictwo. W odpowiedzi, stale recytował im wersety Koranu i właśnie — piękny i bogaty pod względem językowym — Koran uważał za jedyny cud Islamu. Piękno języka należało do największych wartości Arabii przedislamskiej. Słuchając wersetów tej Księgi, Arabowie Hidżazu bywali urzeczeni jej niespotykanym stylem. Mogą to być — mówiono — jedynie słowa Stwórcy. Dlatego, aby chronić ludność przez jego czarem, Korejszyci wprowadzili zakaz słuchania Koranu.

W sytuacji ogółu muzułmanów stała się wyjątkowo trudna. Wobec nasilenia się terroru Muhammad radził wyznawcom Islamu — szczególnie fizycznie słabszym — wyemigrować do Abisynii, której chrześcijański władca miał opinię człowieka tolerancyjnego i sprawiedliwego. Prawdziwym podłożem jego poczynań mogła być tradycyjna chęć osłabienia Mekki. **Pierwsza grupa emigrantów udała się do Abisynii w 615 r.**

Właśnie w czasie, kiedy część wiernych przebywała w Abisynii zaszły — przynajmniej według relacji niektórych biografów — wydarzenia zwane opowieścią o wersetach satanicznych. Oto jak przedstawia się jedna z jej wersji.

Wobec terroru i wzmożonego nacisku Korejszytów oraz braku postępu nowej wiary (liczba wyznawców wynosiła zaledwie kilkadziesiąt osób), Muhammad miał jakoby dopuścić się wyłomu w dotychczasowym kategorycznym monoteizmie z myślą o pozyskaniu przychylności notabli Mekki. Sprawa dotyczy ściśle kilku wersetów sury Koranu „An-Nadżm" (Gwiazda), które brzmią następująco (LIII, 19-23):

„Czy widzieliście Al-Lat i Al-Uzza,

i Manat — tę trzecią?

Czyż wy możecie mieć mężczyzn,

a On jedynie kobiety?

Byłoby to podziałem niegodziwym.

Są to tylko imiona,

którymi wy je nazywacie

— wy i wasi ojcowie.

Bóg nie zesłał im żadnej władzy".

Wymienione trzy boginie należały do panteonu bóstw Mekki. Pogańscy Arabowie mniemali, że boginie te były córami jednego z bóstw noszącego imię **Allach (LII, 39).** Wracając do narracji, Muhammad miał podczas spotkania z Korejszytami ogłosić odmienną wersję tych wersetów. Brzmiała ona:

„Czy widzieliście Al-Lat i Al-Uzza,

i Manat — tę trzecią?

Są one boginiami na wysokości.

Ich łaska (szafa' — łaska, pośrednictwo) jest godna pragnienia".

Dalsze słowa były zgodne z wyżej podanym tekstem.

Innymi słowy, Muhammad uznał wymienione boginie za godne czci bóstwa podległe Naczelnemu Bogu (Allachowi). Na poparcie autentyczności tej relacji historycznej podano fakt powrotu niektórych emigrantów muzułmańskich z Abisynii. Zdarzenie musiało doprowadzić do odwilży w stosunkach z Mekkańczykami i zaniechania prześladowań. Ta sytuacja musiała trwać wystarczająco długo, by wieść o niej dotarła do emigrantów.

Inne wersje tej opowieści podają szczegółową relację o stosunku Muhammada do bogiń Korejszu. Pisano, że nie mógł on całkowicie ignorować żądania Mekkańczyków przyznania ich bóstwom jakiegoś miejsca w swojej religii w zamian za ich poparcie dla jego misji.

Biografowie piszą — kontynuując opowieść o wersetach satanicznych — jak pewnego wieczoru Muhammad i przybyły w tym celu Archanioł Gabriel dokładnie sprawdzili surę „An-Nadżm". Gdy dotarli do spornych wierszy (Są one boginiami na wysokości. Ich łaska jest godna pragnienia), Gabriel zapytał skąd się one wzięły; a Muhammad wówczas odpowiedział: **„Musiałem przypisać Bogu to co On nie powiedział".** Wersety te miał jakoby szatan wplatać w język Proroka, i stąd ich nazwa. Następnie Muhammad otrzymał kolejne objawienie, które niejako pośrednio potwierdza prawdziwość relacji (XVII, 73-75):

„Oni byli już bliscy tego,

by pokusą odwieść cię od wszystkiego,

co tobie objawiliśmy;

abyś wymyślił przeciwko Nam

coś innego.

I wtedy oni wzięliby sobie ciebie

jako bliskiego przyjaciela.

I gdybyśmy cię nie umocnili,

to byłbyś gotów

skłonić się ku nim.

Wtedy dalibyśmy ci zakosztować

podwójnie życia i podwójnie śmierci,

Potem już nie znalazłbyś dla siebie,

przeciwko Nam żadnego pomocnika".

W końcu, Muhammad odwołał wersety zwane satanicznymi, a prawidłowe brzmienie sury znajdujemy w Koranie. Nastąpił — więc — powrót do jednoznacznego monoteizmu.

Taka jest opowieść o boginiach w relacji niejednego biografa. Została ona rozmaicie zrelacjonowana przez egzegetów muzułmańskich i orientalistów. Niektórzy znawcy dziejów Islamu uznają jej prawdziwość, lecz zdecydowana większość teologów muzułmańskich odrzuca autentyczność relacji. Nic dziwnego, gdyż spór jest niebagatelny i dotyczy podstawowego kanonu wiary — a mianowicie idei jedności i jedności Boga (tawhid). To z jednej strony. Z drugiej zaś strony, zagadnienie posiada jeszcze głębsze implikacje. Jeżeli Muhammad mógł sobie pozwolić na zmianę wersetów w celach kalkulatywnych — czyli po to, aby pozyskać Korejszytów — to jego boskie powołanie znalazłoby się pod znakiem zapytania.

ze str. 1

wski. — *Od tego czasu Europa przeszła wielki proces ewolucji politycznej, który podstawowo zmienił postać jej najważniejszych zagadnień".*

Roman Dmowski pisał to *„w przededniu nowego urządzania"*, jakie miało nastąpić po pierwszej wojnie światowej. Chciał, aby ci, którzy będą Europę od nowa urządzali, zrozumieli procesy, jakim podlegała od 1815 roku. Jego zdaniem najwyraźniej było to widać na przykładzie Cesarstwa Austro-Węgier. Już wtedy dostrzegł, iż państwo to znajduje się w takim położeniu, że *„nie może długo istnieć i że rozkład jego w bardzo bliskiej przyszłości jest nieunikniony"*. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Narody budziły się do samodzielnego życia, rosła ich świadomość, rozwijała się kultura, choć ucisk wielonarodowych monarchii był nadal silny i trwały procesy wynaradawiania. Przede wszystkim starano się uciskane narody pozbawić ich inteligencji. Dostrzegł to Stanisław Grabski podczas wakacji, jakie spędzał na Słowacji. Słowacja należała do Królestwa Węgier i była poddawana procesowi madziaryzacji. Wyraziło się to zamknięciem szkolnictwa słowackiego. *„Na parę lat przed mym przybyciem na Węgry* — napisał w swoich „Pamiętnikach" — *zostało zamknięte jedyne, jakie było słowackie gimnazjum prywatne w Turczyńskim Świętym Marcinie.* (Obecnie Martin — przyp. L. W.) *Jedyną kulturalną instytucją słowacką w owym czasie było znajdujące się w tymże Św. Marcinie muzeum etnograficzne. W gimnazjach uczono tylko po madziarsku. Również w szkołach ludowych główny nacisk był położony na naukę języka madziarskiego".* Jedynie około 15 proc. absolwentów gimnazjów czuło się nadal Słowakami. W tej sytuacji ostoją świadomości narodowej Słowaków był lud i kler. A Stanisław Grabski przebywał na Słowacji pod koniec XIX wieku, w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych.

Mimo ucisku narodowościowego, mimo madziaryzacji Słowacy myśleli o... autonomii. *„Nikt tam wówczas* — napisał Stanisław Grabski w „Pamiętnikach" — *nie marzył nawet o rozpadnięciu się habsburskiej monarchii. Szczytem marzeń był swobodny w ramach państwowości węgierskiej rozwój kultury słowackiej, przede wszystkim słowackiego szkolnictwa".* Nikt ze słowackich narodowców nie myślał nawet o tym, aby można było odłączyć Słowację od Węgier a Czechy od Austrii i połączyć je w jedno państwo. *„Koncepcja narodu czechosłowackiego* — napisał Stanisław Grabski — *gdyby ją kto był wówczas wysunął, wydałaby się im cudaczna".* I to było wielce charakterystyczne dla kształtujących się wówczas ruchów narodowościowych. Szczytem marzeń była co najwyżej autonomia.

Węgrzy również myśleli o samodzielnym państwie, ale miałoby ono pozostać nadal w ramach monarchii Habsburgów. Chodziłoby zatem o to, aby cesarz Franciszek Józef nie był jednocześnie królem Węgier. Koronę świętego Stefana chcieli Węgrzy powierzyć komuś z rodu Habsburgów. Dwór wiedeński miał gotowe lekarstwo na tego rodzaju ciągoty Węgrów Było nim powszechne prawo wyborcze, które niemal automatycznie odbierało Madziarom rolę dominującą, a z tym oni nie chcieli i nie mogli pogodzić się.

Do dworu wiedeńskiego płynęły sygnały o budzących się dążeniach narodów monarchii habsburskiej. Szukano różnych sposobów kompromisu Na Morawach na przykład, gdzie toczyła się zacięta walka między Czechami i Niemcami doprowadzono do porozumienia i w 1905 roku zawarto ugodę, według której Czesi i Niemcy szli do wyborów oddzielnie. W 1910 roku podobną ugodę zawarto na Bukowinie, gdzie sytuacja była bardziej skomplikowana i trudna, gdyż mieszkali tu obok siebie Niemcy, Rumuni Polacy i Ukraińcy. Zmiana prawa wyborczego w Galicji w 1914 roku dawała nadzieję na zawarcie podobnej ugody między Polakami i Ukraińcami. Wojna zmieniła tę sytuację radykalnie.

Początkowe dążenia do autonomii i rozwoju własnej kultury zmieniły się i coraz śmielej zaczęto myśleć o pełnej niepodległości. Takich rozwiązań zaczną poszukiwać Polacy, Czesi, Ukraińcy oraz Słowianie południowi. Tylko Niemcy i Włosi z przygranicznych terenów marzyli o przyłączeniu się do Cesarstwa Niemiec lub do Królestwa Włoch. Nie miały też większego znaczenia dążenia prorosyjskie w Cesarstwie Austro-Węgier.

Koniec dziewiętnastowiecznej Europy

3. Coraz więcej Słowian.

Mieszkający w granicach monarchii habsburskiej Rumuni i Serbowie, chociaż mieli własne państwa, nie chcieli być do tych państw przyłączeni. Traktowali je — zgodnie zresztą z rzeczywistością jako małe i zacofane państwa bałkańskie. Nie potrafili przewidzieć, że te małe państwa odegrają niebawem dużą rolę.

Rok 1870 można uznać za koniec procesu zjednoczenia Niemiec. Rosnąca siła Cesarstwa Niemiec przerażała Słowian z Austrii. Obawiali się, że silne Niemcy mogą sięgnąć po terytoria słabej Austrii i wówczas ich los nie będzie do pozazdroszczenia. Czeka ich nieuchronna germanizacja. Toteż w 1870 roku przedstawiciele Chorwacji, Serbii i Słowenii spotkali się w Lubljanie i postanowili podjąć walkę o własne państwo. Zgodnie jednak z panującymi wówczas w tej dziedzinie poglądami i dążeniami państwo to miałoby być tylko częścią monarchii habsburskiej. Zrodziła się im koncepcja monarchii potrójnej: austriacko-węgiersko-słowiańskiej. Taka koncepcja odpowiadała też Czechom, którzy marzyli o uniezależnieniu korony świętego Wacława. Koronę tę mógł z powodzeniem nosić któryś z licznych Habsburgów.

Ówcześni politycy nie wyciągnęli jeszcze wniosków z rozpadu monarchii osmańskiej, nie byli jeszcze zdolni przewidzieć upadku monarchii wielonarodowych. Do tego potrzebna była wojna. Natomiast w Berlinie, Petersburgu i Wiedniu dostrzeżono, że słabnąca Turcja może stać się łatwym łupem. W 1872 roku w Berlinie spotkali się więc cesarze: Austrii, Niemiec i Rosji i postanowili, że wszelkie poczynania na Bałkanach będą wzajemnie konsultować i uzgadniać.

W 1875 roku wybuchło powstanie w Hercegowinie i przeniosło się do Bośni. Walczącym z Turcją powstańcom z pomocą w 1876 roku pośpieszyły Czarnogóra i Serbia. Rosja, zainteresowana osłabieniem Turcji, popierała walkę południowych Słowian. Austria natomiast dążyła do przyłączenia Bośni i Hercegowiny. Nic nie stało zatem na przeszkodzie wzajemnemu porozumieniu: Austria zobowiązała się nie przeszkadzać walczącym Słowianom w zamian za co miała otrzymać Bośnię i Hercegowinę. Ale tak się nie stało.

Turcja poniosła w 1878 roku klęskę i zmuszona była do zawarcia pokoju w San Stefano. Austria jednak nie otrzymała ani Bośni, ani Hercegowiny. Musiano dopiero w Berlinie dokonać korekty postanowień z San Stefano i w 1878 roku wojska austriackie mogły wkroczyć do Bośni i Hercegowiny. Nie spotkano ich tam przychylnie. Spotkały ich tam strzały. Austriacy musieli zdobywać wsie i miasta. 5 sierpnia 1878 roku zdobyli Mostar, a 19 sierpnia — Sarajewo.

Austrii to jednak nie zadowalało. Jej nie wystarczała okupacja, dążyła do aneksji zajętych terenów. Stało się to dopiero w 1908 roku. Ale sytuacja na Bałkanach była już zupełnie inna, niż w 1878 roku. Okupacja Bośni i Hercegowiny ograniczały Serbię. W 1903 roku dokonał się tam krwawy przewrót — zamordowano parę królewską, a na tronie w Belgradzie zasiadł Piotr Karadjordjović, zaciekły przeciwnik Austro-Węgier, zwolennik walki Słowian południowych o wolność i niepodległość. Serbia stała się teraz ośrodkiem tej walki. Chorwaci i Serbowie z Austrii i Węgier przyjęli ten fakt z wdzięcznością i nadzieją.

Radykalnie teraz zmieniło się położenie Słowian w monarchii habsburskiej. Zaczęli dominować liczebnie. Przestali toczyć spory między sobą. Węgrzy na przykład wykorzystywali te spory dla panowania nad narodowymi większościami. Szczególnie usilnie korzystali z waśni między Chorwatami i Serbami. Chorwaci bowiem uważali Serbów za... gorszych Słowian, bo prawosławnych. Po 1908 roku Serbowie w Zalitawii przestają występować przeciw Chorwatom z Przedlitawii. Niewielka rzeczka płynąca u podnóża Gór Litawskich — Litawa rozdzielała Austro-Węgry na Austrię i Węgry. Austria — to była inaczej Przedlitawia, Węgry — Zalitawia. Tyle gwoli wyjaśnienia.

Z początkiem XX wieku musiał zmienić się stosunek dworu wiedeńskiego do Słowian. Wzrost ich liczebności w monarchii Habsburskiej zaczął niepokoić polityków w Berlinie. Monarchia Hohenzollernów też miała mniejszości narodowe, a w tym Słowian — Polaków. Berlin usiłował wpływać zdecydowanie na politykę Wiednia. Rosnąca liczebność Słowian w monarchii Habsburskiej mogła te wpływy pomniejszyć. Nie były to płonne niepokoje.

Na rozwój niepodległościowych dążeń Słowian południowych wpłynął w nieoczekiwany sposób cesarz Franciszek Józef. Głosił on wszem i wobec każdemu, że jest cesarzem wszystkich poddanych. Był jednocześnie cesarzem Austrii i królem Węgier. Do tej pory cesarz Austrii nie stawał przeciw królowi Węgier. Aż przyszedł taki moment, że trzeba było podjąć jednoznaczną decyzję. Oto zgłosiła się do niego delegacja posłów z Chorwacji i poprosiła, aby Franciszek Józef jako król Węgier wziął w obronę Słowian prześladowanych w Zalitawii, czyli na Węgrzech.

Franciszek Józef stanął wobec nieoczekiwanego dylematu. Cesarz miał skarcić króla. Było to niemożliwe. Nie wziął Słowian z Zalitawii w obronę. Dał tym do zrozumienia chorwackim posłom, że... mogą liczyć tylko na siebie. W 1905 roku doszło do spotkania w Rijece polityków słowiańskich, którzy postanowili walczyć... o niepodległą Jugosławię. Przyłączyli się do nich politycy serbscy zebrani w Zadarze. Sprzeczności monarchii habsburskiej sięgały szczytów.

4. Pod czyim protektoratem?

W wielonarodowym Cesarstwie Wszechrosji też rodziły się myśli o niezależności. Klęska polskich powstań zmuszała do poszukiwań innych sposobów walki o utrzymanie narodowych więzi. W takiej sytuacji znaleźli się między innymi Finowie. W Finlandii bardzo popularne były polskie powstania, ale jednocześnie fiński myśliciel i polityk — Wilhelm Johan Snellman przestrzegał swoich rodaków przed naśladowaniem Polaków. Jego zdaniem *wszystkich warstw narodu, zdrowy instynkt piastowskiego ludu.*

Klęska Niemiec w tej walce — to nasze zwycięstwo! (...) Dziś — wobec ujawnionej woli narodu polskiego, który całą siłą swej duszy przeciw Niemcom stanął, wobec faktu, że po przeciwnej stronie jako świadoma swych celów, samoistna siła stoją jedynie Niemcy, wszystko zaś, co obok nich walczy, to tylko narzędzia ich planów — wszelka dobrowolna pomoc okazywana Niemcom i ich sojusznikom ze strony polskiej musi być uważana za przestępstwo przeciw Polsce".

Przyszłości Polski pod panowaniem carów szukali również realiści z Erazmem Piltzem na czele. Życzyli, aby Rosja pokonała *„tęutońską nawałę"* i pomagali tworzyć polski legion. Łudzili się, że po rozbiciu Niemiec nastąpi *„zjednoczenie Polski pod berłem monarchy rosyjskiego".*

Zwolennicy orientacji prorosyjskiej znaleźli się w trudnej sytuacji, gdy ziemie polskie zajęły wojska niemieckie. Nie zrezygnowali jednak ze swoich poglądów i nadziei. W październiku 1915 roku utworzyli Międzypartyjne Koło Polityczne, w którym skupili się wszyscy zwolennicy tej orientacji.

Józef Piłsudski nie krył, że jako cel udziału Polaków w wojnie jest *„połączenie obu zaborów — Galicji i zaboru rosyjskiego — we wspólny organizm"* związany z Austrią. Gdy praktyka wojenna pokazała niedostatek tej koncepcji, bo Austrię interesowali tylko polscy żołnierze, bo Austria ukazała całą swą słabość, wówczas Wojciech Korfanty i Władysław Jodko-Narkiewicz — bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego — udali się do Berlina. Tam rozmawiali o możliwości utworzenia państwa polskiego pod berłem Hohenzollernów. Obejmowałoby to państwo tereny Królestwa Polskiego i Kresy Wschodnie. Niemców to jednak jeszcze nie interesowało.

Dopiero 5 listopada 1916 roku dwaj cesarze: Austrii i Niemiec — wydali proklamację, w której obiecywano Polakom państwo bez określenia granic, które byłoby monarchią dziedziczną, ale bez określenia, kto będzie miał koronę, z własną armią i polityką zagraniczną. Proklamację tę podpisali w ich imieniu: generalny gubernator austriacki gen. Kark Kuk i generalny gubernator niemiecki gen. Hans von Beseler. Był to wszakże rezultat myślenia, kiedy nie można było nawet założyć, że bez monarchy cokolwiek da się w Europie zmienić. Ale wojna odsunęła ten sposób myślenia na dalszy plan. W Europie miał zapanować nowy porządek — wersalski. Tylko że to już inny rozdział jej historii.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Obradowała RKO „Solidarności"

Zamiast wyboru — brak kworum

We wtorek 7 listopada 1989 r. nastąpić miał kolejny wstrząs personalny w „prowałęsowskim" odłamie łódzkiej „Solidarności". Pierwszy zdarzył się w sierpniu 1989 r., gdy podała się do dymisji część prezydium Regionalnej Komisji Organizacyjnej, zdążywszy wpierw zarzucić przewodniczącemu RKO **Ryszardowi Kostrzewie** kilka związkowych grzechów głównych. Ryszard Kostrzewa potrafił obronić swą pozycję, dobrał sobie nowych współpracowników. Jednakże w 2 miesiące później, 5 października 1989 r. zrezygnował nagle z przewodniczącego RKO, zadowalając się członkostwem w prezydium. Zanim wyjechał na urlop, desygnował na p.o. przewodniczącego RKO (do czasu rychłych wyborów władz regionu) Wiesława Juszczaka. Cisza nie trwała jednak długo.

Pod koniec października okazało się, że wśród części członków RKO silne są dążenia do tego, aby — nie bacząc na krótki okres, jaki pozostał do Walnego Zgromadzenia Delegatów regionu — zastąpić p.o. szefa RKO przewodniczącym z wyboru. Co prawda także tymczasowym, ale — nie z nominacji. Zdaniem rzecznika prasowego łódzkiej „Solidarności" **Tadeusza Zwiedryńskiego,** optowała za tym jedynie kilkunastoosobowa grupa. Przeforsowała ona wniosek w tej sprawie pod koniec obrad, przy małej frekwencji na sali. W ten jednak sposób następne, a zarazem ostatnie przed wyborami w regionie posiedzenie RKO zwołano specjalnie po to, aby raz jeszcze pokłócić się o kwestie personalne.

Na wstępie tego „ostatniego" posiedzenia RKO odczytano dwa dramatyczne oświadczenia przewodniczących komisji zakładowych. Pierwszy z nich (z **Łódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Telekomunikacyjnych**) w proteście przeciwko ciągłym rozgrywkom w kierownictwie zrezygnował z uczestnictwa w komisji rewizyjnej, zaś druga (przewodnicząca z **„Ema-Elester"**) odmówiła uczestniczenia w wyborze przewodniczącego RKO, wyrażając się bardzo ostro o kondycji związku i polityce jego kierownictwa: **— Dawałam przyzwolenie do obłędnej polityki — milcząc. Utraciliśmy moralne prawo do reprezentowania „Solidarności".** Wybór, który byłby ważny jedynie przez kilka tygodni, uznała za bezsensowny.

Podobne wątpliwości wyrazili zaraz inni; wnet okazało się, że panuje w tej sprawie na sali spora dezorientacja. Podejrzewano manipulacje, zakulisową walkę o wpływy. Obawiano się, iż kolejny wstrząs personalny wyjdzie tylko na korzyść konkurencyjnemu Zarządowi Regionu. Wątpliwości i podejrzenia spróbował rozwiać poseł **Jerzy Dłużniewski,** interweniując energicznie na rzecz wyboru. Argumentował:

— Chodzi o uspokojenie nastrojów w mieście, a nie o nowego przewodniczącego. Chodzi o to, aby prezydium miało śmiałość, na czyje właściwie poparcie może liczyć, skoro tylko 165 zakładów na 500 płaci składki. Głosujmy więc, żeby przewodniczący wiedział, że go popiernie!

Nie wszystkich ta argumentacja przekonała, zwłaszcza, iż p.o. przewodniczący RKO był zdecydowanie przeciwny głosowaniu, co sugerowało, że wysunięta zostanie jednak inna kandydatura.

Do wyborów wszakże nie doszło, zaś emocje, zanim rozpaliły się na dobre — opadły z przyczyny powodu: zabrakło kworum. Nie zjawiła się nawet połowa z zarejestrowanych w RKO komisji zakładowych, nie można więc było — w myśl uchwały KKW „Solidarność" — przeprowadzić wyboru. Aż dziw bierze, że liczono w ogóle na większą reprezentatywność sali: bywalcy posiedzeń RKO przypominają sobie, iż kworum było po raz ostatni w czasie sierpniowego przesilenia. O tym, że na 517 komisji RKO jest tylko około 200 aktywnych, a reszta to „martwe dusze", dyskutuje się od dawna, postulując m.in. wprowadzenie skreśleń za trzy nieobecności. Niestety — zasada, iż niezależnie od liczebności organizacji związkowej, każda z komisji zakładowych dysponuje po jednym mandacie — kładzie się długim cieniem na obradach RKO, ograniczając znacznie skuteczność działania. Demokracja jednak kosztuje...

Demokracja kosztuje zwłaszcza wtedy, gdy trzeba się jej dopiero uczyć. Przez ostatnie pół godziny posiedzenia RKO dyskutowano zaciekle na temat postępowania premiera **Tadeusza Mazowieckiego** dobrze zrobił, czy źle, przyjmując zaproszenie na koncert poświęcony rocznicy rewolucji październikowej? Początkowo sala była nastawiona do premiera negatywnie. Gdy poproszono o głosowanie, aby zorientować się, ile osób chciałoby potępić premiera w specjalnie wydanym oświadczeniu, podniosło się do góry bardzo wiele rąk. Później, po kilku rozsądnych wypowiedziach członków RKO, argumentujących, że takie oświadczenie byłoby co najmniej niepolityczne, zarządzono ponowne głosowanie, tym razem już formalne. Za oświadczeniem — nie było prawie nikogo... Sala dość łatwo dała się przekonać, a przedtem tak niewiele brakowało, aby potępiającą rezolucję wypuścić w świat...

Na zakończenie nieco o finansach „Solidarności", bo i te sprawy wzbudziły kontrowersje. O tym, ile zakładów nie płaci składek, mówił cytowany już przeze mnie poseł **Jerzy Dłużniewski.** Przewodniczący **Wiesław Juszczak** podał natomiast, jak wysokie są długi RKO: **16 mln 782 tys. złotych.** Są one na tyle duże, iż wstrzymano wypłaty dla szefów „Solidarności", przewodniczącego RKO nie wyłączając.

Nie od rzeczy będzie w tej sytuacji dodać, iż każde posiedzenie RKO kosztuje organizatorów około pół miliona złotych.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Bez komentarza

APEL ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH

Ponadmilionowa aglomeracja łódzka należy do tych nielicznych regionów Polski, w których nieobecne są środki społecznej komunikacji, reprezentujące i odzwierciedlające rzeczywiste poglądy i opinie mieszkańców.

Trzy dzienniki łódzkie: „Głos Robotniczy", „Dziennik Łódzki" i „Express Ilustrowany" oraz tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" należą do monopolu RSW „Prasa-Książka-Ruch" i znajdują się pod całkowitą kontrolą PZPR. Większość zatrudnionych tam dziennikarzy, a przede wszystkim gremia kierownicze redakcji, to znani z dyspozycyjności członkowie PZPR. Także do Łódzkiego Ośrodka Radia i Telewizji nie dotarły jeszcze intencje zapowiadanych przez prezesa Andrzeja Drawicza zmian w polityce informacyjnej. Nie mogły dotrzeć, ponieważ lokalnie politykę tę realizują zespoły utworzone w czasie stanu wojennego. Jest sprawą groźną i uwłaczającą społeczeństwu Łodzi, że nie ma ono możliwości prowadzenia autentycznego dialogu o najważniejszych sprawach tej jakże zaniedbanej aglomeracji.

Zbliżamy się do wyborów samorządowych. Nie wyobrażamy sobie, aby miały one jakikolwiek sens o ile nie będą poprzedzone prawidłową, wszechstronną i reprezentatywną dla wszystkich środowisk publiczną dyskusją o teraźniejszości i przyszłości Łodzi. W warunkach obecnego monopolu propagandowego jest to niemożliwe. Dlatego — opowiadając się za koniecznością przyspieszenia prac nad likwidacją monopolu RSW „Prasa-Książka-Ruch" jednocześnie zwracamy się do Rady Ministrów o rozważenie możliwości udostępnienia już teraz pewnych tytułów społeczeństwu Łodzi.

Nie oczekujemy od rządu nakładów finansowych na nowe tytuły. Chcemy jedynie, aby w ramach już istniejących środków masowej komunikacji, przynajmniej część z nich służyła większości społeczeństwa, wolna była od kontroli PZPR i dotychczasowych układów personalno-nomenklaturowych.

Reprywatyzacja po polsku, czyli arogancja decydentów.

Gorzki smak prywatnej tabletki

MAREK KOPROWSKI

List personelu apteki nr 01076 w Warszawie brzmi dramatycznie:

„W dniu 16.09.89 r. na zebraniu kierowników aptek dowiedziałyśmy się o przekazaniu naszej apteki w prywatne ręce. Postawienie nas przed faktem dokonanym i podejmowanie decyzji poza naszymi plecami uważamy za jawne naruszenie naszych praw pracowniczych. Nie jesteśmy przeciwne reprywatyzacji aptek, ale personel apteki (od lat stały) powinien być w pierwszej kolejności zapytany, czy zgodziłby się na przejęcie apteki. Na zebraniu była również mowa o utrzymaniu sieci placówek społecznych, a z kolei w najbliższej okolicy, z tego co nam wiadomo, na pięć aptek cztery byłyby prywatne. Oczywistą sprawą jest, że każdy ajent dążyłby do takiego ustawiania asortymentu tych aptek, na który jest największe zapotrzebowanie, a tym samym maksymalny obrót (...) Usytuowanie apteki przy ul. Chełmskiej, tzn. w dzielnicy o przeważającej liczbie ludzi starych, spowodowałoby uniemożliwienie im zakupu leków tanich. Inna sprawa, to traktowanie zżytego od lat personelu. Kiedy w innych aptekach następowała rotacja pracowników, tutaj ten sam personel pracuje od co najmniej 10 lat. Sposób załatwiania sprawy przypomina najgorsze lata, w których rozbijano najlepiej pracujące zespoły ludzkie, a przeciwko takiemu stawianiu sprawy kategorycznie protestujemy".

List podpisany przez kierownictwo i personel apteki (11 osób) skierowano do dyrektora PZF CEFARM mgr Zygmunta Olińskiego z odpisami do ministra zdrowia, przewodniczącej komisji zdrowia przy Sejmie PRL i NSZZ „Solidarność" pracowników CEFARMU. Do połowy października 1989 r. znikąd nie nadeszły odpowiedzi, ale sprawa nabrała rozgłosu, bowiem — jak się okazało — zaczęto zmieniać formę własności aptek masowo. Jak to u nas: wpadnięto z krańcowości w krańcowość, zgodnie z filozofią owczego pędu. Owa radosna twórczość decydentów, nie poparta aktami prawnymi, ani żadnymi przepisami czy rozporządzeniami, wprawiała w osłupienie i zrozumiałe zdenerwowanie wieloletnich pracowników farmacji, gdy nie znana bliżej nikomu paniusia okazywała koncesję, rozglądając się po aptece „jak po swoim". Pytaniu, co się stanie z personelem, odpowiadało beztroskie wzruszenie ramion. Nic więc dziwnego, że oburzeni aptekarze zaczęli siać protesty, próbując jednocześnie dochodzić, kto to wszystko wymyślił, bowiem nikt nie lubi być lekceważony i traktowany jak gówniarz bez prawa głosu. Decydentom nie chciało, ponadto, przejść przez gardło słowo „przepraszam", czy „dziękuję", za lata wcale nie najlepiej płatnej pracy. Kiedyś nazywało się to arogancją władzy. A dziś.. dokładnie tak samo, albo jeszcze gorzej, wobec nadziei na sprawiedliwość i pogrzebanie na zawsze dawno skompromitowanych metod.

„Gazeta Wyborcza" z 6—8.10. 89 r. nazywa ideę reprywatyzacji aptek słuszną, niestety, fatalnie wprowadzaną w życie. Z pierwszą częścią tego stwierdzenia można się zgodzić, natomiast druga określona jest zbyt słabo. Powiedziałbym, że wprowadzana jest w życie w sposób skandaliczny, a dodatkowo wzbudzający wątpliwości co do uczciwości intencji, rodzący podejrzenia o klikowość i kumoterstwo. Wątpliwości te pogłębiają sprzeczne „zeznania" ludzi z kręgów decyzyjnych.

„Ryszard Oliński, dyrektor CEFARM twierdzi — cytuję za „Gazetą Wyborczą" — *że polecenie sprzedawania aptek przyszło z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. W Departamencie Farmacji żadnych »poleceń« nikt sobie nie przypomina: CEFARM jest samodzielny i ze swoim majątkiem może robić, co chce".* Przerzucenie winy na „kolegę" nie udało się.

Pani Anna Zarzycka — kierownik wymienionej na wstępie apteki w Warszawie, pracuje 37 lat w Zarządzie Aptek. Sposób postawienia jej przed faktem dokonanym odczuła jak zlekceważenie i przekreślenie całego jej zawodowego życia. Próbowała, wraz z personelem, szukać sprawiedliwości, ale — jak dotąd — jej nie znalazła. W czasie remanentu zdawczo-odbiorczego była zrezygnowana. „Poddajemy się, bo nie mamy już siły walczyć" — powiedziała.

Inni wtajemniczeni, a ich nazwisk ze zrozumiałych powodów nie ujawnię, mówią wprost: *„nowi właściciele tejże apteki, to sami swoi: pani Holak była wieloletnią podwładną i dobrą znajomą dyrektora CEFARMU, a pan Józef Kuczkowski, to były dyrektor Polfy".* Przebąkuje się również, że dyr. Ryszard Oliński ma zapewnioną przyszłość w spółce produkującej leki, więc jego decyzje są tak jawnie nonszalanckie i „odważne". „Zapomniał", na przykład, o żyjących jeszcze tu i ówdzie właścicielach aptek lub ich sukcesorach. Rządzi się więc niefrasobliwie cudzą własnością jak własną. Chociaż nie: o własną dbałby, z pewnością, lepiej. Fałszywe jest również twierdzenie, że wszystkie apteki są deficytowe i warto się ich pozbyć. Dlaczego więc te w najlepszych punktach miasta już rozdysponowano między prywatnych właścicieli, a na te w gorszych rejonach nie ma chętnych? Problem nie dotyczy tylko Warszawy, przenosi się na całą Polskę, lecz w stolicy jest bardziej widoczny i tam też został wywołany.

Aby zasięgnąć wiedzy u źródła, wybieramy się z Bolesławem Łożkiem, dziennikarzem IV programu Polskiego Radia, zajmującym się tym problemem, do dyrektora Departamentu Farmacji Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej — Ryszarda Seidla. W korytarzu czeka jeszcze jeden dziennikarz z radiowej „Warszawskiej Fali". No, to przygwoździmy dyrektora pytaniami do muru.

Oto, co usłyszeliśmy:

— Odnośnie apteki przy ul. Chełmskiej, mam informację od dyrektora Olińskiego, że przyszły właściciel spełnia wszelkie warunki: finansowe, formalne, możliwości zaopatrzenia w leki, itp. Nie było więc powodów do wstrzymania decyzji o reprywatyzacji. A że są podejrzenia o znajomości...

— *To pan powiedział* — replikuje Bolesław Łożek.

— Apteki miały być w pierwszej kolejności przekazywane załodze, lecz tak się nie stało — przyznaje dyr. Ryszard Seidel. — *Wydawanie koncesji było nie do końca zorganizowane. Wydano ich ponad dwieście, do momentu wstrzymania przez Ministerstwo Zdrowia dalszych koncesji. Błędem jest nieinformowanie kierownictwa o wykupieniu ich aptek — to też przyznaję.*

— Nowy sposób wydawania koncesji usatysfakcjonuje wszystkich, a te wcześniejsze, które nie satysfakcjonują zainteresowanych, będą rozpatrywane powtórnie. Dyrektorzy CEFARMÓW winni powołać zespoły profesjonalistów do oceny kandydata pod względem fachowości, umiejętności organizacyjnych itd., coś w charakterze dawnych Izb Aptekarskich. Już zresztą powołano takie zespoły. W pierwszej kolejności koncesje otrzymywać będą spadkobiercy właścicieli, w dalszej farmaceuci zatrudnieni w danej aptece, a następnie magistrowie farmacji spoza kręgu tej apteki. W tej chwili daje się koncesje tylko farmaceutom. Koncesje, to tylko zezwolenia na działalność. Ministerstwo Zdrowia nie odbiera w przeszłości aptek, więc nie my o tym mamy rozmawiać, bo odbierał ktoś inny. Nas interesuje, aby lek był dostępny dla chorego. Obojętnie, kto będzie właścicielem, nie możemy pozwolić, żeby zaczął handlować na przykład kosmetykami, czy ziółkami, dla większego zarobku. Nie mamy możliwości w pełni uhonorować ciężko pracującego personelu. Bo czy kierownika apteki lub jego zastępcę stać będzie, by wykupić aptekę, gdy może to być suma rzędu 100—120 milionów zł.? Musimy redukować personel. Ci, którzy zostaną, będą mieli więcej pracy, ale i większe płace. Musimy więc zacząć liczyć i zacząć pracować. W aptekach prywatnych zostanie 1/3 poprzedniego zespołu.

— Co z dystrybucją leków?

— Apteki prywatne zaopatrują się w tych samych źródłach, co apteki państwowe. Biorąc pod uwagę operatywność CEFARMU, nie jest możliwe zaopatrywanie aptek raz w tygodniu, gdy na Zachodzie, bywa, leki dowozi się dwa razy dziennie. CEFARM może to zrobić dwa razy w miesiącu, a realnie raz na miesiąc. Prywatny właściciel może zamówić u monopolisty leki za minimalną sumę (bo większej, na przykład, nie posiada), a te wystarczą mu na tydzień. Trzy tygodnie musi więc czekać na następną dostawę. Musi mieć zapasy finansowe, bo nie wytrzyma, a ucierpią na tym tylko chorzy. Tym bardziej, że musi również czekać, aż Wydział Zdrowia zrefunduje mu darmowe i zniżkowe recepty. Chcemy rozszerzyć asortyment aptek: od pasty i szczoteczki do zębów, przez rękawiczki ochronne, sprzęt rehabilitacyjny, odżywki dla dzieci, środki do pielęgnacji zdrowia, aż po diety dla diabetyków, itd. Ale przede wszystkim muszą mieć leki. Można je będzie pozyskiwać nie z jednego CEFARMU, jak dotychczas, ale z innych, gdzie są nadwyżki, lepsze leki, itd. Dyrekcja CEFARMU musi jednak najpierw zaopatrzyć apteki szpitalne, które nie dają dużego zysku. Prywatne apteki wezmą więc na siebie część utrzymania aptek mało rentownych.

— Powstaje niebezpieczeństwo, że utworzy się mafia wykupująca leki i narzucająca swoją marżę, by na tym nieźle zarobić.

— Leki mają ceny państwowe i drożej ich sprzedać nie można. Nie będzie cen wolnorynkowych na leki, niezależnie, czy apteka, producent, jest prywatny czy państwowy. Ceny na leki ustanawia się w porozumieniu z sekretariatem ekonomicznym Ministerstwa Zdrowia. Zysk będzie regulował pracę prywatnej apteki. Przewidujemy, że leki nawet w nocy będą sprowadzane i sprzedawane. Nie chcemy oddawać wszystkich aptek w prywatne ręce. Minister wprowadził już odpowiednie ograniczenia.

No i świetnie.

Szkoda tylko, że na drodze do normalności i w tej dziedzinie zaległo tyle poczucia krzywdy, niesprawiedliwości i zlekceważenia ludzi, że niekompetencja i sobiepaństwo zachwiały rodzącą się wiarę w „nowe", że najpierw się coś robi, a dopiero później myśli, że trzeba pierwej zepsuć, by potem mozolnie naprawiać prostą, w sumie, rzecz. Ale to — zdaje się — bardzo polska specjalność.

Janosiki są wśród nas.

Fałszerz literat

EUGENIUSZ IWANICKI

Jest wycieczka do Włoch, w czasie której, planuje się spotkanie z Janem Pawłem II.

— Ojej, a ile to kosztuje?

— Drobiazg, 144 tysiące.

— Drogo.

— Nie ja ustaliłem tę cenę.

— Ja tylko tak, bo żeby zobaczyć Ojca Świętego, to gotowam zapłacić i więcej.

— To jak, chce pani jechać?

— Pewnie. Brat też pojedzie.

— Wpierw pieniądze.

— Rozumie się. Powiem koleżance, może to ją zainteresuje.

— Każdy może jechać, kto wpłaci 144 tysiące.

— A kto organizuje tę wycieczkę?

— Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Mieczysław Gordziejczyk vel Max Klemens Gryla, przedstawię pokrótce jego curriuculum dwuznacznie do zrozumienia, że posiada koneksje wśród najwyższych dostojników Kościoła, ponadto — co podkreśla w zaufaniu — jest człowiekiem poszukiwanym przez organa ścigania, gdyż jako aktywista „Solidarności" od momentu wprowadzenia stanu wojennego pozostaje w konspiracji.

Dwie kobiety i mężczyzna przynoszą po 144 tysiące złotych. Mieczysław Gordziejczyk dokonuje wpłaty na rachunek Towarzystwa Przyjaciół KUL, ale zaledwie po 144 złote. Na kwitach natomiast dopisuje po trzy zera i kwity wręcza zainteresowanym.

— Teraz trzeba czekać na wiadomość — *mówi.*

I ludzie czekają. Prawie rok.

Mieczysław Gordziejczyk „działa". Będąc w sanatorium w Krynicy Górskiej poznaje w kawiarni Jagienkę C. Przedstawia się jako literat i po kilku dniach znajomości prosi ją o rękę. Ślub odbywa się wkrótce i „młodzi" osiadają w Wieluniu. Kilka dni po weselu Mieczysław Gordziejczyk prosi żonę i szwagra, by założyli na swoje nazwiska książeczki oszczędnościowe PKO. Uzasadnia to tym, że jest człowiekiem słabego zdrowia, więc gdyby nagle zmarł, żona pozostałaby bez środków do życia. A on chce zabezpieczyć jej przyszłość, gdyż posiada sporą gotówkę. Jeśli tego nie zrobią, to po jego śmierci majątek jego przejmie Skarb Państwa.

Żona i szwagier idą do PKO i każde wpłaca po tysiąc złotych na książeczki. Mieczysław Gordziejczyk jest zadowolony, odbiera od nich książeczki, by po paru dniach zwrócić. Teraz na koncie żony jest 2 miliony 451 tysięcy złotych, a na koncie szwagra 6 milionów 201 tysięcy! Oszołomieni i szczęśliwi nie kwestionują wpłat ani ich nie sprawdzają.

W jakiś czas później zaczął gorąco namawiać żonę, by uszyła sobie futro z posiadanych skór lisich.

— Najlepiej szyją w Zakładach Futrzarskich w Żywcu — mówi Gordziejczyk — *więc tam je zawiozę.*

Bierze dziesięć lisich skór i wychodzi. Od tego czasu wszelki ślad ginie, zarówno po skórkach, jak i po futrze. Co się z nimi stało nikt nie wie.

Zanim wyliczę parę innych „pomysłów" Mieczysława Gordziejczyka vel Maxa Klemensa Gryla, przedstawię pokrótce jego curriculum vitae. Urodził się 27 kwietnia 1945 roku na terenie ZSRR. Do kraju wrócił w 1957 roku. Początkowo miał trudności z opanowaniem języka, ale jakoś ukończył LO dla pracujących w Strzegomiu Szczecińskim i rozpoczął pracę jako ślusarz. Jednak praca nie stała się jego hobby, nie spełniała także jego ambicji. W śledztwie zezna: *„Po raz pierwszy zostałem aresztowany za fałszowanie dokumentów i wyłudzanie pieniędzy".* I dalej: *„Drugi raz zostałem skazany wyrokiem sądu w Szczecinie na karę pozbawienia wolności 1,5 roku za fałszowanie dokumentów i wyłudzanie pieniędzy... Karę odbyłem 8 m-cy, resztę kary odbyłem w szpitalu w Potulicach".*

I tak już będzie: popełnia przestępstwo jakby nie zastanawiając się nad tym, nie stara się go ukryć, nie kryje się też sam przed oszukanymi przez siebie ludźmi. A więc nie działa jak wyrafinowany przestępca, choć jego działania są wyjątkowo skuteczne. Oto poznaje właściciela taksówki, któremu zwierza się, że pragnie kupić samochód. I od razu prosi o pożyczenie półtora miliona złotych.

— No, wie pan! — mówi taksówkarz. — *Półtora miliona, to piękna sumka. A ja mam ją pożyczyć na piękne oczy?*

— Mam zabezpieczenie — i Grodziejczyk wyciąga książeczki PKO, na których jest ponad osiem i pół miliona.

— To rozumiem — mówi taksówkarz. — *Pan jest kimś. Jutro dam pieniądze.*

I Mieczysław Gordziejczyk zainkasował półtora miliona!

Szukał także ludzi pragnących kupić dolary. Znalazł bez trudu.

— Proszę pana — mówił. — *Mogę załatwić tę sprawę w jeden jedyny sposób: dolary zostaną wpłacone na pańską książeczkę walutową. Zgoda?*

— Oczywiście, że zgoda!

Po zainkasowaniu prawie dwóch milionów, posiadaczom „zielonych" okazywał wkrótce dowody wpłaty i informował, że książeczki walutowe są do odebrania w Lublinie.

W końcu własna żona miała dość niejasnej sytuacji i zgłosiła się na milicję. W tym czasie Mieczysław Gordziejczyk odpoczywał w najlepsze w kawiarni hotelu „Prosna" w Kaliszu, obmyślając kolejną aferę.

Początkowo wydawało się, że sprawa Gordziejczyka będzie zwykłą sprawą o oszustwa, jakich nie brakuje w naszym przestępczym krajobrazie. Jednakże już pierwsze przesłuchanie oraz zabezpieczone dowody znalezione przy zatrzymanym sprawiły, że Prokuratura Wojewódzka w Sieradzu była zmuszona całą sprawę odnieść do zupełnie innych pragrafów kodeksu karnego, niżby to wynikało z samej istoty przestępstwa. Oto bowiem przy Mieczysławie Gordziejczyku znaleziono sporo pieczęci. Właściwie prymitywnie wykonanych, bez dbałości o szczegóły, stempli. Oto kilka przykładów: Konspiracyjny 8 Bank Polski „Solidarność". W środku napisu orzeł w koronie odciśnięty z przedwojennej monety, a więc siłą rzeczy mający dziób skierowany w prawą stronę. 2. Krzyż z kotwicą, w środku korona 3 Sekretarz Episkopatu Polski. 4. Trójkąt z niezrozumiałymi figurami na jego polu. 5. Koło także z tajemniczymi figurami 6. Klucze Piotrowe z aniołami po obu bokach. Miał także legitymację Zakonu Konspiracyjnego Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Pracy (w rzeczywistości nie ma ani takiego zakonu, ani takiej partii). Ponadto zabezpieczono parę paczek, ot zwyczajnych paczek pocztowych, na których umieścił nalepki: *„35.460 dolarów USA"*. Wewnątrz — papier, fragmenty pociętych książek.

W śledztwie mówił dużo i chętnie. Wyjaśniał. Pokazywał. Te paczki — powiedział — przygotowałem dla zmylenia czujności organów ścigania. Niestety, nie wyjaśnił co konkretnie miałyby zmylić. A jak było z książeczkami PKO? Och, zwyczajnie Wpłacałem 10 złotych i w domu przerabiałem to na 1 milion 310 tysięcy. Po co to robił? Bo ciągle spodziewałem się aresztowania, więc pragnąłem zademonstrować sposób, w jaki się podrabia wpisy. A co robił z pieniędzmi? — interesował się prokurator.

— Ależ to proste: oddawałem biednym i potrzebującym! Po prostu bratem od bogatych i przekazywałem żyjącym w niedostatku. Adresy braterm z książki telefonicznej i do koperty wkładałem 30 lub 40 tysięcy. Czasem takie koperty zostawiałem pod drzwiami. A listy żony? Ach, listy! Rozdałem. Wyszedłem z domu i rozdałem przechodniom na ulicy. Bo ja tak zawsze: biorę bogatym, a daję biednym.

Będąc w areszcie zaczął pisać listy. Właściwie nie są to listy, ale całe rozprawy lub raczej fragmenty przyszłych książek. Bo przecież uchodził za literata. Oto przesłał do żony miniopowieść pt. „Wstęp do zwierzeń" na 24 stronach papieru podaniowego w kratkę zapisanego maczkiem. Do tego dołączył instrukcję: *„Ten list masz przeczytać bardzo uważnie. Nie wolno ci go zlekceważyć, bo konsekwencje przerosną to wszystko, co się stało do tej pory. M.G."*. Z treści wynika, że jest to dalszy ciąg, lub tom drugi, powieści „Klimek" i będzie nosił tytuł „Banda Klimka".

Mimo instrukcji, że trzeba to koniecznie przeczytać, wynurzenia Mieczysława Gordziejczyka nie są lekturą łatwą ani zrozumiałą. Jest tu wszystko: wyznanie miłości, rozważania o Bogu, całe stronice poświęcone księdzu Jerzemu Popiełuszce, sporo miejsca zajmuje fenomen śmierci. W miarę czytania zaczyna się nabierać przeświadczenia, że coś tu jest nie tak, że myśli piszącego pędzą niczym stado spłoszonych koni po łące, a więc nie tylko bez celu, lecz nie pozostawiając za sobą śladów, gdyż wszystko zostaje stratowane, rozdeptane, zryte kopytami. W końcu, po paru godzinach ślęczenia, przestaje się całkowicie rozumieć i cokolwiek pojmować, bo giną wątki, zatracają się myśli. W końcu dochodzi się do fragmentu, gdzie Gordziejczyk stwierdza, że to sam Bóg przemawia jego ustami, że Bóg go powołał, by czynił na świecie te wszystkie rzeczy, za które ludzie osadzili go za kratami. Wkrótce jednak czytający już nic nie rozumie. Wszystko się plącze: Bóg, miłość, cierpienie, cytaty z Ewangelii (czy aby na pewno wierne?), dywagacje na oderwane tematy. Dochodzi się do wniosku, że piszący zapomniał, co i po co pisze.

W tym miejscu Czytelnik zapewne oczekuje, że podam sentencję wyroku: tyle to a tyle lat odsiadki. Nic z tych rzeczy. Mieczysław Gordziejczyk nie poszedł siedzieć. Na końcu akt jego sprawy został umieszczony dokument Prokuratury Wojewódzkiej w Sieradzu, mianowicie postanowienie o umorzeniu śledztwa. Biegli psychiatrzy stwierdzili bowiem, że podejrzany miał w chwili czynu zniesioną poczytalność w rozumieniu artykułu 25 § 1 kk przeto nie może on ponosić odpowiedzialności karnej. Sąd Rejonowy w Wieluniu orzekł umieszczenie Mieczysława Gordziejczyka w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, gdzie poddany jest leczeniu. W zależności od przebiegu terapii, może on w każdej chwili ten zakład opuścić.

ze str. 1

spowodował, że drużyna utraciła wiele punktów. Widzew do takiego systemu gry nigdy nie był przygotowany.

— Krążyły pogłoski, że piłkarze bojkotują poczynania Bronisława Waligóry.

— O trenerze Bronisławie Waligórze mam jak najlepszą opinię. W ogóle uważam, że należy do trójki najlepszych trenerów. Stanowią ją: Leszek Jezierski, Bronisław Waligóra i Władysław Żmuda.

— Co więc się stało, że trener zawiódł?

— Czy zawiódł? Kiedyś RTS miał taką drużynę, że rzucało się jej piłkę na boisko i trener mógł spokojnie iść na kawę. Teraz trener musi włożyć bardzo dużo pracy w przygotowanie zespołu. Ale z drugiej strony w zarządzie muszą być tacy ludzie, którzy potrafią w sposób partnerski, ze znajomością rzeczy porozmawiać z trenerem, gdy zajdzie tego potrzeba, skrytykować go, jeśli na to zasłuży, umieć go sprawiedliwie ocenić. Proszę nie zapominać, że w zachodnich klubach działa zawsze duet: menedżer i trener.

Bronisław Waligóra dwa razy pracował poprzednio w Widzewie i zawsze zrobił to, czego od niego oczekiwaliśmy.

— To dlaczego teraz źle się go ocenia?

— Czy nie sądzi pani, że zawsze trzeba znaleźć winnego i na niego wszystko zrzucić?

— Co pan sądzi o piłkarzach?

— Jest to grupa zagubionych chłopców. Na boisku nie wiedzą, co mają robić. A przecież to nie są źli piłkarze. Niektórzy grali w reprezentacji, a w klubie nie potrafią znaleźć się na boisku.

— Załóżmy, że 14 listopada 1989 roku na Walnym Zgromadzeniu zaproponują panu kandydowanie na prezesa. I pan się zgodzi.

— Skąd ta pewność? Ja się ciągle waham.

— Bo się panu nadal marzy potęga europejska Widzewa. Więc zostaje pan wybrany. I co pan wtedy zrobi?

— W zarządzie klubu powinni być ludzie, którzy dużo wiedzą o sporcie, którzy mają inwencję, określony cel i szukają sposobów, aby go osiągnąć.

— Ma pan takich ludzi?

— Tak. To są ci sami, z którymi wspólnie budowaliśmy potęgę Widzewa. Chcą wrócić. Jak wszyscy ludzie mają wady, ale mają też zalety, które te wady przeważają. Potrzebni będą również szkoleniowcy.

— Kogo pan by widział jako trenera?

— Są pewne koncepcje, ale nie mogę jeszcze nic powiedzieć. W każdym razie musi to być człowiek o znanym nazwisku, dużym dorobku, wielkich umiejętnościach, poważanym autorytecie, ktoś kto znajdzie uznanie i posłuch w zespole.

— Jakie otrzyma zadanie?

— Utrzymać się w pierwszej lidze.

— A jeśli mu się to nie uda? Szanse są nikłe.

— Ale są. Jeśli mimo to nie uda mu się utrzymać zespołu w pierwszej lidze i drużyna spadnie do drugiej, to musi mieć plan szybkiego powrotu do pierwszej.

— Można też rozumieć, że nadal będzie pan chciał zrealizować swoją koncepcję klubu z prawdziwego zdarzenia.

— Jest ta koncepcja nadal aktualna.

— Czy może pan ją krótko przypomnieć?

— Chciałbym powołać spółkę akcyjną, która firmowałaby i prowadziła klub.

— Więc jednak spółka?

— Nie ma ona nic wspólnego z tak krytykowaną akcją uwłaszczenia nomenklatury. Spółka opierałaby się na akcjach, które mogliby kupić ludzie i przedsiębiorstwa. Akcjonariusze decydowaliby o działaniu klubu. Byliby współodpowiedzialni za jego istnienie.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Nie wiem, czy pani zastanawiała się kiedyś nad tym, czyim klubem jest właściwie RTS Widzew? Ja zastanawiałem się.

— I do jakiego doszedł pan wniosku?

— Że jest to klub niczyj. Nikt praktycznie nie odpowiada za jego działalność. Można tu przyjść, narobić wiele szkody i spokojnie sobie odejść. Bez żadnych konsekwencji. Tak zresztą, jak w innych dziedzinach naszego życia bywało i jeszcze bywa. Ekipy partyjne też przychodziły, narobiły szkody, zamierzenia im się nie powiodły i odchodziły bez żadnych konsekwencji. Winnych nie było.

— Czy powołanie spółki akcyjnej zmieni ten stan rzeczy?

— Radykalnie, gdyż teraz będą decydowali akcjonariusze, którzy zainwestują w spółkę swoje pieniądze i będą chcieli, aby te pieniądze przynosiły im zyski.

— Ma pan nadzieję, że przedsiębiorstwa też kupią akcje?

— Nie tylko nadzieję, ale i pewność.

— Czy „Kombud", któremu pan prezesuje, kupi?

— O tym zadecyduje Rada Nadzorcza.

— Co przedsiębiorstwu da posiadanie akcji?

— RTS Widzew jest klubem znanym w Europie. Fakt, że przedsiębiorstwo jest akcjonariuszem spółki akcyjnej utrzymującej ten klub, niewątpliwie ułatwi przedsiębiorstwu nawiązywanie kontaktów handlowych.

— Pod warunkiem, że klub będzie osiągać dobre wyniki.

— To się samo przez się rozumie. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że już się skończyły pieniądze dawane przez fabryki na kluby. Fabryki są zainteresowane osiąganiem wysokiego zysku, a samorządy dzieleniem go pomiędzy załogę. Żaden samorząd nie będzie zainteresowany w dawaniu pieniędzy klubom sportowym. Przynajmniej w Łodzi. Chyba że to będzie dla niego reklamą. Ale o wiele bezpieczniej i pewniej jest wykupić po prostu akcje. Reklama z tego faktu wynika już sama. Można w prospektach informować klientów fabryki, że jest ona akcjonariuszem spółki utrzymującej RTS Widzew.

— Byłby to klub wyłącznie piłkarski?

— Nie trzeba rezygnować z innych sekcji. Ale trzeba decyzje w tej sprawie pozostawić do chwili podjęcia rządowych decyzji w sprawie sportu. Bez tego nie ma co o tym mówić. Natomiast piłka nożna w klubie musi być absolutnie autonomiczna i zawodowa.

— Jakich rządowych decyzji w sprawie sportu spodziewa się pan?

— Wiem, że pracują trzy komisje. Trudno przewidzieć, jakie przyjmą zalecenia. Ale oczekiwałbym, że pójdą one w trzech kierunkach.

Pierwszy — sport wyczynowy musi znaleźć takie sposoby finansowania, aby nie obciążały one skarbu państwa. Państwo powinno finansować jedynie przygotowania do olimpiad i mistrzostw świata.

Drugi — absolutna samodzielność klubów sportowych na zasadach rynkowych. Nie masz pieniędzy, to bankrutujesz.

Trzeci — sport masowy powinien być utrzymywany na poziomie szkoły i finansowany przez państwo.

— A skąd kluby będą brały narybek?

— Powinny zajmować się tylko szkoleniem utalentowanej młodzieży. Na szkolenie masowe po prostu nie będzie ich stać.

— Powiedział pan, że piłka nożna powinna być absolutnie samodzielna i zawodowa. Czy teraz nie jest zawodowa?

— Tak. To jest zawodowstwo, bo sportowcy utrzymują się ze sportu a nie z innej pracy. Ale związek między grą piłkarza a ustaleniami kontraktu jest dość luźny. Powinna obowiązywać zasada: gra dobrze — ma pieniądze. Nie gra — nie ma pieniędzy. Zachodnie kluby rozwiązują to w taki sposób. Jeśli kontrakt przewiduje jakąś sumę dla piłkarza, to on dostaje co miesiąc należną jej część i tylko wtedy, gdy dobrze spisuje się na boisku. U nas taką sumę daje się od razu, a później piłkarz przestaje interesować się i treningami, i grą. To musi ulec zmianie. O transferach powinien decydować rynek.

— Słyszał pan, że RTS Widzew ma długi?

— Nie znam bilansu klubu. Poznamy go na Walnym Zgromadzeniu. Ale zasady są takie, że nowy zarząd przejmie długi starego.

— Miał pan kontakt z PZPN przez ten czas, gdy nie było pana w RTS Widzew?

— To był luźny kontakt. Jeździłem do Warszawy, rozmawiałem o różnych sprawach.

— Co pan sądzi o działaniu PZPN?

— Działa w bardzo trudnych warunkach. Jeśli związki sportowe nie są absolutnie samodzielne, to trudno właściwie ocenić ich działalność. PZPN znajduje się właśnie w takiej sytuacji.

— Miejmy nadzieję, że i to się zmieni. Życzę panu i RTS Widzew powodzenia!

— Dziękuję.

PS. Rozmowę przeprowadziłam 7 listopada 1989 roku.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Czy Widzewowi uda się zostać w I lidze?

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

11 LISTOPADA

Dlaczego rzeźnie nie chcą przyjmować bydła?

Magazyny pełne są mięsa

W przedostatnim dniu października 1989 r. w łódzkich „Wiadomościach" podano informację, która dla wszystkich mięsożernych ludzi z Łodzi i okolic, nie mających znajomości u „rzeźnika" (a tacy jeszcze są) była wieścią niemal biobową. Redaktor łódzkiej TV zakomunikował, iż rzecznik prasowy wojewody sieradzkiego za pośrednictwem telewizji powiadamia mieszkających w łódzkiej aglomeracji wielbicieli zwierzęcego białka o tym, że **Okręgowe Zakłady Przemysłu Mięsnego w Łodzi** odmówiły przyjęcia żywca wołowego. Taka wiadomość zwiastowała „wyczyszczenie" z mięsa i wędlin sklepów, które dopiero od niedawna i za sprawą wysokich cen nie świecą pustkami. Lecz to, co przekazał telewidzom dziennikarz przez swoją — najdelikatniej określając — nieścisłość trochę mijało się z prawdą.

W październiku 1989 r. łódzkie zakłady mięsne kupowały średnio 200—250 sztuk bydła. 30 października, kiedy to właśnie podano „informację" rzecznika, przyjęto tylko 60 sztuk bydła, choć ze skupów zwierząt w Sieradzkiem przeznaczono dla Łodzi 294 sztuki. Szkoda, że „Wiadomości" nie przytoczyły dwóch ostatnich liczb, które wszakże były zawarte w komunikacie rzecznika. Tak małe zainteresowanie zakładów mięsnych bydłem było jedynie odpowiedzią na zamówienia handlowców.

Łódzkie zakłady mięsne mogą codziennie przyjąć od swoich dostawców 600- 700 sztuk bydła ale handlowcy nie chcą zwiększonych dostaw mięsa, gdyż tak jak dzieje się to w „Społem", mają pełne magazyny. Magazyny zakładów mięsnych też już się zapełniły i ewentualne „nadliczbowe" sztuki bydła, które zakłady mięsne kupiłyby, musiałyby czekać czas jakiś na ubój i, co tu ukrywać, traciłyby na wadze. 31 października 1989 r. **Okręgowe Zakłady Mięsne** miały zapas wołowego żywca na trzy dni.

Mięso i wędliny są drogie. I choć ostatnio obniżono ceny niektórych droższych rodzajów wędlin, to rosnące ceny prądu, gazu i... — kobiety wiedzą najlepiej czego jeszcze — powoduje, że wiele osób stać na zakup tylko niskich jakościowo i smakowo wyrobów mięsnych i to w coraz mniejszych ilościach.

Aby można było sobie pozwolić na zakup większej ilości mięsa i wędlin (lub częściej) konieczne są obniżki ich cen, w których duży udział mają handlowe marże.

W łódzkiej PSS „SPOŁEM" powiedziano mi, że marże jakie do niedawna stosowano w naszym województwie zostały obniżone do 16 procent w przypadku wędlin i 17 procent — mięsa, co uczyniło je najniższymi w kraju. Jeżeli jakiś asortyment mięsa jest „trudno zbywalny" ze względu na cenę, to kierownik sklepu może ograniczyć jego przyjęcie. Kierownicy społemowskich sklepów mają prawo — jeżeli dochodzą do wniosku, że mięso lub przetwory mogą się zepsuć z powodu braku zainteresowania kupujących — dokonać potrzebnych obniżek cen.

O tę ostatnią kwestię spytałem kierowniczkę sklepu mięsnego przy ulicy Rojnej na Teofilowie. Dowiedziałem się:

— Owszem, słyszałam o czymś takim, ale żadnego pisma w tej sprawie od dyrekcji jeszcze nie dostałam. Podobno coś takiego działa w „Centralu" i to przecenione mięso sprzedawane jest następnego dnia".

Pani Marta, kierowniczka innego „rzeźnika", potwierdziła tę opinię, dodając, że ona i tak nic by nie przeceniała, bo na pewno nikt nie da jej gwarancji na to, że kiedy coś przeceni, to jakaś „ważna i wysoka" komisja nie dojdzie do wniosku, że obniżka cen była bezpodstawna.

Po południu łódzkie sklepy mięsne sprawiają wrażenie europejskich — ludzi stosunkowo mało, kolejki prawie w zaniku. Na hakach wisi polędwica sopocka, która dzięki wspaniałemu „zabalsamowaniu" może w czekaniu na zasobnego smakosza przetrwać jeszcze niejedno urynkowienie. Kiełbasa toruńska kiedyś błyskawicznie znikała ze sklepów, dziś trudno przez cały dzień sprzedać jeden pojemnik.

Rząd Tadeusza Mazowieckiego robi co może, aby po bez mała dziesięciu latach chudych Polska zaczęła rosnąć w siłę, lecz sam, i to już jest truizm, nic nie zrobi bez ludzi, którym handlowcy jakby śmiali się w nos.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

KRZYSZTOF BOCZKOWSKI

Poeci — umierali dla nas na krzyżu

Wielka poezja jest zbiorem psychoz
a nie wskazówek dla Narodu,
jest ostrzeżeniem,
a brana dosłownie
jest tak samo prawdziwa jak napis nad bramą
obozu w Auschwitz

— *Arbeit macht frei*

W całym życiu znałem tylko jednego poetę —
Adam M. — ten nawiedzony,
z ostrą psychozą napoleońską i schizo-
frenicznym rozdwojeniem na Mesjasza i
Belzebuba
jest autorem nieszczęsnych słów:
„Mierz siłę na zamiary"
w które Polska wdepnęła jak w Gie...

Ludzie chcą wierzyć w słowa,
a wymawiają je — aby odsunąć od siebie
prawdę
albo osiągnąć nierealny cel
— jak ręka która rzucała kamienie na szaniec,
gdy płonęła Warszawa w roku 44.

Z tomu „Apokryfy i fragmenty"

Cudze słowa

HENRYK PUSTKOWSKI

Rzadko polska poezja współczesna zdobywa się na Norwidową postawę śpiewania „nie w chórze". Nie brak talentów osobniczych, „poetyckich temperamentów" decyduje o lirycznym „chóralnym" zaśpiewie, ale stereotyp odbiorczy, który niechętnie przyswaja outsiderów, i chciałby twórczość indywidualną widzieć w kontekście zbiorowej poetyki czy uwyraźnionej konwencji. Można nadto przyjąć tezę, że ciśnienie rzeczywistości, konieczność przywoływania problemów, jakie sufluje nasze Tu i Teraz, w znacznej mierze decyduje o wspólnocie światoobrazów. Sami też twórcy programują strategie liryczne w ten sposób, by utrwalić się w jakimś mnemotechnicznym znaku: w grupie literackiej czy zbiorowym manifeście.

Piszę te słowa po lekturze tomu **Krzysztofa Boczkowskiego „Apokryfy i fragmenty"**. Ten interesujący tomik może się — paradoksalnie — spotkać z reakcją odbiorcy, która będzie sterowana trochę irytacją, trochę zniechęceniem przed pokonaniem koniecznych trudności, za którymi dopiero mieszczą się negocjowane sensy tej poezji. Zapewne taka reakcja odbiorcza byłaby wykładnią postawy nieufności wobec tych propozycji literackich, które są „kulturowe", zobiektywizowane i zdystansowane wobec wrzaskliwej rzeczywistości. Boczkowski mówi „cudzym słowem", ale jednak mówi „od siebie" i — to trzeba na wstępie podkreślić — mówi o sprawach ważkich nie tylko dla kultury, ale też poprzez sztafaż historyczno-kulturowy mówi o dzisiejszości znacznie więcej niż niejeden retoryczno-publicystyczny tekst nad tą rzeczywistością „nadbudowany". Posługuje się Boczkowski cytatem, przedmiotem gotowym, kulturowym „prefabrykatem". Mówi jakby z dwojaką intencją: 1) wprowadzając mechanizmy metatekstowe zmierza w stronę „dialogu" tekstu przytoczonego z jego „legendą" — dalszymi konkretyzacjami, 2) doprowadza do „dialogu" samych cytowanych tekstów utrzymując nad tą „rozmową" potencjalny acz niewyartykułowany tekst — wyjaśnienie, pointujący komentarz. Być może takim „nadtekstem" jest przytoczony na wstępie fragment listu **A. Mickiewicza do Towiańskiego:** „Każdy, kto w czymkolwiek i kiedykolwiek nie zgodził się z nami, a raczej echem naszym nie był, zostawał ogłaszany za buntownika. Zaprowadziliśmy władzę najsmutniejszą, jaka jest na globie". Byłoby to zatem wezwanie do „buntu", nawoływanie do przyjęcia zasady relatywizmu, zaś w poetyckim „wykonaniu" — do rewidowania kulturowych i filozoficznych mitów. Dodajmy — mitów mimo całej ogólności — bardzo „polskich", bowiem (jeśli właściwie odczytałem intencje autora) znaczna część tekstów wprowadza „grę" z tradycją romantyczną, zawiesza celowo wybór między postawą apollińską a dionizyjską w kulturze, zaś w znanym fragmencie z Norwida (z listu do **M. Dziekońskiej**) raz jeszcze ponowiono gorzki osąd „Polaka — człowieka".

Oczywiście tak wykorzystane „cudze słowo" nie jest poetyckim wynalazkiem samego Boczkowskiego. Wystarczy przypomnieć **twórczość H. M. Erzensbergera,** w polskiej poezji lat ostatnich oparł na owym pomyśle kilka świetnych wierszy **J. Górzański,** w tonacji groteskowo-ludycznej tworzy też swoje wiersze — centony **Kosiński.** K. Boczkowski utrzymuje się wszakże konsekwentnie w tej poetyce zanikania za cytatem, „przezroczystości" czy obiektywizmu podmiotu poetyckiego. Pomieszcza w „Apokryfach" i swoje wiersze, ale w kontekście cytatów — fragmentów i one stają się apokryfami. Czytelnik traktuje je instrumentalnie — jako element ogólniejszego konceptu filozoficznego wyrywając je z „osobniczej" poetyki Boczkowskiego.

Interesującym zabiegiem byłoby skonfrontowanie „Apokryfów i fragmentów" z wydanym równocześnie innym tomem naszego poety — z **„Ostrygami i onucami"**. Można by wówczas wykazać, jak Boczkowski konstruuje swoją „prywatną" poetykę, jak — bez odwoływań się do większych „bloków kulturowych" rozstrzyga problemy (a nie ucieka przecież od nich) tyleż uniwersalne co „dzisiejsze". Pokusa taka zaprowadziłaby mnie niechybnie w rejony rozważań teoretycznoliterackich, niezbyt przecież frapujących (myślę o normalnych odbiorcach poezji). Powodowany tą samą obawą zaniecham też dalszych rozważań zachęcając do lektury samych „Apokryfów". Niełatwy to w odbiorze tomik poetycki, ale warto (a nawet rzekłbym mentorsko: trzeba) go przeczytać.

Krzysztof Boczkowski, „Apokryfy i fragmenty", Czytelnik. Warszawa 1988, stron 124, cena 300 zł.

Pestki dyni

Barbarzyński incydent — miejmy nadzieję, że to incydent!? — pod kościołem św. Brygidy w Gdańsku zasługuje na najwyższą pogardę i potępienie. Wiemy z dziejów Inkwizycji i dziejów faszyzmu, że od palenia książek krok już był tylko do palenia ludzi; fatalne zatem skojarzenia nasuwają się każdemu rozumnemu człowiekowi. Tym gorsze jeszcze, kiedy sam był nieszczęsnym i bezradnym świadkiem płonących bibliotek i muzeów, zbiorów publicznych i prywatnych...

Należymy do narodów, które wiele książek będą musiały napisać od nowa; także palony pod św. Brygidą podręcznik „do rosyjskiego", też od nowa będzie napisany.

Przy Związku Pisarzy ZSRR powstała już Wszechzwiązkowa Komisja do Spraw Spuścizny Literackiej Represjonowanych Pisarzy i działa ona w ścisłej współpracy z KGB i prokuraturą. Dzięki tej współpracy powstaje „Księga pamięci represjonowanych pisarzy". Skierowane zostały też, bądź bezpośrednio do druku bądź do archiwów państwowych rękopisy utworów objęte dotychczas specjalnymi zakazami, m.in. **M. Bułhakowa** i **A. Bielego** (nie byli oni co prawda represjonowani bezpośrednio, ale obłożono ścisłym aresztem niektóre ich utwory), **E. Tarlego, I. Babla** i wielu innych Przygotowanych jest już do druku kilka antologii utworów niewinnie straconych pisarzy. Przygotowuje się też książki poszczególnych autorów...

A co do książek „niepotrzebnych" już, to w całym świecie oddaje się je z powrotem do fabryk, by mogły powstać z nich nowe książki. Już inaczej napisane i potrzebne. **Rozliczać się trzeba z autorami, książki nie są winne..."**

W „KOMSOMOLSKIEJ PRAWDZIE" znalazłem rysunek „uzupełniający":

ANDRZEJ GRUN

P.S. **Marie-France Calle** przeprowadziła z paniami **Izabellą Cywińską i Małgorzatą Niezabitowską** wywiad dla francuskiego pisma „ELLE". Oto fragment z „IZABELI": Gdy goście radzieccy nalegają, aby dowiedzieć się czegoś więcej o jej poglądach na cenzurę, pani minister stwierdza: »W Polsce teoretycznie jest cenzura, ale w praktyce już jej nie ma«. Gdy to wyjaśnienie nie wystarcza, pani Izabella ucieka się do żartu: »Oficer próbuje wytłumaczyć rekrutowi, co to takiego trajektoria pocisku. — Między pistoletem a kulą nic nie widzę. Więc niby gdzie ta trajektoria? — upiera się rekrut. Na to oficer z braku argumentów: — A kutasa u komara widziałeś? No więc z trajektorią jest tak samo«.

Dowcip stary jak świat ale sytuacja opowiedzenie go usprawiedliwia. Niemniej, zanim Pani minister kultury i sztuki przejdzie do opowiadania innych jeszcze dowcipów, chciałbym, — i nie tylko ja — dowiedzieć się, co się dzieje dajmy na to z fundacjami i darowiznami przekazanymi ministerstwu bądź państwu przez kilku wybitnych Polaków, na przykład przez prof K. Estreichera? Jaki jest ich los obecny i jaki ma być dalszy?

Z prawdziwą satysfakcją odnotowuję wydarzenie artystyczne dużej rangi!!! Oto wreszcie ukazało się barwne pismo dla golasów: „NATURA NATURYZM". Wrócę do niego w „Pestkach".

A. G.

Poczta literacka

Katarzyna M. — Łódź. Literatura SF (fantastyczno-naukowa) chadza różnymi drogami. Różne są jej odmiany gatunkowe, konwencje, stylistyczne tonacje. Ma też ów obszar literacki niezbyt precyzyjnie zakreślone granice rozciągające się od baśni przez fantasy do właściwej Science Fiction. W tych obszarach mieściłaby się i Pani opowieść zmierzająca w stronę groteski fantastyczno-obyczajowej. A to, że „Fantastyka" nie znalazła dla niej miejsca, gdyż nie była ona „komercyjna" (czytaj: nie mieszcząca się w profilu tego dobrego skądinąd pisma) nie powinno Pani zniechęcać. Może tą właśnie drogą powinna Pani iść — mikrospostrzeżeń, trochę groteskowych anegdot motywowanych „fantastyczną" pointą. Radzę się przeto nie zrażać niepowodzeniem i od czasu do czasu przypomnieć się „Fantastyce" jakimś nowym opowiadaniem.

Wanda W. Ustroń. Zgadzam się z Panią, że w tym zabieganym i zatroskanym naszym życiu przydałoby się trochę humoru, żartu, kpiny. Teksty o tym charakterze drukowane są w pismach satyrycznych („Szpilki", „Karuzela"). Może by Pani spróbowała tam przesłać swoją małą prozę. Z wierszy dołączonych do listu ujął mnie najbardziej tekst „Boję się skaleczenia..." Ma Pani — jak pisze — swoich wiernych odbiorców i sądzę, że jest to powód do satysfakcji. Trudno mi wszakże poradzić, pod jaki adres Panią skierować, iżby rozważono możliwość publikacji tekstów. Wszyscy zapewne będą bezradnie rozkładać ręce, że brak papieru, że ogromny koszt itd. — a jest to — niestety — smutna prawda.

Co 4 minuty klient

— Mamy dobrą, ambitną telewizję, ale bez rozrywki. Tej może dostarczyć u nas tylko wideo — twierdzi **Marek Palpuchowski,** kierownik najmłodszej łódzkiej wypożyczalni kaset Okręgowej Instytucji Rozpowszechniania Filmów w „Bałtyku". Począwszy od 2 lutego 1989 r. wypożyczono tu 10 tysięcy kaset. Miesięcznie obsługuje 2 tysiące klientów, czyli jednego co 4 minuty. Klient-rekordzista wypożyczył na sobotę i niedzielę 12 tytułów. Na ogół entuzjaści wideo poprzestają na dwóch kasetach — proszą coś z erotyki i film... dla żony.

Obecnie wypożyczalnia OIRF korzysta z trzech źródeł zaopatrzenia, dostarczających miesięcznie po 3-5 nowości, o których można zasięgać informacji telefonicznej. Najbardziej liczy się „Warner Bross" ze 150 tytułami, niemal wyłącznie amerykańskiej produkcji. Okręgowa Instytucja Rozpowszechniania Filmów płaci za każdą kasetę 200 tys. zł plus dywidendy od wypożyczeń. Na ogół nabywa po 2—4 kasety z nowościami. Jeżeli zyskują one uznanie odbiorców, dokupuje się dalsze kopie.

Z powodu skromnych środków finansowych tylko opowieść o króliku Bungsie i **„Złoty Pslec"** z **Jamesem Bondem** znajdują się w obiegu w 6 kopiach. Popularność takich filmów jest tak duża, że trzeba wprowadzać zapisy na niektóre pozycje. Przykładowo kolejka po film erotyczny: **„Wyznanie pomywacza okien"** sięga grudnia. Nie ma takich kłopotów z Casanovą w interpretacji **Richarda Chamberlaina.**

„Warner Bross" dostarcza filmy dla masowej widowni, od słynnych komedii w rodzaju **„Trzech wesołych pielęgniarzy", „Soku z żuka", „Vice versa"**, melodramatów: **„Porwanie", „10", „Zwariowałem dla ciebie"**, fantastyki: **„Kosmiczne lwy", „Łowca androidów", „Odległy ląd"**, sensacyjnych: **„Uwolnić Harry'ego", „Żelazny orzeł"**, horrorów: **„Przyjaźń na śmierć i życie"**, przygodowych: **„Sfinks"** po „filmy wielkich nazwisk": **F. F. Coppoli, S. Spielberga, C. Leloucha i W. Allena.**

Dwa pozostałe źródła kaset stanowią: Przedsiębiorstwo Dystrybucji Filmów i Przedsiębiorstwo Zagraniczne „ITI". Ich zestaw obejmuje 155 tytułów, przede wszystkim filmów polskich z ostatnich kilkunastu lat oraz zachodnich, sprawdzonych w telewizji i kinie. Lista bezwzględnych polskich wideohitów obejmuje „Seksmisję", **„Kingsajz", „Co lubią tygrysy", „Piłkarskiego pokera", „Sztukę kochania", „Zabij mnie glino"** oraz **„Trójkąt bermudzki"**, który w kinach poniósł kompletne fiasko.

Zapotrzebowanie na polskie filmy jest wyjątkowo duże, ale wybór jest jeszcze raczej skromny. Specyficznym odbiorcą tego rodzaju kaset są emigranci, którzy przyjeżdżają na krótko do kraju urodzenia i w kilka dni próbują odrobić lata nieobecności w polskich kinach. Rodzima produkcja cieszy się uznaniem również dlatego, że obecność nawet dobrego tytułu na ekranach nie przekracza 6 tygodni. Nie wszystkie decyzje o kopiowaniu na kasetach okazują się trafne. **„Wilcze echa", „Hubal", „Magiczne ognie"** oraz **„Zamknąć za sobą drzwi"**, czyli polski Bond — od lutego ani razu nie były jeszcze wypożyczane.

Kasety są jeszcze dobrem luksusowym i stanowią pokusę dla złodziei. Była jedna próba włamania, kiedy rabuś przeszedł dachami całą odległość od ulicy Wschodniej. Było to w trakcie ostatniego seansu filmowego. Mieszkańcy wypatrzyli złodzieja i wszczęli alarm. Pomimo pościgu udało mu się zbiec. Właściciel wypożyczalni OIRF — nie szczędził starań na zabezpieczenie dwóch małych pomieszczeń, których zawartość przynosi tyle zysków, co rentowne kino: 4—4,5 mln zł miesięcznie.

ANDRZEJ WERBIK

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

NIEZNANE EPIZODY PAWŁA JASIENICY

„Kiedy we wrześniu 1965 r. rejestrowałem w Opatowie na taśmie magnetofonowej materiał do audycji pt. **„Pisarski rodowód Pawła Jasienicy"** — pisze w **„Antenie" Stanisław Fornal** — 56-letni wówczas autor **„Słowiańskiego rodowodu"**, powiedział do mikrofonu m.in.: Najpierw byłem w gimnazjum na Bielanach pod Warszawą gdzie mieszkałem w internacie. Potem, kiedy ojciec dostał pracę właśnie w Opatowie, uczyłem się tutaj od 1921 do 1924 roku. Następnie wróciliśmy na stare śmieci, tzn. na północny wschód, skąd pochodziła rodzina ojca i skończyłem gimnazjum w Grodnie. No i te oba gimnazja, które zwiedziłem jako nauczyciel to są te gimnazja grodzieńskie. Działalność moja pedagogiczna ograniczyła się do trzech lat — od 1934 do 1937 roku. W 1937 r. stanąłem do konkursu na spikera rozgłośni wileńskiej i jakoś tak się złożyło, że ten konkurs wygrałem. Spikerem byłem do wybuchu wojny, takie było moje curriculum vitae przed zajęciem się pisarstwem. O pisaniu to ja marzyłem od dawna, tylko, mówię szczerze i otwarcie, że się bałem. I przed wojną nie ważyłem się jakoś tego robić. (...) Mój start — taki oficjalny, pisarski zaczął się, kiedy miałem 37 lat". **Pawłem Jasienicą stał się Leon Beynar** w roku 1946, podpisując tym pseudonimem pierwsze powojenne publikacje w **„Dziś i Jutro"** i **„Tygodniku Powszechnym"**. Upamiętniał tym wyborem swoje szczególne pokrewieństwo ze wsią Jasienica w powiecie Ostrów Mazowiecki. To właśnie tutaj, jako kpt. **„Nowina"** z V Brygady Wileńskiej AK, w ciągu kilku miesięcy roku 1945, pod opieką życzliwych ludzi, leczył źle gojącą się ranę szarpaną uda. W spisanym 18 kwietnia 1968 r. **„Fragmencie życiorysu"**, będącym jedyną dostępną wówczas pisarzowi formą odpowiedzi na oszczercze zarzuty **Władysława Gomułki,** wysunięte w pamiętnym przemówieniu na wiecu w Sali Kongresowej PKiN 19 marca, Jasienica stwierdzał: w roku 1945 zacząłem pisać. Po pewnym czasie zostałem członkiem redakcji krakowskiego „Tygodnika Powszechnego", występując oczywiście pod własnym nazwiskiem. Pseudonim literacki musiałem jednak przybrać ze szczególnego powodu. Wiedziałem, że moja żona pozostaje w Wilnie, zarejestrowana jako wdowa. Moi bliscy w tym mieście byli przekonani, że zginąłem. (...) Obawiałem się, że moje nagłe „zmartwychwstanie" w Krakowie może łatwo skierować żonę w ślady moich rodziców i siostry, wywiezionych w początkach roku 1940 do Kazachstanu..."

„WOJNA O WENUS"

„Umar Muammar el Kadafi, ekscentryczny szef libijskiego państwa — który niedawno w Belgradzie zalecał przesiedlenie mieszkańców Izraela do Alzacji i Lotaryngii, od Rzymu zaś po raz kolejny zażądał reparacji za szkody wyrządzone w czasie 30-letniego włoskiego panowania kolonialnego oraz podczas II wojny światowej — nie ogranicza się najwidoczniej do wielkich wizji politycznych i finansowych marzeń — pisze **„Die Welt".** — Jak się okazuje, na sercu mu leży również piękno — a konkretnie Afrodyta z Kyrene, która od dziesiątków lat, zdobi rzymskie muzeum w Termach. Ponieważ marmurowy tułów Afrodyty bez głowy i rąk — zapewne kopia greckiego oryginału z brązu, pochodzącego z V wieku przed Chrystusem — został w 1913 r. wykopany przez włoskiego archeologa w termach w Kyrene, na północ od Benghazi i „zrabowany". Kadafi domaga się obecnie jego zwrotu... Poza Afrodytą Libijczycy żądają również innych, mniej znanych „porwanych" dzieł sztuki; jak również pewnych arabskich manuskryptów, przechowywanych w Rzymie..."

Przypadek Afrodyty jest tym bardziej interesujący, że istnieje w tej dziedzinie precedens, określany dziś jako fatalny: w roku 1979, ówczesny włoski minister spraw zagranicznych z własnej inicjatywy, tytułem politycznego gestu dobrej woli, zaoferował Albańczykom zwrot wystawionej w Sali Afrodyty muzeum w Termach głowy, pochodzącej z czasów greckiego rzeźbiarza Praksytelesa (IV w. przed Chrystusem). Głowę tę włoscy archeolodzy znaleźli w 1929 r. w albańskim Butrinto; ówczesny król albański podarował ją włoskiemu państwu. „Głowa bogini z Butrinto" okazała się głową należącą do torsu Apollina, pozostawionego w Albanii. Dziś głowa i korpus znalazły się znowu razem — w muzeum w Butrinto. Dla Włochów nie jest to jednak żaden

„Robię to, na co mam ochotę....”

Rozmowa z PIOTREM NOWACKIM, solistą Teatru Wielkiego w Łodzi.

— Z satysfakcją wypada stwierdzić, że pańska artystyczna kariera kształtuje się coraz bardziej interesująco. Jednym z najważniejszych wydarzeń ostatniego roku było zapewne znalezienie się w grupie zwycięzców organizowanego przez operę w Filadelfii międzynarodowego konkursu, zwanego „Konkursem Pavarottiego”. Nagrodę stanowił m.in. występ, wraz z tym słynnym tenorem, w „Luizie Miller” Verdiego. Proszę przypomnieć, jak doszło do wyjazdu za ocean?

— Wstępne eliminacje konkursowe, w których wzięło udział półtora tysiąca osób, odbywały się w poszczególnych krajach, natomiast europejskie przesłuchania półfinałowe, z udziałem 300 kandydatów, miało miejsce w Modenie. Tam też otrzymało bilety do Filadelfii 40 śpiewaków, w tym czworo Polaków: **Izabela Łabuda, Katarzyna Suska, Janusz Borowicz** i ja. Do finału dopuszczonych zostało w sumie 141 osób, zaś lista zwycięzców obejmowała 40 nazwisk. Z Polaków, poza mną, znalazł się na niej Janusz Borowicz z Krakowa.

— Czy po konkursie, poza propozycją zaśpiewania w „Luizie Miller”, otrzymał pan również inne oferty występów?

— Dyrektor filharmonii w San Jose zaproponował mi udział w **„Requiem” Verdiego.** Niestety, z powodu wprowadzenia w Kostaryce stanu wyjątkowego, wyjazd nie mógł dojść do skutku.

— Jakie wrażenie zrobił na panu bezpośredni kontakt z Luciano Pavarottim?

— To wspaniały artysta, z którym bardzo dobrze się współpracuje. Jest, oczywiście, supergwiazdą, którą wozi się wszędzie limuzyną siedmiometrowej długości. Ta supergwiazda decyduje w teatrze niemal o wszystkim: o terminach występów, obsadzie, próbach i gażach. Bez zgody Pavarottiego ani Metropolitan Opera w Nowym Jorku, ani opera w Filadelfii nie podejmują w zasadzie żadnych ważnych decyzji. Ale śpiewa on rzeczywiście wspaniale. Na żywo nigdy wcześniej nie słyszałem kogoś, kto reprezentowałby tak fantastyczny poziom. Nawet z prób, na których markuje, można by robić wzorcowe nagrania. Ten wielki tenor nie ma jednak w sobie nic z człowieka zarozumiałego i pysznego, choć, rzecz jasna, nie musi też udawać skromnego.

— Mimo młodego wieku śpiewał pan już nie tylko w Filadelfii, ale m.in. w słynnej La Scali. Czy uważa pan, że renoma tej placówki jest w pełni zasłużona?

— Niewątpliwie. Potwierdza ją nie tylko dobór najświetniejszych solistów, lecz i perfekcja zespołów — orkiestry, chóru. Gdy 2 lata temu uczestniczyłem w pierwszej próbie nowo przygotowywanej opery **„Baśń o carze Sałtanie”**, orkiestra pod batutą maestro **Fiedosiejewa** grała od razu w sposób niemal doskonały, mimo że muzyka **Rimskiego-Korsakowa** na pewno nie jest tym orkiestrantom szczególnie bliska. Do wyjątkowo odpowiedzialnych, w tej operze, zadań zaangażowano wówczas chór Radia Budapeszteńskiego, ale w tym roku śpiewa już chór La Scali, w niczym nie ustępując tamtemu.

— Ciekawe, czym różni się reżim pracy w La Scali w porównaniu z naszym?

— Tam nie ma cotygodniowego planowania i niewielu jest urzędników. Planuje się z dnia na dzień, każdego wieczora wywieszany jest — przygotowywany zazwyczaj przez asystenta dyrygenta — rozkład zajęć wyłącznie na dzień następny. Niemniej jednak dyscyplina pracy jest wzorowa. Wszyscy działają niezawodnie i do maksimum wykorzystują czas.

— Występów w La Scali niejeden znany solista może panu pozazdrościć. Jak doszło do współpracy z tą sceną?

— To już właściwie historia. Na zaproszenie **Janusza Pietkiewicza** przyjechał 3 lata temu do Polski dyrektor La Scali, **Cezare Mazzonis.** Był on gościem Festiwalu Łańcuckiego, na którym odbył się maraton operowy prezentujący laureatów ówczesnego konkursu krynickiego. Po moim występie dyr. Mazzonis podszedł do mnie i otrzymałem propozycję nie do odrzucenia, dotyczącą zaśpiewania tytułowej partii w „Baśni o carze Sałtanie”. Umowa opiewała na 5 spektakli w roku 1988. W bieżącym roku śpiewałem tę partię ponownie, notabene na zmianę z kolegą teatralnym z Łodzi — **Romualdem Tesarowiczem.** Można to chyba uznać za ewenement.

— Jak udaje się panu łączyć występy zagraniczne z pracą na macierzystej, łódzkiej scenie operowej?

— Muszę podkreślić, że **dyr. Pietras** nie stwarza żadnych problemów, jeśli idzie o wyjazdy zagraniczne i realizację zobowiązań wobec innych scen. A są to przecież moje prywatne kontakty i dyr. Pietras nie musi być nimi zainteresowany, wręcz przeciwnie. Mimo to wykazuje wiele zrozumienia i śmiem twierdzić, że gdyby kto inny był moim szefem, wyjazdy mogłyby stać pod znakiem zapytania.

— Czy śpiew to dla pana zawód czy też powołanie?

— Jest to jedynie zawód, aczkolwiek kiedy jestem w formie i coś mi wychodzi — sprawia mi to ogromną przyjemność i satysfakcję. Z punktu widzenia finansowego też nie mogę specjalnie narzekać, dlatego, że jak na polskie warunki, zarabiam wcale niemało. Tak się dzieje jednak przede wszystkim dzięki wyjazdom. Ogólnie uważam się więc za człowieka szczęśliwego. Jestem w tej luksusowej sytuacji, że w sensie zawodowym robię to, na co mam ochotę, nie muszę np. zabiegać o koncerty, by dorobić do pensji. Korzystam też na razie z plusów bycia kawalerem, ale chyba powoli dojrzewam do nowej roli: męża i ojca rodziny.

— Czyżby dlatego nie przyjął pan — jak niektórzy pańscy koledzy — stałego engagement na Zachodzie?

— Miałem niedawno propozycję od Theater am Gaertenplatz w Monachium. Po jej dokładnym rozważeniu i przeanalizowaniu z moim polskim agentem, wspomnianym już J. Pietkiewiczem, doszedłem do wniosku, że należy ją odrzucić ponieważ blokowałaby w sposób znaczny aktualną swobodę ruchów. Poza tym w Monachium wszystkie opery wystawiane są po niemiecku, co też chwilowo nie za bardzo by mi odpowiadało.

— Czy z punktu widzenia łódzkiego repertuaru czuje się pan solistą w pełni wykorzystanym i dowartościowanym?

— W Teatrze Wielkim podjąłem pracę mając 22 lata. Siódmy sezon, który płynie, daje mi poczucie dowartościowania. Zaśpiewałem kilka głównych partii, że wspomnę o doktorze Bartolo w „Cyruliku sewilskim”, Mefistofelesie w operze Boita, Don Pasquale w operze Donizettiego czy ulubionej roli Zbigniewa w „Strasznym dworze”. Ja mam nawet świadomość niewywiązywania się w tej chwili należycie ze zobowiązań etatowych, ale myślę, że przyjdzie czas, kiedy będą mógł ten dług spłacić. W tym sezonie zaśpiewam np. partię Silvy w **„Ernanim” Verdiego.**

— Ma pan już spory repertuar.

— Tak, ale w dalszym ciągu jestem na etapie tworzenia go. Na początku musiałem co prawda robić dużo rzeczy na raz i od rana do wieczora siedzieć w teatrze. Teraz nie muszę opracowywać dwóch lub trzech pozycji jednocześnie. Mogę koncentrować się na jednym zadaniu i nie jest potrzebne, bym siedział przy instrumencie 10 godzin, jak kiedyś — wystarczą np. dwie. Nowej partii uczę się zawsze sam, rozczytując ją przy fortepianie, dopiero potem pracuję wspólnie z moją pianistką, **Krystyną Hussar-Moczulską.**

— Tu muszę zauważyć, że fortepian jest panu bliski z całkiem innego jeszcze powodu. Pamiętam, jak w czasach studenckich, a i później, np. na międzynarodowych warsztatach muzycznych w Bayreuth, z zamiłowaniem wygrywał pan na fortepianie jazzowe standardy, „rozgrzewając” słuchaczy.

— Jazz to moje hobby. Mam w domu bardzo dużo ciekawych nagrań i słucham głównie tej muzyki. Operowej zresztą nie słucham prawie w ogóle. Kiedyś grałem jazz niemal zawodowo. Wspólnie z **Adamem Manijakiem** tworzyliśmy **duet fortepianowy, z którym byliśmy na występach w paru miejscach w Polsce oraz uczestniczyliśmy w warsztatach jazzowych w Tatabanya** na Węgrzech. To były wspaniałe czasy! Teraz gram tylko dla siebie, a mój repertuar jest dość ograniczony.

— Czy — mając takie zainteresowania — gdyby miał pan po raz drugi wybierać, poszedłby pan tą samą drogą zawodową, co obecnie?

— Z pewnością.

— Życzę zatem dalszych sukcesów i dziękuję za rozmowę.

JANUSZ JANYST

Foto: Chwalisław Zieliński

Teatralny sezon 89/90

JOANNA OLCZAK

Wszyscy wiemy: jest źle! Jak potoczą się losy polskich teatrów tego nie wie nikt. Na razie minister Cywińska zdementowała pogłoskę o likwidowaniu placówek teatralnych i w wywiadzie udzielonym „Rzeczypospolitej” (28/29 X 89) powiedziała: „...optymizm i nadzieja powinny towarzyszyć ludziom kultury, mimo wszystko”. Trzymając się tej dewizy łódzkie teatry założyły ambitne plany repertuarowe na rozpoczęty sezon. Plany, jak to plany, rzadko poozstają akualne przez dłuższy czas ulegają bowiem okrutnej weryfikacji dokonywanej przez rzeczywistość. Publikujemy jednak zapowiedzi poszczególnych teatrów dramatycznych życząc im jak najszybszego ustabilizowania się sytuacji administracyjno-finansowej i skutecznego wyjścia ze stagnacji.

Teatr im. Stefana Jaracza: „Figaro rozwodzi się” von Horwatha (prapremiera), **„Wieczór Trzech Króli” Shakespeare'a, „Ułani” Rymkiewicza, „Pożegnanie jesieni” Witkiewicza,** w adaptacji **Mikołaja Grabowskiego** i w rezerwie: **„Ptaki” Arystofanesa.**

Mała Scena: „Pinokio” Collodiego, „Gwiazdy na porannym niebie” Galina, „Seksualne perwersje w Chicago” Mameta (premiera dewizowa, czyli prawa autorskie trzeba wykupić za dewizy), **„Życie snem” Calderona, „Pogrzebane dziecko” Sheparda** (premiera dewizowa).

Teatr Nowy: „Kordian” Słowackiego, „Casanova” Żurka, „Iwona, księżniczka Burgunda” Gombrowicza, „Nadejdzie jednak dzień” Grzegorza Królikiewicza.

Mała Scena: „Oj, piesku” według Wolfa, „Maszyna do liczenia” Rice'a, „Kuszenie” Havla, „Kurs mistrzowski” Pownalla, „Kraj świata” Andermana w adaptacji Krzysztofa Zaleskiego, „Szachinszach” Kapuścińskiego.

Teatr Powszechny: „Portret” Mrożka, „Piotruś Pan” Barriego, „Rewizor” Gogola, „Pani Prezesowa” Honnequina i Webera, „Król w Nieświeżu” Kraszewskiego i w rezerwie: **„Księżna D'Amalfi” Webstera, „Sąsiad” Chesnota.**

Teatr Studyjny 83: „Woyzeck” Buchnera, „Makbet” Shakespeare'a, „Możliwości” i **„Sceny egzekucji” Barkera** (premiery dewizowe), **„Pałac tortur” Mortona** (prapremiera), **„Czas i pokój” Straussa** (premiera dewizowa) i w rezerwie: **„Plebejusze” Grassa, „Ślub” Gombrowicza, „Nie — Boska komedia” Krasińskiego, „Xięga” Schulza,** polska sztuka współczesna oraz dodatkowa propozycja — widowisko plenerowe na podstawie **„Snu nocy letniej”** lub **„Jak wam się podoba” Shakespeare'a.**

Po tej wyliczance chcę trochę ponarzekać, choć jest to coraz mniej w modzie. Przedstawione plany repertuarowe czynią moje (a może nie tylko moje) marzenie, żeby każdy z łódzkich teatrów miał określony kierunek i styl, własną twarz po prostu, i co by się z tym wiązało, świadomą swych oczekiwań widownię, a nie przypadkowych widzów. Jedynie Teatr Studyjny, a jest przecież najmłodszym teatrem w Łodzi stworzył wyraźne, odrębne oblicze, zyskał sobie miano teatru postawy obywatelskiej, opowiadał się za czymś przeciwko czemuś, był żywy. Pozostałe, szacowniejsze i z tak zwaną tradycją, są teatrami repertuarowymi, trudno dopatrzyć się w ich działalności konsekwencji w podążaniu swoją drogą. A w mieście wieloteatralnym, jakim jest Łódź, aż się prosi, żeby teatry różniły się repertuarem, stylistyką, charakterem, a nie jedynie poziomem artystycznym.

Pozostaje to jednak moim (i nie tylko moim) małym marzeniem.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

argument. „Możemy pomówić o Wenus z Kyrene — słyszy się w w Rzymie — gdy londyńskie British Museum zwróci Grecji fryzy Partenonu, a Francja odda Włochom to wszystko, co kiedyś zabrał z naszego kraju Napoleon...”

ŁATWIEJ BURZYĆ

„Józef Hen: „Przeraża mnie (...) sytuacja, w jakiej znalazła się polska książka. Łatwo jest burzyć struktury, trudniej je odnowić, odbudować. Tymczasem mamy do czynienia z fetyszyzacją wolnego rynku, który do kultury ma się nijak. Kultura musi być dotowana ale to temat na inną rozmowę.

A co literatura polska może zaoferować wydawcom i czytelnikom? Nie jestem zbytnim optymistą. Długi okres literatury podziemnej raczej ją skrzywdził. Powstały może wybitne książki, ale i dużo miernych. Nie można napisać powieści pod hasłem: ja ci przyłożę. W ten sposób nie narodzi się nie tylko nowy Proust, ale i nowy Mauriac” (**„Tygodnik Kulturalny”**)

OCENA I DEMENTI

„Po dwukrotnym obejrzeniu **Andrzeja Szczepkowskiego:** w piątek, 21 października, gdy przemawiał w Sejmie własnym tekstem (TV 2) i dzień później — gdy czytał felietony **Kisiela** z **„Tygodnika Powszechnego”** (TV 1), dochodzimy do wniosku, że jednak ta druga rola była napisana znacznie lepiej — ocenia **„Antena”** i pisze dalej. — Dementujemy pogłoski, że główne wydania DTV mają już wkrótce prowadzić aktorzy scen dramatycznych. Nie jest to możliwe m.in. dlatego, że spektakle w teatrach zaczynają się tuż przed dziennikiem, I powód najważniejszy: i oni nie chcą i ich nie chcą”.

PRZYSZŁOŚĆ SZTUKI?

Grupa radzieckich elektroników zaprezentowała możliwości, jakie stwarza współczesna technika dla rozwoju różnych dziedzin sztuki. Lasery sterowane komputerem — przy użyciu techniki holografii — znalazły zastosowanie w malarstwie przyszłości. Uzyskano przestrzenne kompozycje świetlne o bardzo żywych barwach zmieniające się na oczach widzów. Promienie laserów tworzyły obrazy w powietrzu i przy odpowiednim zaprogramowaniu uzyskano barwne ruchome kompozycje. Laserowe malarstwo zostało następnie połączone z muzyką tworzoną na syntezatorach...

Galeria pisarzy

MICHAŁ DALECKI

rys. Sławomir Arabski

Kronika

Z PRZYJEMNOŚCIĄ pragniemy poinformować, że w międzynarodowym „Who is Who” prezentującym twórców i pisarzy, które opublikowane zostanie przez Międzynarodowe Centrum Biograficzne **w Cambridge (Wielka Brytania) zamieszczona będzie nota o twórczości naszego redakcyjnego kolegi — Andrzeja Makowieckiego.**

WŚRÓD LAUREATÓW międzynarodowego konkursu na tkaninę artystyczną, który odbył się w **japońskim mieście Kioto,** znalazł się **łodzianin — Włodzimierz Cygan.**

Nagrodzone prace, w tym praca konkursowa naszego laureata, są eksponowane w tamtejszym Muzeum Miejskim.

WYSTAWA MALARSTWA HENRYKA BOGOWSKIEGO „Wilno i Ziemia Wileńska” otwarta została 10 bm. w łódzkiej siedzibie Unii Chrześcijańsko-Społecznej (przy ul. Piotrkowskiej 85).

Autor tej ciekawej ekspozycji, członek Stowarzyszenia Plastyków Amatorów, od wielu lat uprawia malarstwo sztalugowe i rysunek. Ma już w swoim dorobku twórczym namalowanych ponad 400 obrazów, które były prezentowane na 65 wystawach indywidualnych i zbiorowych — m.in. w Wilnie i dalekiej Gruzji.

Henryk Bogowski pisze również teksty poetyckie, harmonizujące z jego twórczością malarską.

DZIELNICOWY DOM KULTURY Łódź—Widzew zaprasza na wystawę malarstwa olejnego **Stanisława Ostrowskiego,** czynną od 10 bm. w Galerii Miraż (DDK Łódź—Widzew, ul. Armii Czerwonej 30).

PO SUKCESACH ODNIESIONYCH NA ZACHODZIE, 28 listopada 1989 r., wystąpi dwukrotnie w sali Teatru Studyjnego przy ul. Kopernika 8 w Łodzi (o godz. 18.00 i 20.30) zespół „PAFF” (Pracownia Artystyczna Fiu-Piu), czyli rockowe wcielenie Włodzimierza Filorskiego. Towarzyszyć mu będą: Tadeusz Sudnik, Krzysztof Głuch, Leszek Biolik, Amadeusz Majerczyk i Piotr Jackson Wolski. Plastycy, członkowie Pracowni, zaprezentują działania światłem: slajdy, filmy i lasery.

Koncert finansowany jest przez prywatnych miłośników Sztuki.

Z OKAZJI 71. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości — łódzki Klub Międzynarodowej Prasy i Książki zorganizował spotkanie pn. **„Łódź u progu II Rzeczypospolitej”.**

Prowadzili je: Henryk Szubert i Stanisław Łukawski.

ZWIĄZEK LEGIONISTÓW POLSKICH — najstarsza polska organizacja kombatancka (zał. w 1918 r.) — prowadzi poszukiwania (od niedawna oficjalnie) sarkofagu marszałka **Józefa Piłsudskiego,** który miał być umieszczony w krypcie na Wawelu. Przeniesienie do niego trumny ze zwłokami Józefa Piłsudskiego udaremnił wybuch II wojny światowej.

Według uzyskanych do tej pory relacji — wywieziony on został w 1939 r. na Kresy Wschodnie... i wszelki ślad po nim zaginął.

ŁÓDZKIEMU NAUKOWCOWI, prof. Jerzemu Krohowi — członkowi PAN, dyrektorowi Instytutu Stosowanej Chemii Radiacyjnej PŁ — przyznane zostało wysokie odznaczenie japońskie: **Order Świętego Skarbu ze złotą i srebrną gwiazdą.** Order ten otrzymał prof. J. Kroch za wkład w kształcenie w Japonii pracowników naukowo-badawczych w dziedzinie chemii radiacyjnej oraz działalność na rzecz rozwijania wymiany doświadczeń naukowych.

NIECODZIENNY WERNISAŻ odbędzie się 16 bm. w **Młodzieżowym Domu Kultury Łódź-Bałuty** (ul. Zawiszy 39). Swoje obrazy i rysunki zaprezentuje **Sławomir Biliński (urodzony w 1974 r.), uczeń I klasy XXVIII Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi.**

Młody twórca zawarł przyjaźń z malarstwem mając 5 lat, w pracowni plastycznej MDK.

NA MAŁEJ SCENIE Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi odbyła się premiera sztuki **Tadeusza Rittnera „Wilki w nocy”.** Spektakl zaadaptował i reżyserował **Maciej Prus.**

SŁYNNY NOCNY LOKAL paryski „Moulin Rouge” obchodził 100. rocznicę działalności. Zgromadzone z tej okazji na rocznicowej uroczystości słynne gwiazdy — z Ellą Fitzgerald i Charlesem Aznavourem na czele — dokonały symbolicznego aktu wygaszenia 100 świec na urodzinowym torcie.

NA LIŚCIE 40 najlepiej zarabiających gwiazdorów piosenki, filmu i teatru, ogłoszonej przez amerykańskie czasopismo „Forbes”, pierwsze miejsce przypadło Michaelowi Jacksonowi. Zarobki jego w ubiegłym roku wyniosły 125 mln dolarów.

W GALERII ŁDK (ul. Traugutta 13) czynna jest do 15 bm. wystawa pn. **„Historia ...piwem się toczy”.** Zgromadzono na niej 2 tys. ciekawych eksponatów. Wystawa przygotowana została przez członków Łódzkiego Klubu Kolekcjonerów wespół z Klubem Młodych Kolekcjonerów przy Zespole Szkół Administracyjno-Ekonomicznych w Łodzi.

DO ŁÓDZKICH TRADYCJI sztuki awangardowej nawiązuje zawiązane przy Muzeum Sztuki w Łodzi Stowarzyszenie **„Konstrukcja w Procesie”.** Ma ono charakter międzynarodowy. Jego głównym celem jest promocja sztuki awangardowej w kraju i za granicą.

W przyszłym roku zamierza zorganizować międzynarodową wystawę sztuki nowoczesnej.

LAUREATEM nagrody im. Wacława Kisielewskiego (nieodżałowanego Wacka), ufundowanej przez „Pagart” — przyznanej w tym roku po raz pierwszy za najlepszy debiut artystyczny za granicą — została znakomita grupa jazzowa „Young Power”.

PO PÓŁWIEKOWEJ NIEOBECNOŚCI, 11 bm. powrócił przed kościół św. Mateusza w Pabianicach — zniszczony częściowo przez hitlerowców — Pomnik Niepodległości. Upamiętnia on udział pabianiczan w I wojnie światowej, Legionach J. Piłsudskiego oraz w wojnie 1920 r.

WYDARZENIEM EDYTORSKIM jest ukazanie się w oficjalnym obiegu nakładem wydawnictwa **„Res Publica” i Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak”** głośnej książki **Jana Nowaka-Jeziorańskiego,** który niedawno odwiedził nasz kraj — „Kurier z Warszawy”.

Opracował: JAK

Życie między synem Wodza a pomocnikiem Wodza (1)

Gra do jednej bramki

NIKOŁAJ STAROSTIN

„Spartak" to popularna moskiewska drużyna piłki nożnej. Miała szczególne sukcesy, kiedy grali w niej bracia Starostinowie: Andriej, Aleksandr, Piotr i Nikołaj, ulubieńcy publiczności. Sportowa sława stała się przyczyną oskarżenia ich, w r. 1942, o działalność antyradziecką. Stało się to z inicjatywy osławionego szefa NKWD Ławrientija Berii, który zaczął interesować się piłką nożną od czasu, gdy piastował funkcję I sekretarza Komunistycznej Partii Azerbejdżanu i był zagorzałym kibicem „Dynamo" w Baku. Z czasem Beria został honorowym prezesem federacji sportowej „Dynamo" i postanowił ułatwić zwycięstwo swych podopiecznych likwidując fizycznie drużynę konkurencyjnego „Spartaka". Tak zrodziła się „sprawa braci Starostinów".

Najstarszy z oskarżonych, Nikołaj Starostin, dzięki wstawiennictwu syna Stalina, Wasilija, po ośmiu latach został przedterminowo zwolniony z łagru. Z dziejów jego życia dziennikarz Aleksander Weinstein spisał barwną książkę „Futbol przez lata". Jej fragment zaczerpnęliśmy z tygodnika „Ogoniok", całość ukaże się w wydawnictwie „Sowietskaja Rossija".

Tytuł fragmentu pochodzi od tłumacza. J.D.

W żadnym mieście nie widziałem nigdy brudniejszego i bardziej ponurego miejsca od przydworcowego placu w Komsomolsku nad Amurem. Zapamiętałem go jednak na całe życie z innego powodu: przylegał do niego bezpośrednio teren garażu Amurskiego Obozu Koncentracyjnego, gdzie miałem szczęście mieszkać prawie dwa lata. Szczęście w zwykłym znaczeniu tego słowa: przecież garaż to nie zona [1]).

W tym czasie mało co mogło mnie już zdziwić. Przyznaję jednak, że kiedy głuchą nocą 1948 roku pod moją komórkę zajechał samochód pierwszego sekretarza komitetu partii w Komsomolsku i zdyszany kapitan wypalił od progu: *„Ubierzcie się! Wzywa was pilnie do telefonu Stalin!"* — pomyślałem, że doznaję halucynacji.

Po półgodzinie byłem w gabinecie pierwszego sekretarza przy telefonie łączności rządowej. Obok mnie, nie rozumiejąc, co się dzieje, stali na baczność naczelnik Amurskiego Obozu Koncentracyjnego generał dywizji Pietrienko i właściciel gabinetu. Podniosłem słuchawkę do ucha i usłyszałem głos syna Stalina — Wasilija.

Niezależnie od tego, jak to było dziwne, cała ta fantasmagoria miała wytłumaczenie. Przed wojną, w końcu lat trzydziestych w jeździeckiej szkole sportowej „Spartaka" moja córka Eugenia i córka naszego piłkarza Stanisława Leuta, Rimma — przyszła wielokrotna mistrzyni Związku Radzieckiego, uczyły się jazdy wierzchem. Wraz z nimi trenował szczupły, niepokaźny chłopaczek o nazwisku Wołkow. I tylko ja, jako kierownik „Spartaka" wiedziałem, że naprawdę nazywa się Wasilij Stalin. Do chwili następnego spotkania on zdążył zostać generałem dywizji, a ja — więźniem politycznym.

Jego nieoczekiwane — po tylu latach — zainteresowanie moją osobą — wywołane było bynajmniej nie wspomnieniami z dzieciństwa. Jako dowódca Sił Powietrznych Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, wykorzystując wpływy i szczególną pozycję, mógł spełnić każdą swoją zachciankę. W tym wypadku chęć posiadania „własnej" drużyny piłki nożnej Sił Powietrznych, gdzie próbował ściągnąć namowami albo w trybie administracyjnym najlepszych graczy z innych klubów. Wieczorami podczas biesiad w swojej willi lubił roztrząsać z zawodnikami, wśród których znalazło się również kilku byłych spartakowców, aktualne sprawy sportowe.

I oto pewnego razu podczas kolejnego spotkania w takim gronie, jeden z nich, Sasza Obotow, bąknął:

— *Wasiliju Josifowiczu, po cóż my wciąż główkujemy jak polepszyć sytuację. Trzeba mianować trenerem Nikołaja Pietrowicza.*

Wszyscy zgodnie go poparli. Dowódca na moment ściągnął brwi, widocznie coś sobie rozważając, potem wezwał swego adiutanta, również dobrze mi znanego piłkarza Siergieja Kapielkina i wygłosił zdanie, stanowiące początek mej dwumiesięcznej epopei:

— *Połączcie mnie ze Starostinem.*

Wszystkiego tego dowiedziałem się dużo później w Moskwie. A tamtej nocy w Komsomolsku nad Amurem podchodząc do czarnego telefonu łączności rządowej, wyszedłem na spotkanie losu.

— Słucham, Starostin.

— *Nikołaju Pietrowiczu, dzień dobry! Tutaj ten Wasilij Stalin, który był Wołkowem. Jak pan widzi nie zostałem kawalerzystą. Przyszło mi przekwalifikować się na lotnika. Nikołaju Pietrowiczu, czemuż oni tam pana trzymają do tej pory? Posadzili bez powodu, to przecież jasne. Lecz niech pan się nie załamuje, my tu będziemy prowadzić o pana walkę.*

— Toteż nie tracę nadziei — odparłem żywo i poczułem jak oblewa mnie zimny pot. Za jedną taką rozmowę jak nic mogłem dostać jeszcze dziesięć lat.

— *No i dobrze, proszę pamiętać, że jest pan nam potrzebny. Jeszcze zadzwonię. Do widzenia.*

Po Amurskim Obozie Koncentracyjnym szybko rozeszła się wiadomość od telefonistek: Starostin rozmawiał ze Stalinem. Nazwisko hipnotyzowało. W nie kończących się plotkach i słuchach ginął ważny szczegół: dzwonił nie ojciec, tylko syn. Miejscowe władze znały oczywiście prawdę, lecz dla nich nawet telefon syna Stalina znaczył bardzo wiele.

Rozmowa z Wasilijem rozbudziła na nowo moje zainteresowanie sprawami piłki nożnej Wielkiej Ziemi. Zacząłem regularnie słuchać relacji radiowych Wadima Siniawskiego — ze względu na różnicę czasu musiałem to robić o czwartej rano — zacząłem żyć podwójnym sportowym życiem. W ciągu dnia — miejscowym, regionalnym, dalekowschodnim. Nocą — moskiewskim, dalekim, upragnionym.

Był to właśnie, jak mówiłem, 1948 rok — do mojego wyjścia na wolność zostawały cztery lata. Lecz los mi sprzyjał.

Dyrektorem jednego z zakładów Komsomolska był inżynier Riabow z Moskwy, z Krasnoj Priesni [2]), który na szczęście okazał się kibicem „Spartaka". Umiał wykorzystać fakt, że ojcowie miasta i kierownictwo Amurskiego Obozu Koncentracyjnego zbici z tropu szczególną do mnie sympatią syna wodza, pozwolili na niesłychana rzecz: nie tylko zatrudnić więźnia politycznego w zakładzie, lecz także dopuścić go do pracy przy maszynie. Jak mi wkrótce wyjaśnił Riabow, teraz pod warunkiem wykonania planu za dzień liczyły mi się dwa dni wyroku. Tak minęły dwa lata, które uznano mi za cztery. Skończył się mój wyrok. Miejscowy sąd ludowy na podstawie przedstawionych dokumentów zatwierdził przedterminowe zwolnienie. Wydano mi dowód osobisty, gdzie czarno na białym wyliczono miasta, w których nie miałem prawa do meldunku. Pierwsza na tej liście figurowała Moskwa.

Opowiadam o zwolnieniu tak bezbarwnie, gdyż rzeczywiście tak je również przyjąłem: nie czułem w tamtej chwili ani emocji ani żadnych pragnień. Pamiętam tylko pustkę i zagubienie: gdzie jechać, gdzie mieszkać, w jakim charakterze pracować?

Wtedy znowu zadzwonił Wasilij:

— *Nikołaju Pietrowiczu, jutro wysyłam po pana samolot. Czekamy na pana w Moskwie.*

— Jak to w Moskwie... Przecież podpisałem zobowiązanie...

— *To nie pański kłopot, tylko mój. Do zobaczenia...* — i w słuchawce rozległy się przerywane dźwięki.

Wprost z podmoskiewskiego lotniska przywieziono mnie do willi na bulwarze Nikołaja Gogola — do rezydencji Stalina — juniora.

Kiedy wszedłem, Wasilij podniósł się.

— *Witam w Moskwie, Nikołaju Pietrowiczu!!*

— Dziękuję.

— *Wypijemy za spotkanie.*

— Wasiliju Josifowiczu, ja nie piję.

— *To znaczy, jak to pan nie pije? Przecież proponuję „za spotkanie". Za to powinien pan ze mną wypić.*

Stojący z tyłu Kapielkin sekretnie szturchnął mnie w bok, a Sasza Obotow zaczął dawać mi znaki od stołu: żebym niby zgodził się, nie robił głupstw. Zmieszałem się, ale cóż było robić. I zmęczony lotem, głodny a do tego jeszcze nie przywykłszy do alkoholu, od razu się wstawiłem.

A Wasilij smacznie zagryzając arbuzem z miejsca przeszedł do sprawy.

— *Gdzie pański dowód osobisty?*

— Oczywiście mam przy sobie.

— *Stiepanian* — „gospodarz" wezwał jednego z adiutantów — *natychmiast jedź i załatw meldunek w Moskwie.*

Oficer momentalnie zniknął.

Niedługo, tak samo niezauważalnie, zjawił się i zwrócił mi dowód osobisty. Otwieram i nie wierzę oczom: jestem na stałe zameldowany w Moskwie pod starym swoim adresem — Spiridoniewskij Pierieułok 15 m. 13.

Im bardziej zbliżałem się do Spiridonowki, tym wyraźniej rozumiałem czego mi najbardziej ze wszystkiego brakowało, przez te wszystkie lata — poczucia, że ktoś na mnie czeka. I kiedy, przestąpiwszy próg mieszkania, zobaczyłem płaczącą żonę i córki, pojąłem jak rzeczywiście mało potrzeba człowiekowi do szczęścia.

Po mym aresztowaniu rodzinie pozostawiono jedynie ośmiometrowy pokój. Właśnie jednak te pierwsze godziny, spędzone w maleńkim pokoiku, do tej pory uważam za jedne z najbardziej szczęśliwych w mym życiu.

Następnego dnia zawieziono mnie do sztabu Sił Powietrznych Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, gdzie rej wodził Wasilij Stalin. Cały ten rwetes po Komsomolsku nad Amurem zdawał mi się zabawą w ołowiane żołnierzyki. Najważniejsze — wkrótce powinna się przede mną otworzyć możliwość ponownego zanurzenia się w miłą mi atmosferę życia piłkarskiego.

Lecz jak się mówi, człowiek planuje, a Bóg decyduje. Po kilku dniach w moim mieszkaniu zjawili się dwaj pułkownicy z dobrze znanego resortu.

— *Obywatelu Starostin, wasze zameldowanie w Moskwie zostało anulowane. Doskonale wiecie, że było bezprawne. Musicie w ciągu dwudziestu czterech godzin opuścić stolicę. Powiedzcie, gdzie się skierujecie.*

Po namyśle wymieniłem Majkop. W Komsomolsku w mojej drużynie grał majkopianin Stiepan Ugrowatow. Często mówił mi: *„Majkop to dobre miasto, w razie czego niech pan tam przyjedzie. Tam można się urządzić nawet z pańskim 58-ym."* [3]).

Miałem więc do dyspozycji dobę. Nie tracąc czasu udałem się do sztabu Sił Powietrznych Moskiewskiego Okręgu Wojskowego i zameldowałem dowódcy o tym, co się zdarzyło.

— *Jak oni śmieli bez mojej wiedzy dawać polecenia memu pracownikowi. Pan pozostaje w Moskwie!*

— Wasiliju Josifowiczu, zobowiązałem się opuścić miasto w ciągu dwudziestu czterech godzin. To już moje drugie zobowiązanie, pierwsze miało miejsce w Komsomolsku, że nie mam prawa przebywać w stolicy. Po prostu mnie aresztują....

Wasilij zamyślił się.

— *Będzie pan mieszkał w moim domu. Tam pana nikt nie tknie.*

Wasilij Stalin postanowił walczyć o mnie. Nie dlatego, iżby uważał, że człowiek, który niewinnie odsiedział wyrok ma rzeczywiście prawo wrócić do domu. Byłem mu potrzebny jako trener. Teraz jednak nawet i to zeszło dla niego na dalszy plan. Sedno sprawy polegało na tym, że ani trochę nie chciał oddać pola swemu śmiertelnemu wrogowi — Berii, którego serdecznie nienawidził i nieustannie lżył go najgorszymi słowami zupełnie nie przejmując się tym, kto w danym momencie znajdował się obok.

W ten sposób znalazłem się między młotem a kowadłem, w centrum potyczki między synem wodza i jego pierwszym pomocnikiem. Nie mogło się to dobrze skończyć.

Przenosząc się do rządowej willi na bulwarze Nikołaja Gogola, nie od razu uświadomiłem sobie swoje tragikomiczne położenie — osobistości z kręgów bliskich latorośli tyrana. Polegało ono na tym, że byliśmy skazani na nierozłączność. Razem jeździliśmy do sztabu, na treningi, do daczy.

Nawet spaliśmy na jednym wielgachnym łóżku. Przy czym Wasilij Josifowicz zasypiał kładąc zawsze pistolet pod poduszkę. Tylko gdy jeździł na Kreml, zostawałem w otoczeniu adiutantów. Wydano im rozkaz: *„Starostina nigdzie nie puszczać samego!"*. Kilkakrotnie mimo wszystko udawało mi się uśpić czujność ochrony i niepostrzeżenie wyjść z domu. Jednakże od razu zwracałem uwagę na dwóch osobników, siedzących na skwerze naprzeciwko, a których widok nie zostawiał wątpliwości, że również Ławrientij Beria, jak poprzednio, zainteresowany jest moją osobą. Trzeba było wracać do „twierdzy".

Nie mogę powiedzieć, że tego rodzaju bytowanie przypadło mi do gustu. Jednakże dzięki zbiegowi okoliczności miałem rzadką okazję obserwować życie syna wodza. W jego willi znajdowało się bardzo dużo fotografii matki. Na ich podstawie można przypuszczać, że była piękną kobietą. Wasilij dumny był z tego. Sam był podobny do ojca: rudawy z jasną twarzą, na której lekko rysowały się piegi. A jego matka była przecież brunetką.

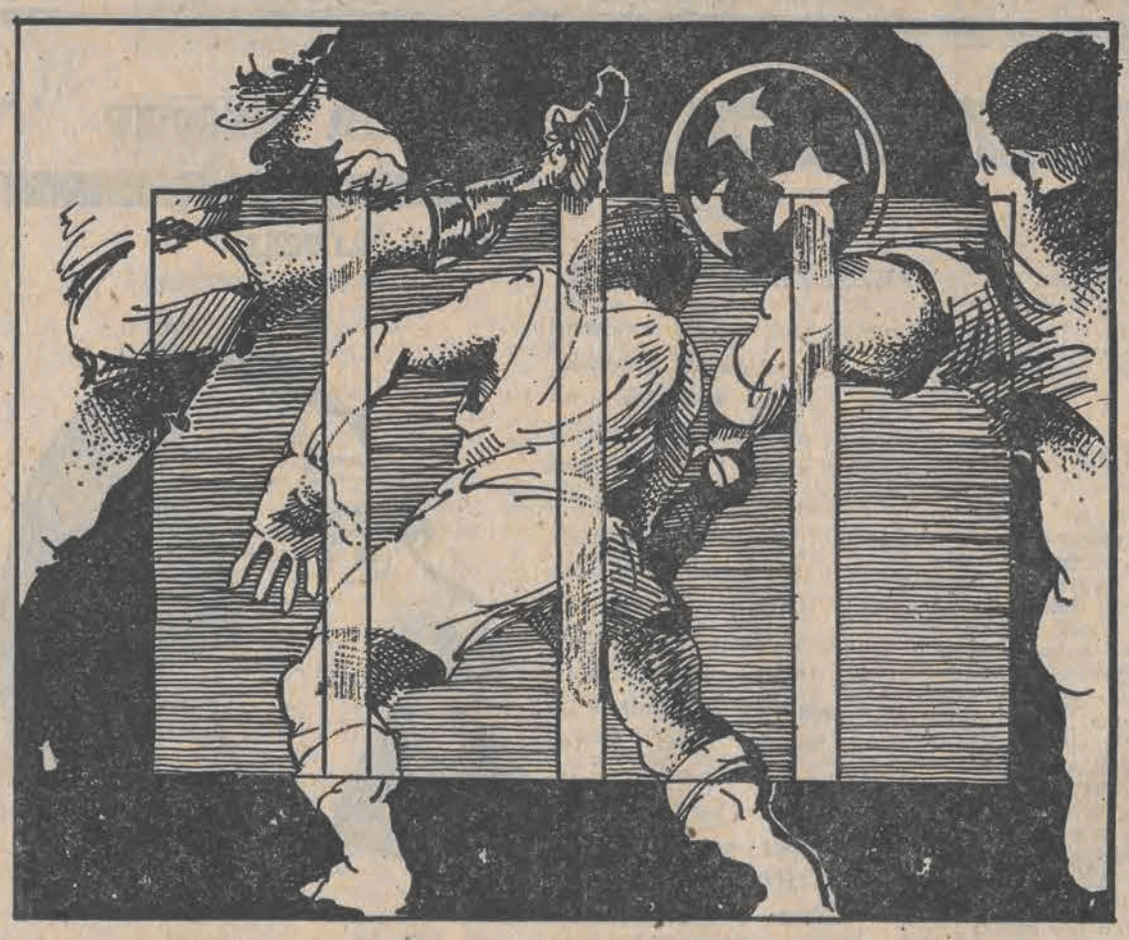

Rys. Dariusz Romanowicz

Wasilij nigdy, nawet gdy był wyraźnie podpity, nie zająknął się o śmierci matki. Lecz pewnego razu z jego odzywki w pobliżu jej zdjęcia: *„oj ojcze, ojcze.."* — zrozumiałem, że wie wszystko o jej samobójstwie. [4]). Mile wspominał czasy, kiedy jego i Swietłanę wychowywała ich ciotka, starsza siostra matki. Jej mężem był Stanisław Francewicz Redens, który w trzydziestych latach zajmował ważne stanowiska w NKWD, był wielkim amatorem sportu, w szczególności piłki nożnej i często przychodził na mecze drużyny moskiewskiej. Po zakończeniu kolejnego meczu, Stanisław Francewicz lubił zaglądać do szatni, długo razem roztrząsaliśmy problemy piłkarskie. Zawsze mnie uderzała jego umiejętność słuchania rozmówcy i takt, z jakim wypowiadał swoje poglądy. Czy można było przypuszczać jaki straszny los czeka tego czarującego, prawdziwie inteligentnego człowieka. Wiadomo teraz, że na rozkaz Józefa Stalina został rozstrzelany w drugiej połowie lat trzydziestych, a jego żona wysłana do obozu jako *„członek rodziny zdrajcy Ojczyzny"*.

Wówczas zupełnie tego nie wiedziałem, Wasilij również nic nie mówił, tylko wyklinał Berię przypisując mu winę za los swych krewnych.

W czasie, gdy u niego przebywałem, o ojcu nie powiedział ani słowa. Ani entuzjastycznie, ani krytycznie. Już to samo było dziwne. Przecież wówczas cały kraj wstawał i kładł się spać z modlitwami na cześć „Wielkiego Stalina". Przyznaję, że i ja nie byłem najlepszym kompanem do rozmów na tematy dalekie od sportu i piłki nożnej — dopiero co zwolniony więzień polityczny. Również czas i miejsce nie skłaniały do otwartości.

Nasze rozmowy zwykle prowadziliśmy rano: od siódmej do ósmej można z nim było roztrząsać coś na trzeźwo. Później rozkazywał obsłudze: *„Przynieście!"* Wszyscy już wiedzieli o co chodzi. Podawano mu sto pięćdziesiąt gramów wódki i trzy kawałki arbuza. Był to jego ulubiony przysmak. W ciągu dwóch miesięcy, które z nim spędziłem, ani razu nie widziałem, aby jadł, jak należy. Na kacu duszkiem opróżniał szklankę i zakąszał jedynie arbuzem. Potem z sypialni przechodził do stołowego. Tamtędy zostawało pół godziny dla wymiany różnego rodzaju wiadomości. Przede wszystkim sportowych, lecz które, chcąc nie chcąc — zawsze zahaczały o bieżące wydarzenia społeczno-polityczne. Mój „protektor", jak się prędko przekonałem, miał bardzo słabe wyobrażenie o problemach i troskach zwykłych ludzi. Miał porywczy i wyniosły charakter. Sprzeciwów nie znosił, decyzje podejmował szybko, nie tracąc czasu na niezbędne, niekiedy, przemyślenia. I tym różnił się od ojca, który, jak można wnioskować z filmów, przechadzał się po gabinecie, pykał fajkę i powoli, przemyślawszy każde słowo, wypowiadał *„genialne myśli"*.

Dobrze zapamiętałem nasz pierwszy wspólny wyjazd do daczy w Barwichu. Ogromna jadalnia, z jakieś sto metrów kwadratowych, duży dębowy stół. Przy stole — nieprawdopodobnej wielkości owczarek. Później Wasilij opowiadał, że to pies Göringa, przysłany w darze Josifowi Wissarionowiczowi, lecz ojciec „sprezentował" go synowi. Kiedy wszedłem, owczarek groźnie warknął, jego srogi wygląd nie pozostawiał wątpliwości, że łatwo może zerwać łańcuszek, którym był przywiązany do nogi stołu, i wbić kły w każdego, kto zbliży się do jego nowego właściciela. Usłyszawszy komendę: *„Ben, to swój"*, pies odwrócił się ode mnie pogardliwie i usiadł na krześle obok Wasilija, jak poprzednio nikomu nie pozwalając się do niego zbliżyć. Wasilijowi bardzo się to podobało.

Nasza rozmowa podczas obiadu zaczynała się od tego samego pytania:

— *Nikołaju Pietrowiczu, czy pan wie, kto jest najmłodszym generałem na świecie.*

Pojmowałem, do czego zmierza.

— Zapewne pan.

— *Prawidłowo. Otrzymałem stopień generalski w wieku 18 lat. A czy pan wie, kto dostał generała jako dziwiętnastolatek?* — I sam odpowiadał: — *Hiszpan Franco.*

Pomimo nie kończącego się refrenu, taka zgaduj—zgadula, widocznie sprawiała mu zadowolenie. Dawała o sobie znać próżność i wyostrzona miłość własna. Jak sądzę, dzięki takim cechom, mógłby zostać niezłym sportowcem. Sport rzeczywiście lubił i poświęcał mu cały wolny czas. Dobrze prowadził motocykl, wspaniale jeździł konno. Z opowieści adiutantów i innych osób z jego otoczenia wiedziałem, że bardzo odważnie i zuchwale pilotował myśliwiec. Pod tym względem nie był wcale pieszczochem, chociaż miał dość słabowity wygląd. Bóg wie, czy ważył choćby sześćdziesiąt kilogramów.

Przełożył:
JERZY DARNAL

C.D.N.

Objaśnienia tłumacza:

1) teren ścisłego łagru

2) dzielnica Moskwy

3) artykuł kodeksu karnego ZSRR: oskarżenie o działalność antyradziecką.

4) matką Wasilija była Nadieżda Allilujewa, a ciotką Anna Allilujewa, aresztowana w 1948 r. i skazana na 10 lat więzienia. Jej mąż Stanisław Redens został rozstrzelany w 1938 r.

Archipelag GUŁag — fragmenty.

Okręty Archipelagu

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

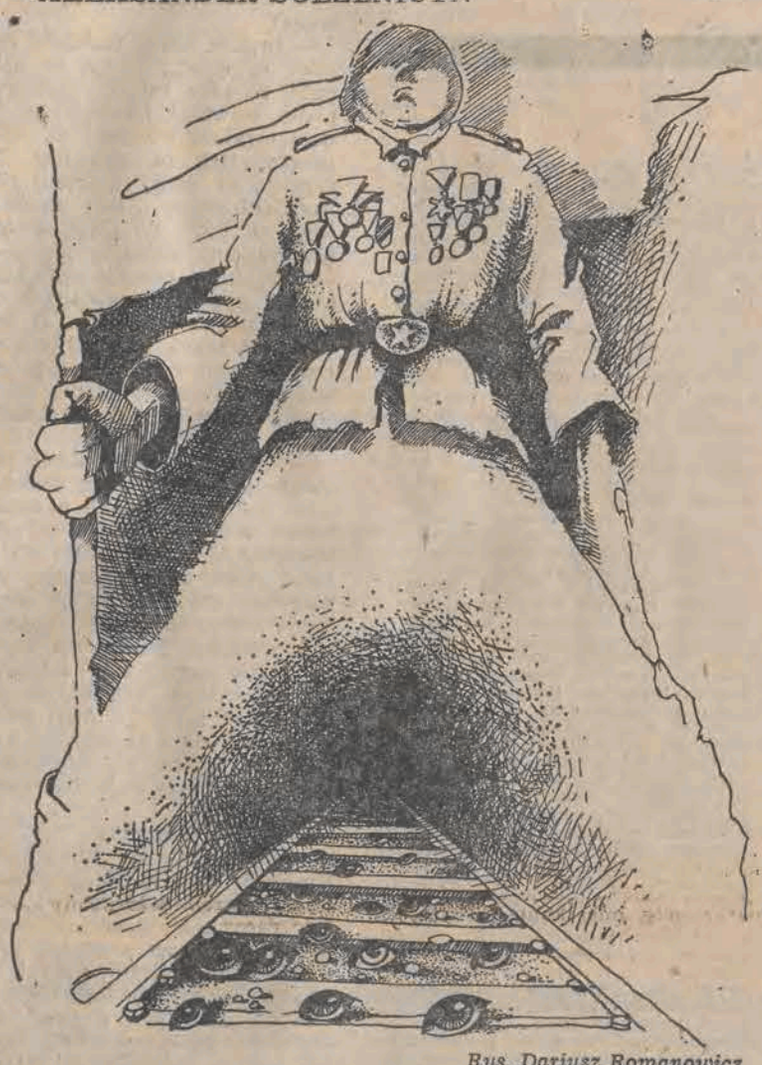

Rys. Dariusz Romanowicz

Od cieśniny Beringa do samego niemal Bosforu rozsiane są tysiące wysp zaklętego Archipelagu. Są niewidzialne, ale istnieją, a z wyspy na wyspę trzeba w sposób tak samo niedostrzegalny, ale regularny, przewozić niewidzialnych niewolników, mogących się przecież wykazać posiadaniem ciała, określonej objętości i ciężaru.

Którędyż więc ich wozić? I czym?

Istnieją w tym celu duże porty — więzienia tranzytowe, a także porty drobniejsze — obozowe punkty etapowe. Istnieją też stalowe szczelnej konstrukcji wagony aresztanckie. Na redzie zaś, zamiast szalup i motorówek — już oczekują tak samo stalowe, zamczyste, zwrotne **suki**. Aresztanckie wagony jeżdżą według rozkładu. W razie potrzeby zaś, z portu do portu, przelotowymi trasami Archipelagu wysyłane są całe karawany — składy kolejowe czerwonych, towarowych wagonów do przewozu bydła.

Jest to cały starannie opracowany system! Tworzono go przez dziesiątki lat — i to nie na łapu-capu. Tworzyli go syci, dobrze umundurowani, stateczni ludzie. Eskorta z Kineszmy w dni nieparzyste o godz. 17 przyjmuje na moskiewskim Dworcu Północnym transporty, dostarczane z zakładów karnych — butyrskiego, presnieńskiego i tagańskiego. Konwojenci z Iwanowa w dni parzyste o godz. 6 rano znajdować się mają na dworcu, odbierać z wagonów i trzymać w swojej dworcowej izbie zatrzymań więźniów tranzytowych, kierowanych w stronę Nierechty, Bieżecka i na Bołogoje.

Wszystko to dzieje się w waszym sąsiedztwie, pod waszym boczkiem, ale nikt z was tego nie widzi (można również przymknąć oczy). Na wielkich dworcach wyładowanie i załadowanie tych smoluchów odbywa się z dala od peronów pasażerskich, widzą je tylko ci od zwrotnic i sprawdzania torów. Na mniejszych stacjach obiera się najchętniej jakiś ślepy peron, między dwoma magazynami, gdzie suka może podjechać tyłem, podsuwając otwarty swój zad pod same stopnie aresztanckiego wagonu. Aresztantowi nie dają czasu na obejrzenie dworca, nie zdąży nawet rzucić okiem na was, czy wzdłuż pociągu, widzi tylko stopnie (czasem najniższy sięga mu do pasa i brak sił, żeby się podciągnąć), konwojenci zaś stojący z obu stron wąskiego przesmyku między suką a wagonem ryczą i krzyczą: *„Prędzej! Prędzej!... Dalej! Dalej!..."* Albo nawet bagnecikami wywijają.

Wy zaś, kroczący śpiesznie po peronie, z dziećmi, walizkami i torbami, nie macie jakoś czasu, aby przyjrzeć się: po co dołączono do pociągu drugi wagon bagażowy? Brak na nim jakichkolwiek napisów i bardzo podobny jest do bagażowego — te same skośne kratki i ciemność za nimi. Tylko dlaczego właściwie jeżdżą nim żołnierze, nasi obrońcy ojczyzny, na przystankach zaś dwóch z nich, pogwizdując sobie, przechadza się z obu stron wagonu, wciąż zerkając między koła?

Pociąg ruszy — i setka stłoczonych losów aresztanckich, setka udręczonych serc — pomknie tymi samymi krętymi torami, w ślad za tym samym dymkiem, wzdłuż tych samych pól, słupów i stogów, mijając je nawet kilka sekund przed wami, ale w powietrzu za szybami waszych wagonów, niklejszy jeszcze ślad zostawi nieszczęście, które właśnie przemknęło, niż palec, co musnął wodę. I biorąc udział w tak dobrze znanym, zawsze jednakowym życiu pociągu dalekobieżnego — z bielizną pościelową w specjalnej paczce, z herbatą, roznoszoną w szklankach z uchwytami — czy jesteście w stanie pojąć, jaka czarna, napięta groza przemknęła trzy sekundy przed wami przez ten sam odcinek euklidesowej przestrzeni? Wy, niezadowoleni, że w przedziale ciasno, bo jest was aż czworo — czy moglibyście w ogóle uwierzyć, czy wierzycie teraz, czytając nawet te słowa, że w takim samym przedziale chwilę przed wami przemknęło — 14 ludzi? Albo i — 25.? A nawet — 30.?...

Wagon aresztancki, **wagon-zak**, jaki to wstrętny skrót! Zresztą, jak wszystkie skróty, robione przez tych, co skracają o głowę. Chcieli powiedzieć — że wagon dla **zakluczonnych**, dla aresztantów. Ale nigdzie, prócz więziennych papierków, skrót ten się nie przyjął. Aresztanci zwykli nazywać ten wagon **stołypińskim** albo po prostu **stołypinką**.

W miarę rozwoju kolei żelaznych w naszej ojczyźnie zmieniał się również charakter aresztanckich transportów, etapów. Aż do lat 90. XIX wieku skazańcy na Sybir ciągnęli pieszo albo konno. Lenin w 1896 roku jechał na syberyjskie zesłanie już zwyczajnym wagonem III klasy (razem z wolnymi) i krzyczał na brygadę kolejarską, że strasznie ciasno. Wszystkim znany jest obraz Jaroszenki „Żyć można wszędzie", gdzie pokazany jest wagon pasażerski IV klasy, zaadaptowany jeszcze bardzo naiwnie — do przewozu więźniarskich ładunków: wszystko zostawiono bez zmiany i aresztanci jeżdżą zwyczajnie, jak ludzie, jedynie w okna wstawiono dwustronne kraty. Wagony takie długo jeszcze krążyły po rosyjskich torach, niektórzy pamiętają, jak ich w 1927 roku transportowano właśnie nimi, rozdzieliwszy tylko obie picie. Z drugiej strony — eser Truszyn wspomina, że już za carskich czasów transportowany był *„stołypinką"*, było ich jednak tylko sześciu w przedziale, jak to w bajkach Kryłowa.

Zapewne wagony takie rzeczywiście puszczone były w ruch po raz pierwszy za czasów Stołypina, to znaczy, jeszcze przed rokiem 1911 — i panujące wtedy kadecko-rewolucyjne zacietrzewienie sprawiło, że zaraz przylgnęło do nich to przezwisko. Jednakże ulubionym środkiem transportu stał się ten wagon na dobrą sprawę dopiero w latach 20., a znalazł powszechne i wyłączne zastosowanie po roku 1930, kiedy wszystko w naszym życiu podległo ujednoliceniu, dlatego byłoby sprawiedliwiej nadać mu imię nie **Stołypina**, lecz **Stalina**. Ale nie toczmy sporów z językiem.

Stołypinka

To zwykły wagon podzielony na 9 przedziałów z tą różnicą, że 5 z nich, przeznaczonych dla aresztantów (tu również, jak wszędzie na Archipelagu, z obsługą trzeba dzielić się wszystkim po połowie!), oddziela od korytarza nie ścianka, lecz krata, pozwalająca widzieć wszystko, co dzieje się w środku. Krata zrobiona jest z biegnących ukośnie prętów, przez co przypomina ogrodzenie dworcowych trawniczków. Krata sięga aż do samej góry, do dachu, dlatego też nie ma półek bagażowych, biegnących wzdłuż korytarza po stronie przedziałów. Okna korytarza są normalne, ale zabezpieczone z zewnątrz taką samą skośną kratą. W aresztanckim zaś przedziale nie ma okna, jedynie okratowany, ślepy wywietrznik na poziomie drugiej półki (właśnie dzięki temu, że okien brak, wagon miał wygląd bagażowego). Drzwi do przedziału są nie uchylone, lecz przesuwane: żelazna rama, również wypełniona kratą.

Gdy się na to patrzy z korytarza, wszystko przypomina zwierzyniec: za kratami, na podłodze i na półkach leżą zwinięte w kłębek jakieś nędzne istoty, przypominające nieco ludzi, które żałosnym tonem wciąż skomlą o picie i jedzenie. Ale w żadnym zoo zwierzęta nie są stłoczone tak ciasno.

Według projektów, opracowywanych przez inżynierów, pozostających z resortem w stosunkach wolnego najmu — w stołypinowskim coupe sześciu może siedzieć na dolnych ławkach, trzech ludzi — leżeć na środkowej półce (sięga ona od ściany do ściany, jak nary i jedynie przy drzwiach ma wyimkę, umożliwiającą przechodzenie w górę i na dół), dwóch zaś może leżeć na górnych półkach bagażowych. Jeśli teraz tym jedenastu wepchnąć dla towarzystwa jeszcze jedenastu (przy zamykaniu drzwi konwojenci upychają ostatnich nogami) — to będziemy mieli do czynienia z zupełnie normalnym załadunkiem aresztanckiego przedziału. Po dwóch skurczy się w półsiedzącej pozycji na dwóch półkach bagażowych, pięciu położy się na szerokiej środkowej (tym się najlepiej powiodło, o te miejsca trzeba walczyć i jeżeli w przedziale są szemrani, to właśnie oni tam leżą), a jeszcze trzynastu musi się zmieścić na dole: po pięciu siedzi na ławkach, a trzech — w przejściu między ich nogami. Gdzieś tam, wśród ludzkich ciał, pod nimi i na nich — jadą bagaże. I tak oto, z podkurczonymi, przywalonymi ciężarem nogami, jadą więźniowie doba za dobą.

Nie, nie robi się tego specjalnie po to, aby ludzi męczyć! Skazaniec jest to żołnierz socjalistycznej pracy, po cóż go męczyć, toż ma być wykorzystany na jakiejś budowie. No, ale zgódźmy się, że nie jedzie on przecież do cioci na imieniny, że nie powinien mieć takich udogodnień, których mógłby mu ktoś jeszcze na wolności pozazdrościć. Nasza kolej pracuje w trudnych warunkach; jakoś dojedzie, nie zdechnie.

Poczynając od lat 50., kiedy pociągi zaczęły już chodzić regularnie, aresztanci nie musieli długo podróżować w takich warunkach — no, półtorej doby, no, dwie. Podczas wojny i zaraz po niej bywało gorzej: od Pietropawłowska (Kazachskiego) do Karagandy (leżącej w tej samej republice) — stołypinka mogła wędrować także **siedem dni i nocy** (a w przedziałach było po 25. ludzi!), od Karagandy do Swierdłowska — **osiem** dni i nocy, (a w przedziałach było już po 26.). Nawet z Kujbyszewa do Czelabińska w sierpniu 1945 roku Suzi jechał stołypinką kilka dni — i było ich w przedziale TRZYDZIESTU PIĘCIU, ludzie leżeli po prostu jeden na drugim, miotając się i walcząc ze sobą. Jesienią zaś 1946 roku N. W. Timofiejew-Ressowski jechał z Pietropawłowska do Moskwy w przedziale, gdzie znajdowało się TRZYDZIESTU SZEŚCIU ludzi! Przez kilka dni i nocy WISIAŁ wręcz między nimi, nie dotykając nogami ziemi. Po jakimś czasie ludzie zaczęli umierać — straż wyciągała więc trupy spod nóg żyjących (co prawda, nie od razu, dopiero na drugi dzień) i dzięki temu zrobiło się luźniej. Ta podróż do Moskwy **trwała trzy tygodnie.**

Czy 36 — to już górna granica?

Nie mamy wprawdzie relacji o 37. pasażerach, ale posługując się jedyną, prawdziwie naukową metodą i wychowani w walce ze zwolennikami „górnych granic", i „nieprzekraczalnych norm", odpowiadamy śmiało: nie, o nie! To jeszcze nie pułap! Może dla innych byłby to pułap, ale nie dla nas! Póki jeszcze w przedziale zostają pod półkami, między barkami, nogami i głowami ludzkimi jakieś nie wykorzystane decymetry kubiczne przestrzeni — przedział gotów jest do przyjęcia dodatkowych pasażerów! Umownie można uznać za wielkość nieprzekraczalną ilość zwłok ludzkich, które można by upchać porządnie, jedne na drugich, wykorzystując przy tym całą przestrzeń naszego coupe.

W. A. Korniejewa jechała z Moskwy w przedziale razem z **trzydziestoma** kobietami, a większość z nich były to niedołężne staruszki, jadące na zesłanie za gorliwość w wierze (po przyjeździe WSZYSTKIE te kobiety, poza dwoma, od razu poszły do szpitala). Nie było w czasie podróży wypadków śmierci, ponieważ było tam także kilka młodych, rozgarniętych i ładnych dziewczyn, siedzących „za cudzoziemców". Dziewczęta te zaczęły robić wymówki konwojentom:

— *Jak wam nie wstyd wieźć je w takich warunkach? Przecież to są wasze matki!*

Nie tyle zapewne umoralniające argumenty, ile uroda petentek przyczyniła się do jakiejś reakcji ze strony eskorty — i kilka staruszek przeniesiono do **karceru**. Karcer zaś w stołypince, to nie kara, lecz błogosławieństwo. Z pięciu przedziałów aresztanckich tylko cztery wykorzystane są w charakterze pomieszczeń ogólnych, piąty zaś jest przepołowiony: są to dwa półprzedziały z jedną górną i jedną dolną półką, jak w konduktorskim coupe. Karcery te służą do izolacji: podróżuje się w nich w trójkę czy w czwórkę wygodnie i bez ciasnoty.

Nie, wcale nie po to, aby celowo dręczyć więźniów pragnieniem przez wszystkie te dni, spędzane w odbierającym siły tłoku, karmi się ich tylko śledziami albo suszoną rybą (tak było przez WSZYSTKIE LATA trzydzieste i pięćdziesiąte. Zimą i latem — na Syberii i Ukrainie, tu nie trzeba nawet przykładów przytaczać). Nie po to, żeby dręczyło ich pragnienie, tylko — sami powiedzcie — czym karmić w drodze tę hołotę? Nie należy im się w czasie podróży gorące jedzenie (w jednym z przedziałów stołypinki jest, co prawda, kuchnia, ale tylko dla eskorty) suchej kaszy nie mą im co dawać, surowego dorsza też nie, a konserwami mięsnymi jeszcze by się zanadto upaśli. Śledź — nie ma nic lepszego, no i kawał chleba — czego trzeba więcej?

Więc bierz, bierz swoje pół śledzia, póki ci dają — i ciesz się! Jeżeli masz rozum — to nie jedz tego śledzia, miej cierpliwość, schowaj go do kieszeni, zdążysz zeżreć na punkcie tranzytowym, gdzie jest już woda. Gorzej, jeżeli dają azowskie drobne rybki, mokre, przesypane grubą solą. W kieszeń tego nie da się schować, nadstaw więc od razu połę kurtki, albo chustkę do nosa, albo dłoń — i jedz, jak leci. Dzielą te rybki na czyjejś kurtce, suszone zaś ryby eskorta wysypuje wprost na podłogę przedziału i ludzie rozdzielają je później na ławkach, na własnych kolanach. Ale jeżeli już dali ci ryby — to chyba nie odmówią chleba, albo może nawet cukru też dadzą. Gorzej, jeśli konwojent przychodzi z komunikatem: dziś jedzenia nie będzie, bo nam **nie wydali**. Może naprawdę nie wydali, tak bywa: w jakiejś więziennej księgowości postawiono cyferkę nie tam, gdzie należy. Ale może być i tak, że przydział dano, ale konwojentom własnych racji nie wystarcza (im też się przecież nie przelewa), postanowili więc chlebuś sobie zaharapczyć, a dawać więźniom gołe pół śledzia — to byłoby podejrzane.

I oczywiście, nie po to, żeby więźnia męczyć, nie dają mu po tym śledziu ani wrzątku (to już nigdy), ani nawet surowej wody. Trzeba przecież zrozumieć, że ilość konwojentów jest ograniczona: stoją w korytarzu na warcie, pełnią straż w tamburze, na stacjach muszą zaglądać pod wagony, na dach — dają baczenie, czy ktoś, aby sobie dziurki nie zrobił. Inni znów czyszczą broń, a w końcu trzeba zająć się kiedyś szkoleniem politycznym i bojowym. Trzecia zmiana śpi; bo osiem godzin należy im się według prawa, toć wojna dawno skończona. Następnie: nosić wodę wiadrami — to kawał drogi, przy tym przykro jakoś: czemu to sowiecki żołnierz ma jak juczny osioł dźwigać wodę dla wrogów ludu? Czasami na stacjach przetokowych, albo przy zmianie składów zapchną stołypiński wagon — i to nieraz na cały dzień — tak daleko od stacji (żeby nie wpadał w oko), że trudno wody przynieść nawet dla potrzeb własnej, wojskowej kuchni. No, jest wprawdzie wyjście: można zaczerpnąć wody z tendra lokomotywy — żółta, mętna, z oczkami smaru, ale „zeki" chętnie piją również taką wodę, nie szkodzi, w półmroku przedziału i tak nie widać, toć nie ma okna, nie ma lampy, światło — tylko z korytarza. A ponadto: tę wodę trzeba by rozdzielać strasznie długo — własnych kubków więźniowie nie mają, kto miał, temu już dawno zabrali — to znaczy, że trzeba by poić ich tymi dwoma co są w inwentarzu, a zanim się wszyscy napiją, ty stój, człowieku, cały czas, jak głupi, nabieraj i podawaj, nabieraj i podawaj. (A jeszcze jak ci zaczną między sobą wydziwiać: naprzód niech zdrowi piją, dopiero potem — gruźlicy, a na końcu syfilitycy! Tak, jakby w sąsiednim przedziale nie miało się zacząć od nowa: naprzód zdrowi...).

Ale wszystko to eskorta jeszcze by zniosła, nosiłaby wodę i poiła ich, gdyby te świnie, nachławszy się wody, nie zaczynały od razu skamleć, że chcą do wychodka. A wychodzi na to, że jak im się nie da wody przez jakąś dobę — to w ogóle się nie napierają. Jak im się da pić raz na dobę — to jeden raz chcą iść za potrzebą. A jak się człowiek nad nimi ulituje i da pić dwa razy — to napierają się dwa razy. Prosty rachunek wykazuje, że najlepiej wcale nie dawać pić.

I nie dlatego żałują więźniom tego chodzenia za potrzebą, że szkoda wychodka — tylko dlatego, że jest to operacja odpowiedzialna, a w istocie — bojowa: wymaga przez dłuższy czas obecności podoficera i dwóch żołnierzy. Stawia się dwa posterunki — jeden koło drzwi klozetu, drugi w korytarzu, w jego przeciwległym końcu (żeby się który tam nie rzucił), zaś podoficer musi raz po raz odsuwać i zasuwać drzwi przedziału najpierw wpuszczając powracającego, a dopiero później wypuszczając następnego.

Regulamin zezwala na wypuszczanie tylko po jednym więźniu naraz, aby zapobiec grupowej napaści na konwój, aby nie mogli wszcząć buntu. I w rezultacie — ten jeden wypuszczony do klozetu facet absorbuje trzydziestu więźniów ze swojego przedziału, stu dwudziestu w całym wagonie i specjalną grupę eskorty! Wobec tego: *„Dalej! Dalej! Dalej! Prędzej! Prędzej!"* — musi popędzać go po drodze podoficer i wartownik, więzień spieszy się więc i potyka, jakby kradł państwu to oczko w klozecie.

W 1949 roku w stołypince na trasie Moskwa — Kujbyszew jednonogi Niemiec Schulz, rozumiejący już rosyjskie przynaglenia, skakać musiał na swojej nodze do klozetu i z powrotem, eskorta zaś miała z tego uciechę i domagała się szybszego skakania. Przy jednej z takich wycieczek konwojent popchnął Niemca, nie dochodząc do klozetu. Schulz upadł. Konwojent rozsierdził się, zabrał się do bicia i bity Schulz, nie mogąc poderwać się, musiał wpełznąć do wychodka po pokrytej fekaliami podłodze. Konwojenci pokładali się ze śmiechu.

Żeby w ciągu tych chwil, spędzonych w klozecie, aresztant nie zorganizował sobie ucieczki, a także ze względu na przelotowość i pośpiech, drzwi do wychodka nie są zamykane i — obserwując czynności więźnia — konwojent zachęca go: *„Ruszaj się, ruszaj!... No dosyć, dosyć już!"*. Czasem zaraz na wstępie pada rozkaz: *„Tylko za małą potrzebą!"* — i wtedy już ten z tambura na nic więcej ci nie pozwoli. No i rąk, rzecz jasna, nikt nigdy nie myje: nie starczyłoby wody w zbiorniku i czasu też brak: jeśli tylko aresztant dotknie kranu, konwojent ryczy: *„Ani się waż, wychodzić!"*. Jeżeli ktoś ma w plecaku mydło, albo ręcznik, to nie wyjmuje już z samego wstydu: byłoby to bardzo po **frajersku**. Wychodek zaś cały jest uświniony. Prędzej, prędzej! I wnosząc rzadką tę maź na butach, aresztant wciska się do przedziału. Depcząc po czyichś rękach i barkach pnie się w górę, a później jego ociekające gnojem buty zwisają z trzeciej półki.

Gdy załatwiają się kobiety, regulamin służby wartowniczej i zdrowy rozum również wymagają, aby nie zamykać drzwi wychodka, ale nie wszystkim konwojentom na tym zależy, niektórzy skłonni są do ustępstw: już dobrze tam, można zamknąć. (Jeszcze później kobiety muszą szorować ten wychodek — no i znowu musi człowiek sterczeć koło takiej baby, żeby nie uciekła).

Ale nawet przy tak szybkim tempie, załatwienie tych prostych potrzeb przez 120 osób zabiera więcej niż dwie godziny — a więc więcej niż ćwierć szychty trzech konwojentów! I tak, czy owak — niczym im nie dogodzisz! — wszystko jedno — po półgodzinie jakiś stary, z którego piach się sypie, znów skamle, że chce iść do wychodka; rzecz jasna, że nikt mu na to nie może pozwolić, więc wali ci wprost u siebie w przedziale — i znów podoficer ma robotę; żeby go zmusić do zebrania własnymi rękami tego łajna i wyniesienia.

Wniosek prosty; jak najrzadziej puszczać do wychodka! A to znaczy — wydawać jak najmniej wody. I jedzenia też jak najmniej. Nie będą skarżyć się na rozwolnienie i zatruwać powietrza, bo to już wprost niepodobna —

w wagonie nie ma czym oddychać!

Jak najmniej wody! A śledzie wydawać zgodnie z przepisami! Niewydawanie wody — jest rozsądnym pociągnięciem, niewydanie śledzi — byłoby służbowym wykroczeniem.

Nikt, ale to nikt nie miał na celu pastwienia się nad nimi! Wszystkie kroki eskorty były zupełnie racjonalne! Jednak — wzorem pierwszych chrześcijan siedzimy w klatce i na pokryte ranami nasze języki sypana jest sól.

Tak samo wcale nieumyślnie (czasem umyślnie) konwojenci etapowi wsadzają do jednego przedziału Pięćdziesiąty Ósmy razem z szemranymi i pospolitakami — tylko po prostu: aresztantów jest zbyt wielu, wagonów i przedziałów — zbyt mało, czasu w ogóle nie starcza, będzie się tam człowiek z nimi wodził? Jeden z czterech przedziałów rezerwuje się dla kobiet, a co do trzech pozostałych — to jeśli już w ogóle segregować, to według stacji docelowych, żeby łatwiej szedł później wyładunek.

I czy to dlatego ukrzyżowano Chrystusa między dwoma łotrami, że Piłat koniecznie chciał go upokorzyć? Po prostu dzień taki wypadł, przyszła kolej, żeby krzyżować. Golgota — jest tylko jedna, czasu mało. I ZE ZŁOCZYŃCAMI JEST POLICZON.

Przekład z rosyjskiego
MICHAŁ KANIOWSKI

(Wydanie Instytutu Literackiego, Paryż 1974 r.)

■

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Kinematografia polska przeżywa trudny okres, a będzie jeszcze gorzej. W przyszłym roku, jeśli kulawy się nie przewróci, powstanie 8 nowych filmów, podczas gdy w najlepszych latach produkowano ich ponad 30. Podobnie ma się sprawa z kinami. Łódzka OIRF (Okręgowa Instytucja Rozpowszechniania Filmów) nie jest wcale najgorsza na tle innych w Polsce, a i nie wszystkie grzechy są jej wyłączną winą. Mimo to, jest jak jest. Skomplikowana siatka instytucji filmowych, powiązań między nimi, dystrybucji, podległości, zależności i rozliczeń finansowych wiąże ręce, krępuje biurokratycznym dyktatem, przeszkadza w usamodzielnieniu się. Łódzka OIRF obejmuje swą działalnością 5 województw. Najdalej wysunięte miasta na tej mapie, to Sierpc — w połowie drogi do Gdańska — i Żyrardów — pod Warszawą. Posiada około 100 kin, dokładnie nikt nie wie, w tym: ruchome (objazdowe), prywatne, zakładowe i agencyjne. Cześć kin nie jest własnością tej instytucji, np. budynek kina „Roma"

Kino na zakręcie

MAREK KOPROWSKI

należy do diecezji, „Oka" do wojska, „Polesie" do szpitala itd. Zysk przynoszą: „Bałtyk", „Włókniarz" i „Iwanowo", oraz pierwsze w Łodzi kino prywatne — „Przedwiośnie" (25 mln zł jak dotąd), które dotychczas było na granicy deficytu. Kina agencyjne nie przynoszą strat. Opłaca się utrzymywać kina studyjne (artystyczne), choć nie ma dla nich repertuaru, bo „jadą" na dotacjach. Dlatego też „Ławę" Tadeusza Konwickiego, czyli sfilmowane „Dziady" Adama Mickiewicza, film, na który — wg przewidywań specjalistów — nikt w Łodzi nie pójdzie dobrowolnie, będzie wyświetlany w studyjnej „Wiśle", bo na tych kinach się nie traci.

— Publiczność łódzka, to około dwa tysiące fanatyków kina — mówi **Tomasz Filipczak**, właściciel „Przedwiośnia" — a moja sala liczy sześćset miejsc. Płacimy dziś za socjalizm i jego gigantomanię. Wolałbym mieć cztery małe salki i grać na jednej np. Felliniego, na drugiej Koterskiego, itd. Trzeba tę salę jednak zapełnić. Widz 15-20-letni ma określone upodobania: mordobicie, dużo krwi i porno. Zachowują się oni odpowiednio do poziomu swych upodobań: kilka razy musiała interweniować milicja. Filmy kasowe zarabiają u mnie za te ambitne, jak „Wall Street" na przegląd filmów Studia im. Trzykowskiego.

Niedawny przegląd pt. „Kino protestu — kino skandalu", gdzie obejrzeć można było takie dzieła, jak „Opowieści kanterberyjskie" Pasoliniego, „Piłat i inni" Wajdy, „Ciało" Warnola i Morriseya, czy „Mechaniczna pomarańcza" Kubricka, ściągnął do kina tłumy ludzi. Pojawiły się nawet konika (bilety po 5 tys. zł.), co jest rzadkością niezwykłą i aż dziw, że ta „profesja" jeszcze u nas funkcjonuje. Można więc zorganizować dobrą imprezę filmową bez oglądania się na dystrybutora, od którego nie można się spodziewać niczego dobrego.

Janusz Zaporowski, który kupuje filmy z ramienia CDF, twierdzi, że jego funkcja składa się z samych ograniczeń. Roczna pula pieniędzy na zakupy wynosi 1 mln. dolarów. Za tytuł można zapłacić najwyżej 50 tys. „zielonych", gdy nowość kosztuje 100 tys. Trzeba kupić określoną ściśle ilość tytułów, a wśród nich filmy wyróżnione, co nie zawsze znaczy dobre. Trzeba pokazać filmy Trzeciego Świata. Niebagatelną rolę grają ograniczenia obyczajowe, a przede wszystkim — biurokratyczne.

— Murzyn dogaduje się z producentem, kładzie gotówkę na stół i bierze film. A ja — mówi Janusz Zaporowski, choć jest to relacja z drugiej ręki — muszę najpierw mieć potwierdzenie czeku, później potwierdzenie, że ja, to ja i to wcale nie koniec korowodów. Mieszkam prywatnie u znajomych, bo CDF-u nie stać na zapłacenie hotelu.

— Jedyna szansa, to dystrybucja konkurencyjna, kilka istniejących na rynku instytucji, spółek, prywatnych firm i tym podobnych. Od niedawna, kupując polskie filmy, OIRF może prowadzić negocjacje cenowe. Sprzedają swą produkcję Zespoły realizujące filmy, ale żądają 50 proc. wpływów, a OIRF może proponować nie więcej niż 20 proc. przewidywanych zysków. Przynajmniej przez rok będzie wojna, spadnie produkcja filmów, a odczują to przede wszystkim widzowie — powie Tomasz Filipczak.

Bardzo istotna jest kwestia repertuaru.

— Nie można robić repertuaru z wyprzedzeniem — kontynuuje właściciel „Przedwiośnia" — gdyż kopia przychodzi tuż przed projekcją, a nawet w czasie wyświetlania kroniki, nie mówiąc o innych niespodziankach. Zdarzyło się przy „Wall Street", że trzecia szpula zawierała inny film. Pomieszała telewizja, a ja musiałem zwrócić widzom pieniądze. Zdarza się również, że obiecany tytuł w ostatniej chwili przechwytuje ktoś inny.

W listopadzie wejdzie 6 nowych tytułów na 100 kin. W tym 3 polskie, 1 radziecki i 1 amerykański, oczywiście do „Bałtyku". A co mają grać inne kina zeroekranowe? Zgrywać stare „Commanda" i im podobne?

Sprawa kopii filmowych: mamy w Łodzi Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych. Możliwość przerobu kopii jest jednak ograniczona ze względu na opłakany stan techniczny urządzeń i brak fachowców.

— ŁZWKF trzeba rozbić, albo rozbudować, ale w formie spółki, czy czegoś podobnego — proponuje Tomasz Filipczak. — Kolejka po kopie ustawia się na rok do przodu, a dystrybutor zachodni niekiedy daje film tylko na pół roku. Trzeba więc albo „przebić" kolejkę, albo czekać, żeby się nie doczekać.

Wszyscy chodzący do kina znamy katastrofalny poziom dźwięku emitowanego przez urządzenia nagłaśniające. Aby dźwięk był dobry, potrzebne są dwie diody, które właśnie funduje sobie „Bałtyk", kupując je w Anglii za dewizy, o czym informuje ze zrozumiałą radością „Głos Wybrzeży". Autor notatki nie dodaje tylko (może nie wie?), iż owe angielskie diody, na jugosłowiańskich podzespołach, produkuje się w łódzkim „Prexerze". Czy to aby nie idiotyzm?

Przechodzimy w końcu do pieniędzy. Mówi właściciel „Przedwiośnia": — Mnie interesuje kino na dłużej, więc inwestuję weń duże pieniądze. Mam większe ambicje, niż tylko tłuczenie szmalu. Ajent bierze, na ogół, kino na krótko i wyciska pieniądze maksymalnie, bez większych nakładów. Może zarobić milion miesięcznie, podczas gdy ja biorę 300 tys., jak tramwajarz, a i tak mam opinię złodzieja, bo drogo kosztuje wstęp i nie honoruję biletów pracowniczych. Płacę większe podatki niż ajent (on ma 20 proc dochodowego), bo 5 proc. obrotowego i 40 proc. dochodowego. Ponadto, ponieważ stale przekraczam normę wynagrodzeń, bity jestem dodatkowym podatkiem. Wrzucenie ponadnormatywnego podatku od wynagrodzeń w sferze kultury jest w ogóle skandalem i bzdurą. Ponieważ sprowadzam kopie bez napisów, muszę zatrudnić lektora do czytania list dialogowych, a to kosztuje 600 tys. zł. miesięcznie, nie licząc podatku, ZUS-u, itd. Gdy idę na urlop, płacę za dzierżawę, prąd i wszystkie inne świadczenia tak, jakbym grał, a przecież w tym czasie nic nie zarabiam. Inna sprawa, to pieniądze przepływające obok. Obliczono, że ok. 3 miliardów złotych rocznie wpada wprost do kieszeni bileterek i kasjerek. Ja obliczam, że cztery razy więcej. Niedawno powołano komisje kontrolne. W czasie pracy komisji w „Bałtyku" wyłowiono 44 osoby bez biletu. To daje mniej więcej 44 tysiące z jednego seansu w jednym kinie. Nie honoruję u siebie, jak mówiłem, biletów pracowniczych. To jest dopiero dramat dla OIRF. Wszystkie instytucje związane z filmem, a jest ich w Łodzi bodaj 13, mają te bilety. Przynoszą one ogromny deficyt kinom. W ubiegłym roku w „Przedwiośniu", przy deficycie 7 mln zł. bilety pracowicze przyniosły stratę 8 mln. Rady pracownicze instytucji obowych protestują przeciwko oddawaniu kin w ręce prywatne z powodu tychże biletów. Muszę, poza tym, urządzać imprezy, które — z góry wiadomo — przynoszą straty. Reżyser **Bohdan Poręba** wymusił premierę swego najnowszego filmu pt. „Penelopy" w kinie zeroekranowym. W ciągu 4 dni chęć obejrzenia tej produkcji — poprzez przyjście do kasy — wyraziło 7 (!) osób. Zlikwidowałem w swym kinie pozory podwładności. Ja personelu nie muszę pilnować, sami wiedzą, kto jak pracuje, ile powinien zarabiać. Zastosowałem szwedzki system wynagradzania. Daję np. szefowi kabiny, pewną pulę pieniędzy — i niech on dzieli je między kabinarzy, według własnego rozeznania. Chcę im udowodnić, że tę samą robotę mogą robić we dwójkę, zamiast w czwórkę i zarobić dwa razy więcej.

Łódzka OIRF, choć na tle innych w Polsce wygląda dobrze, czerpie z budżetu państwa 680 mln zł rocznie, choć instytucja taka powinna przynosić dochód jak cholera. Szuka więc ratunku, oddając kina w ręce prywatne, idąc tym samym w kierunku samolikwidacji. Rada Pracownicza, kierując się interesem załogi, co — w tym przypadku — nie ma nic wspólnego z pojęciem interesu jako biznesu, zamroziła do końca bieżącego roku decyzję o przejmowaniu kin przez prywatnych właścicieli. Niemniej, żona pewnego pracownika OIRF-u zdążyła tuż przed powzięciem owej decyzji przejąć „Zachętę". Jest to budujący przykład godzenia interesów ludzi pracy, których się reprezentuje, z interesem rodziny, której się jest głową.

I tak to się właśnie wszystko kręci.

„Odgłosy" proponują:

Film:

Proponujemy „Galimatias" w reż. **Romana Załuskiego**, który, jak pamiętamy, zrealizował komedię obyczajową „Kogel-Mogel", opowiadającą o perypetiach dziewczyny ze wsi, która wolała pracować jako gosposia w dużym mieście niż pozostać na wsi. Pod koniec filmu poznaje młodego i zamożnego chłopaka myślącego o przeniesieniu się na wieś. I właśnie „Galimatias" zaczyna się w tym punkcie. Młodzi zakładają własne gospodarstwo, jednakże pojawia się między nimi kwestia zasadnicza — ona pragnie studiować, on nalega na urodzenie potomka. Taki punkt wyjścia pozwala reżyserowi rozwinąć wiele wątków i wprowadzić sporo zabawnych rozwiązań sytuacyjnych, wyszydzając jednocześnie stereotypy myślowe i obyczajowe...

TV:

„SPRAWIEDLIWOŚCI STAŁO SIĘ ZADOŚĆ" — ten film zobaczymy w piątkowej Akademii Filmowej. Zmarły w 1989 r. wybitny francuski reżyser **Andre Cayatte** zasłynął ze znakomicie zrealizowanych serii filmów o tematyce sądowej („Wszyscy jesteśmy mordercami", „Przed potopem", „Czarna teczka"), w których podejmował m.in. problemy kary śmierci, przestępczości wśród młodzieży, korupcji organów policji i sprawiedliwości. Pierwszym filmem z tej serii był prezentowany tu dramat sądowy. Cayatte stawia w nim pytanie, czy przypadkowo zebrani na sali sądowej członkowie rady przysięgłych, rekrutujący się z różnych środowisk i grup społecznych, mogą wydać sprawiedliwy wyrok. Sądzić ma kobietę, która odpowiada za zabójstwo kochanka. Jest to film o wartościach uniwersalnych, który mimo upływu lat od jego powstania (1950 r.) zupełnie się nie zestarzał. **(Piątek, 17 listopada, godz. 20.05. TV I).**

„PRZYJĘCIE U DONA" to australijski dramat społeczny. Na początku ub. r. mieliśmy okazję obejrzeć film pt. **„Z dołu na szczyt, czyli koala, który zaryczał"**, będący zręczną reklamówką kina australijskiego. Przed kilku tygodniami oglądaliśmy filmy **Paula Coxa**, który obok **Bruce'a Beresforda, Donalda Crombie, Johna Duigana** czy **Petera Weira**, znanego widzom choćby z **„Pikniku pod Wiszącą Skałą"** należy do czołowych eksportowych twórców kina antypodów. Kolejną propozycją jest krótka seria (pięć filmów) obrazów zatytułowana „Kino antypodów", wśród których obejrzymy słynnego **„Irlandczyka"**, **„Świt"**, **„Człowieka kina"**. Pierwszym z nich jest właśnie **„Przyjęcie u Dona" Bruce'a Beresforda**. Akcja filmu rozgrywa się podczas wyborów w roku 1969. W pierwszej turze wygrała Partia Pracy. Jej zwolennik Don wydaje z tej okazji przyjęcie dla grupy przyjaciół. Alkohol, wspólna zabawa, zażarte dyskusje, a wreszcie oglądanie w telewizji wyborów doprowadza do ostrej wymiany zdań. Przyjaciele zamieniają się w grupę wrogich sobie osób. **(Piątek, 17 listopada, godz. 21.50. TV II).**

Kto mógłby kandydować do nagrody „Odgłosów"?

Jak w księgarstwie pozbyć się monopolu?

Rozmowa z RYSZARDEM KOSELEM — kierownikiem księgarni „Współczesna" w Łodzi.

— Czy obniżenie poziomu życia i pauperyzacja znacznej części społeczeństwa widoczne są także w księgarni?

— Oczywiście. Właśnie zgłosiła się do mnie bibliotekarka i powiedziała, że jej biblioteka nie ma pieniędzy na zakup książek. Często obserwuję klientów, którzy muszą rezygnować z zakupu upragnionej książki.

— Jakie książki są przede wszystkim kupowane?

— Ludzie wciąż traktują książkę jak przedmiot użytkowy, lokują w niej pieniądze. Kupują głównie książki uniwersalne — encyklopedie, słowniki, beletrystykę. Ubolewam, że ludzie oczytani zmuszeni są wybierać w naszych propozycjach ze względów finansowych. Inna sprawa, że mamy niewiele książek dla ambitnych odbiorców. Kiedy ukaże się coś na przykład w PIW lub Wydawnictwie Literackim, otrzymujemy znikomą liczbę egzemplarzy, natomiast inne pozycje zalegają półki. Nawet książki o dużych nakładach trafiają do Łodzi w śladowych ilościach. Z cenami też różnie bywa, na przykład do Piotrkowa ekspediuje się encyklopedię po 30 tys. zł, a do Łodzi kilka dni później już po 45 tys. zł.

— Czy uważa pan, że Łódź jest dyskryminowana?

— Tak to wygląda. Łódź jest zawsze w niechlubnej czołówce cen. Przykro to mówić, ale mało jest pozytywnych akcentów w tym wszystkim. Na swój użytek wymyśliłem takie powiedzonko, że z drukarni do księgarni książka musi przebyć długą drogę, na której grasuje mnóstwo zbójców. Na nic się zda spryt księgarza wobec odgórnych rozdzielników.

A wracając jeszcze do poprzedniego pytania — ludzie ograniczają zakupy, ale zaryzykuję stwierdzenie, że książki, na tle innych artykułów wciąż są tanie. Jeśli na przykład książka składająca się z 12 arkuszy kosztuje 2,5 tys. zł, to jak to się ma do ceny kostki masła?

— Jakie mody dają się zauważyć na książkowym rynku?

— Przede wszystkim jest moda związana z kreowaniem gwiazd literackich. Vide — Jerzy Kosiński. Jednym się podoba, inni wybrzydzają, ale wszyscy sięgną po jego nową książkę. Są grupy zainteresowane określonym autorem, bądź treścią, na przykład tematyka wojenna z akcentami polityki, intrygi. Takim warunkom idealnie odpowiada Ken Follet.

— Co sądzi pan o nowo powstających wydawnictwach, czy stanowią konkurencję dla już istniejących, jaki pożytek mają z nich państwowe księgarnie?

— Gdyby wydawnictwa prywatne nie dążyły wyłącznie do chałtury, która ma im dać wielkie pieniądze, to ich propozycje mogłyby być ciekawe. Ale nie tędy droga, na książce nie powinno się tak dużo zarabiać. Oni uprawiają rynkową partyzantkę, ich marża wynosi 15 proc., to niedopuszczalne. To nie cukier ani masło. Książka rządzi się swoimi prawami, wymaga zabiegów wokół niej, a to kosztuje. Chyba, że prosto z drukarni sprzeda się ją na ulicy. Na dłuższą metę jest to niemożliwe.

Wspomniałem modnego akurat teraz Kena Folleta. W kantorze wymiany walut przy ul. Stefana Jaracza sprzedają jego książkę, wydaną przez prywatnego edytora ukrywającego się pod nazwą „Amber". Nie ma jej natomiast w żadnej księgarni. Jestem zdania, że książka musi mieć swoją oprawę, być sprzedawana w scenerii odpowiedniej dla książki, nie na ulicy czy w przejściu podziemnym. Od dawna walczę z handlarzami, znam ich twarze, ale nie mam wielkich szans. Oni wcześniej ode mnie wiedzą o dostawie. Wychodzą ode mnie i zaraz pod „Centralem" sprzedają książki 3 razy drożej. I nie ma mocnych.

Ci uzdrowiciele księgarskiego rynku pchają pieniądze tylko do własnej kieszeni. A kto ma sprzedawać, nie takie przecież intratne, podręczniki? Gdzie jest fiskus? Doszło do tego, że bank daje państwowej księgarni kredyt na książkę tylko na 2 tygodnie sprzedaży, jeśli jej w tym czasie nie sprzedamy, musimy do niej dopłacać. Książka jako produkt myśli ludzkiej musi być inaczej sprzedawana niż artykuły spożywcze. Przykładowo — podręcznik — powinien być dostępny w sprzedaży przez cały rok.

— Na ile księgarnie są samodzielne i decydują o profilu swojej działalności?

— Wielkim nieszczęściem było powołanie monopolistycznego Domu Książki. Przydałoby się na rynku księgarskim trochę konkurencji, ale dobrze pojętej. Instytucji i ludzi, którzy wiedzą jak należy sprzedawać i przechowywać książki. Myśląc o dobrym księgarstwie, należy sobie przypomnieć jak było w latach 40-tych. Już w Polsce Ludowej, tu w Łodzi były księgarnie państwowe, spółdzielcze i prywatne. Teraz wymyśla się nowe sposoby uzdrowienia sytuacji, a moim zdaniem trzeba odtworzyć to, co było i sprawdziło się. Wtedy wydawca był związany z określoną księgarnią, wiedział jak poszczególne książki sprzedają się i kiedy dostarczyć nowe propozycje. Zawsze decydował zysk per saldo, prawie nie było administracji. A teraz — proszę zobaczyć, ile osób pracuje w administracji Domu Książki, a ile w księgarniach obsługuje klientów. Dopóki nie będziemy pracować na rzecz książki i czytelnika, to będzie źle. Gdyby księgarze nie sprzedawali książek, to administracja nie miałaby co robić.

— Brzmi to wszystko niezwykle ponuro. Jakie widzi pan rozwiązanie?

— Wyszło tak, że ciągle narzekamy. Żeby było nieco bardziej optymistycznie — uważam, że księgarzom trzeba pozwolić na samodzielność, a jednocześnie więcej od nich wymagać. Powinno być tylko kilku menedżerów koordynujących pracę, a reszta — do książki. W krajach dobrze prosperujących w biurach jest zatrudnionych tylko 10 proc. pracowników, reszta służy klientowi. Podróżuję po świecie i obserwuję, jak to wygląda w innych krajach. W Szwecji zostanie pani obsłużona w każdym popularnym języku, obsługa nie pilnuje książek, od tego jest aparatura.

Ludzie lubią grzebać w książkach, nie chcą ich oglądać za szybką. Na Zachodzie złodziei pilnują komputery, u nas człowiek, nie mamy żadnych warunków do samoobsługi. Niejako dla honoru firmy, w naszej księgarni prowadzimy gratisową informację o książkach. Choć kilka księgarni powinno być wyposażonych w komputery, z których czytelnik mógłby uzyskać wszystkie interesujące go informacje.

Do tej pory za granicę jeździli tylko urzędnicy, nie księgarze, widzieli wiele ciekawych rozwiązań, ale nie kwapili się z przenoszeniem ich na nasz grunt. Wiele moglibyśmy nauczyć się od naszych sąsiadów. W żadnym kraju nie czeka się na dostawę książek z hurtowni tyle, ile u nas. W NRD maksymalny termin wynosi 10 dni, u nas może to trwać nawet 3 miesiące.

— Jaki powinien być idealny księgarz? Młodsze pokolenia w człowieku za ladą widzą tylko podającego książkę i wypisującego paragony do kasy.

— Kiedy ja zaczynałem pracę, trzeba było już coś umieć, żeby móc stanąć za księgarską ladą. Nie papierek, ale konkretne umiejętności odgrywały główną rolę. W Łodzi istnieje specjalizacja księgarska w Liceum Ekonomicznym na Księżym Młynie. Większość absolwentów nie chce pracować w zawodzie, ci, co przychodzą do nas nie mają pojęcia o książkach. Znają tylko buchalterię, a i ta jest już przestarzała. Dotykamy tu problemu naszego szkolnictwa. Kiedyś, jeśli nie lubiło się czytać i nie umiało powiedzieć czegoś o książce, autorze, nie potrafiło się doradzić, nie było czego szukać w zawodzie księgarza. Dziś nie trzeba wymyślać nic nowego, wystarczy odkurzyć stare, sprawdzone rozwiązania, dodać nieco nowoczesnej techniki i pozwolić na samodzielność. To cała recepta na sukces naszego księgarstwa.

— Co roku tygodnik „Odgłosy" przyznaje swoją nagrodę osobie szczególnie zasłużonej dla łódzkiej kultury. Gdyby od pana zależał wybór, to kogo przedstawiłby pan do tego wyróżnienia? Czy jakiegoś człowieka książki?

— Nieco mnie pani zaskoczyła. Nie wiem, czy jestem upoważniony do wypowiadania się w tej kwestii, ale jeśli już, to chciałbym zaproponować jako kandydatów Janusza Karola Barańskiego i Jana Gerańczyka.

— Czy mógłby pan umotywować te propozycje, przybliżyć osoby pretendentów naszym czytelnikom?

— Janusz Karol Barański aktualnie prowadzi antykwariat „Nike" mieszczący się przy ul. Andrzeja Struga. Do 1981 roku był członkiem lokalnej elity władzy, ale za sympatie związkowe stracił posadę zastępcy naczelnika dzielnicy. Od 1982 roku jest antykwariuszem i choć brak mu księgarskiego wykształcenia, to ma zasady, którymi dzisiaj już mało kto się kieruje. Nigdy nie zarabia na podręcznikach akademickich, sprzedaje je po cenach dostępnych dla kieszeni studenta. Podczas, gdy wszyscy gonią za pieniędzmi, on dał się poznać jako nieprzeciętny społecznik. Zajmuje się sprawami zupełnie nie związanymi z handlem. W jego antykwariacie gości Towarzystwo Tatrzańskie, bezinteresownie informuje w swojej witrynie o spotkaniach autorskich organizowanych w innych placówkach. Własnym sumptem wydaje grafiki i ładne druki okolicznościowe. W jego antykwariacie dobrze czuje się i wytrawny bibliofil, i przypadkowy klient. Uważam, że takiego człowieka należy wspomagać i szanować, stąd moja propozycja.

Drugim moim kandydatem jest Jan Gerańczyk. Dziś jest emerytem, ale Łódź wiele mu zawdzięcza i winna mu jest pamięć. Pan Jan był wieloletnim kierownikiem znanej księgarni „Pegaz", przeżywającej za jego kadencji okres świetności. W czasie wojny troskliwie przechowywał książki, które zaczął sprzedawać łodzianom zaraz po wyzwoleniu. Wielu moich klientów dobrze go pamięta i wzdycha, że to już nie ten sam „Pegaz". Należę do księgarzy starszego pokolenia i uznaję pana Jana za wzór i ogromny autorytet. Posiada on uniwersalną wiedzę, rzadko kto wie tyle na temat książek, co Jan Gerańczyk. Cały łódzki światek kulturalny miał do niego zaufanie, można było u niego spotkać i aktorów, i profesorów różnych nauk, którzy polegali na jego guście i dziś z łezką w oku go wspominają.

— Pięknie dziękuję za rozmowę i propozycje kandydatów do nagrody „Odgłosów".

Rozmawiała:
MONIKA MATUSZAK

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

STAN ZDROWIA ZALEŻY OD STYLU ŻYCIA

Jeszcze w początkach lat siedemdziesiątych obowiązywała u nas — a także w innych krajach europejskich zasada, która wiązała poprawę stanu zdrowia ludności z ogólnym rozwojem społeczno-ekonomicznym społeczeństwa. W planowaniu rozwoju opieki zdrowotnej oznaczało to bardzo zawężone (ilościowe) spojrzenie na całokształt tej problematyki. Miarą rozwoju służby zdrowia były więc rosnące liczby wykwalifikowanych kadr medycznych, oddawanych do użytku łóżek szpitalnych, nowych ośrodków zdrowia i gabinetów czy też udzielanych świadczeń zdrowotnych. Pomijano przy tym jakość świadczeń, ich skuteczność, ocenę stanu zdrowia ludności oraz szersze społeczne uwarunkowania zdrowotne.

Zapobieganie chorobom ograniczało się przede wszystkim do schorzeń zakaźnych poprzez stosowanie takich metod, jak szczepienia ochronne, izolowanie chorych, stosowanie kwarantanny w stosunku do osób kontaktujących się z chorymi na niektóre groźniejsze choroby, dezynfekowanie pomieszczeń itp. W tym okresie postępy w naukach i praktyce medycznej następowały bardzo szybko. Były one przy tym znacznie większe w dziedzinie nowych metod diagnostycznych niż w sferze skuteczności terapeutycznej. Przyjęty kierunek rozwoju opieki zdrowotnej był związany z dużymi i stale rosnącymi kosztami. Zapewnienie tego rodzaju świadczeń zdrowotnych całemu społeczeństwu zaczęło z czasem przerastać możliwości ekonomiczne nie tylko Polski, a nawet państw wysoko rozwiniętych.

W Polsce na przykład jedna operacja serca w 1987 r. kosztowała ponad milion złotych, podczas gdy nakłady na ochronę zdrowia i opiekę społeczną wynosiły 17.133 zł rocznie na jednego mieszkańca. W tym samym roku na 20 tysięcy osób zakwalifikowanych do operacji w krążeniu pozaustrojowym zabiegi wykonano zaledwie u 3 tysięcy osób; na 12 tysięcy osób zakwalifikowaych do zabiegu „by pass" wykonano go u 2 tysięcy osób; na 8 tysięcy osób zakwalifikowanych do wszczepienia rozrusznika, wszczepiono go u 3.200 osób. Duże braki zaobserwowano również w dziedzinie wyposażenia szpitali w sztuczne nerki.

Według danych z 1985 r. 3 tysiące osób oczekiwało w kolejce do leczenia hemodializami. Skuteczność leczenia tą metodą wynosiła u nas około 65 procent, podczas gdy w krajach zachodniej Europy sięgała 90 procent. Do dziś schorzenia nerek powodują w Polsce corocznie zgon 150—180 osób na każdy milion mieszkańców. Dializowaniu podlegają u nas 42 osoby na milion, podczas gdy analogiczna średnia europejska wynosi 200 osób.

W Polsce osiągnięto rezultaty równie niezadowalające, zaś miasto Łódź wyróżniało się znacznie gorszym stanem zdrowia ludności od przeciętnego w kraju. Wskaźniki zgonów z powodu głównych przyczyn, tj. chorób układu krążenia, nowotworów, wypadków i urazów wykazywały tendencję wzrostową i należały do jednych z najwyższych w Polsce. Co jest tego przyczyną?

Otóż okazało się, że strategia medycyny naprawczej stosowana przez służbę zdrowia z reguły dopiero w okresie pełnego rozwoju choroby, a często w jej końcowej fazie — jest nie tylko bardzo kosztowna, ale również często spóźniona i z tego powodu mało skuteczna. Fascynacja nowinkami naukowymi i technicznymi przy prawie całkowitym zaniedbaniu promocji zdrowia i zapobiegania chorobom niezakaźnym musi prowadzić do takich właśnie a nie innych efektów.

W naszych szkołach 25 procent młodzieży w wieku do 12 lat pali już papierosy. Natomiast w Szwecji w latach od 1971 do 1980 odsetek palaczy tytoniu wśród chłopców w wieku 13 lat wynoszący 14 procent zmniejszył się do 5 procent, zaś wśród dziewczynek z 16 procent do 6 procent. W Polsce wśród dorosłych mężczyzn odsetek palaczy waha się w granicach od 40 do 60 proc., tymczasem w krajach skandynawskich w 1985 r. uzyskano obniżenie go do 30 procent. Poza tym wśród naszego społeczeństwa obserwuje się tak niekorzystne zjawiska, jak nieracjonalne odżywianie, powszechne zaniedbanie kultury fizycznej i znaczne rozpowszechnienie używania alkoholu.

Walne Zgromadzenie Światowej Organizacji Zdrowia w 1977 r. postanowiło, że głównym celem społecznym rządów państw zrzeszonych w tej organizacji oraz samej organizacji będzie zapewnienie wszystkim ludziom na świecie do 2000 roku takiego poziomu zdrowia, który pozwoli im prowadzić w pełni aktywne życie.

W Polsce specjalna rządowa komisja przygotowała opracowanie pt. „Cele i zadania polskiego programu zdrowie dla wszystkich w roku 2000", w którym nakreślono siedem głównych kierunków działań, zmierzających do poprawy stanu zdrowia ludności i głównie poprzez zwalczanie chorób niezakaźnych. Choroby niezakaźne, włączając w to choroby układu krążenia, nowotwory, cukrzycę, zaburzenia psychiczne są bowiem jedną z głównych przyczyn złego stanu zdrowia ludności oraz znacznej liczby zgonów w Polsce. Globalna strategia akcji „Zdrowie dla wszystkich do roku 2000" oznacza przestawienie się z opieki i leczenia na aktywne zapobieganie chorobom i promocję działań zdrowotnych a jej celem nadrzędnym jest obniżenie ogólnej liczby zachorowań, przypadków inwalidztwa i przedwczesnych zgonów

Ponieważ wiele chorób niezakaźnych występuje powszechnie, musi być powodowanych przez te same lub podobne czynniki. Stąd też wszelkie akcje prewencyjne należy podejmować wyłącznie przeciw nim wszystkim. Tylko identyfikacja powszechnie występujących czynników zagrożenia i zapobieganie im systemem zintegrowanych działań, wspieranych przez całe społeczeństwo — mogą zapewnić skuteczną kontrolę nad chorobami niezakaźnymi. Wiadomo już, iż ogólnym celem zintegrowanej profilaktyki chorób niezakaźnych powinno być jednoczesne zwalczanie tak rozpowszechnionych czynników zagrożenia, jak palenie tytoniu, nieprawidłowe żywienie, nadużywanie alkoholu brak aktywności fizycznej, stres psychiczny.

Oto dwa przykłady uzasadniające włączenie niektórych chorób niezakaźnych do programu zintegrowanej profilaktyki:

1 Choroby układu krążenia są główną przyczyną zgonów i ważnym czynnikiem powodującym inwalidztwo. Od 60 lat obserwuje się stały wzrost ich występowania — mimo że liczba zgonów z powodu udarów mózgu i choroby reumatycznej serca obniżyła się w ciągu minionych dziesięcioleci.

W roku 1981 Komisja Ekspertów WHO do spraw zapobiegania chorobie wieńcowej była zdania, że podstawowym czynnikiem determinującym to schorzenie jest nieprawidłowe żywienie w skali całych społeczeństw, połączone z brakiem aktywności fizycznej i nadwagą. Obecna wiedza medyczna wskazuje jednak, że warunki środowiskowe i zachowania człowieka związane z jego aktywnością są także czynnikami wysokiego zagrożenia w chorobach układu krążenia.

W ostatnich latach w kilku krajach zaobserwowano bardzo znaczny spadek umieralności z powodu choroby wieńcowej i — co istotne — na ogół temu zjawisku nie towarzyszył wzrost liczby zgonów z innych przyczyn w tych samych grupach wiekowych. Dziesięcioletni okres obserwacji w Północnej Karelii pokazał, że zapobieganie chorobom układu krążenia w rzeczywistości wiąże się z przedłużeniem długości życia i przynosi ogólne korzyści zarówno jednostkom, jak i społeczeństwom.

2. Nowotwory są drugą z kolei przyczyną zgonów zarówno w Europie, jak i w Polsce. Zwalczanie chorób nowotworowych to podejmowanie całej serii działań interdyscyplinarnych oraz interwencji opartych na całej obecnej wiedzy. Sprowadza się to do dwóch rodzajów działań:

a) pierwotne zapobieganie i badania przesiewowe,
b) diagnostyka, leczenie i stały nadzór.

Przyczyną największej liczby zgonów jest rak płuc. Większość przypadków tego nowotworu jest spowodowana paleniem tytoniu, zwłaszcza papierosów (palenie ma także związek z takimi postaciami nowotworu jak rak jamy ustnej i rak pęcherza moczowego).

Następnym najczęściej występującym nowotworem w tym regionie Europy jest rak żołądka, a za nim rak jelit i piersi. Istnieją dowody statystyczne na potwierdzenie zależności między sposobem żywienia a tymi formami nowotworu. Nadmierne spożywanie alkoholu ma związek z powstawaniem nowotworów górnych dróg oddechowych i górnej części układu pokarmowego. Zgromadzone dane wskazują, że sposoby żywienia i stylu życia mogą w zasadniczy sposób zmienić zagrożenie zachorowaniem na nowotwór.

Dobre efekty zdrowotne można osiągnąć ograniczając pewne czynniki narażenia zawodowego, na przykład eliminując zapylenie azbestem czy zanieczyszczenia przemysłowe powietrza. Zaleca się też zmniejszyć ilość prześwietleń rtg dla celów medycznych i stosowania pewnych leków, a także zmniejszyć indywidualną ekspozycję na światło słoneczne. Ale pierwszym i najważniejszym sposobem zapobiegania nowotworom i innym chorobom przewlekłym jest ograniczenie palenia tytoniu.

Zintegrowane zapobieganie chorobom niezakaźnym obejmuje działania w dwóch podstawowych płaszczyznach:

1) umacnianie zdrowia i pierwotne zapobieganie czynnikom zagrożenia,

2) wtórne zapobieganie, obejmujące eliminację i neutralizację występujących czynników zagrożenia oraz wczesne leczenie.

Pierwsza płaszczyzna zintegrowanej działalności zapobiegawczej polega na stosowaniu różnego rodzaju form oddziaływania propagandowego, oświatowego i organizacyjnego na młodzież i ludność dorosłą w celu uświadomienia im szkodliwego wpływu na zdrowie takich czynników, jak palenie tytoniu, używanie alkoholu, nieprawidłowe odżywianie, niska aktywność fizyczna.

Druga płaszczyzna tej działalności polega no prowadzeniu masowych badań przeglądowych prowadzonych przez lekarzy rejonowych i pielęgniarki w kierunku wykrywania czynników zagrożenia przewlekłymi chorobami niezakaźnymi. Osoby, u których ustali się występowanie czynników zagrożenia, powinny być obejmowane wczesnym postępowaniem lekarskim. Równocześnie z wykrywaniem czynników zagrożenia u tych osób w trakcie masowych przeglądów winno się dążyć do wczesnego rozpoznawania ukrytych objawów chorobowych i obejmowania ich wczesnym leczeniem.

WŁODZIMIERZ SAPIŃSKI

WRÓĆMY DO KORZENI!

Biblioteka nasza istnieje siedemdziesiąt dwa lata. Gmach, w którym obecnie znajduje się jej siedziba powstał dzięki inicjatywom społecznym mieszkańców Łodzi. Jego dzieje datują się od 1935 roku, kiedy to Zarząd Związku Przemysłu Włókienniczego postanowił przekazać pół miliona złotych na budowę biblioteki publicznej w Łodzi dla uczczenia pamięci Józefa Piłsudskiego.

Jesienią 1935 roku powołany został do życia Komitet Budowy Biblioteki im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, którego przewodnictwo objął senator Aleksander Heiman—Jarecki. Zarząd Miejski m. Łodzi ofiarował plac pod budowę Biblioteki. W 1937 roku rozstrzygnięty został konkurs, w wyniku którego Komitet Budowy wybrał projekt inżyniera Jerzego Wierzbickiego i jemu powierzył kierownictwo budowy gmachu.

14 maja 1938 roku odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę **Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.**

Budowę gmachu Biblioteki przerwał wybuch II wojny światowej. Niestety, po wojnie nie chciano pamiętać o woli społeczeństwa Łodzi sprzed kilku lat. Oddany do użytku w 1949 r. gmach otrzymał innego Patrona.

Dziś naszym obowiązkiem jest przywrócenie ciągłości historycznej przerwanej przed 40 laty. Niezbędne też jest pełne uznanie zasług ludzi, którzy poświęcili Bibliotece swój czas i fundusze — poświęcali je wszak jednej z najważniejszych placówek kulturalnych naszego miasta. Powinniśmy o nich pamiętać przywracając Bibliotece imię jej przedwojennego Patrona — Wielkiego Polaka, twórcy niepodległej Polski, związanego swą działalnością z Łodzią. Taka była wola tych, którzy w latach trzydziestych ją budowali!

Zwracamy się z apelem do Władz naszego miasta o przywrócenie naszej Bibliotece imienia Józefa Piłsudskiego. Wszystkich pracowników i czytelników prosimy o poparcie naszych starań.

Podpisy można składać w Miejskiej Bibliotece Publicznej ul. Gdańska 102 (parter, pokój 21)

Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" przy MBP w Łodzi

Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" przy MBP im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi poruszyła trudną i skomplikowaną sprawę — powszechne dążenie do zmieniania nazw. W ogóle obserwuję w naszym życiu politycznym gwałtowny nawrót do metod stosowanych przez stalinowców, tylko z innych pozycji. Oni też wszystko zmieniali, przywracając ciągłość historyczną. O szkodliwości takiego postępowania powiedziano już wszystko, ale widać jeszcze za mało, aby ludzie mogli wyciągnąć z tego właściwe wnioski. Teraz wielu chce gwałtownie przekreślić minione 45 lat i powrócić do dalekiej przeszłości. Jest to operacja równie niebezpieczna, jak ta sprzed 45 i następnych lat. Jest to bowiem operacja przerywania ciągłości historii, a tego robić pod żadnym pozorem nie wolno.

Rozumiem jednak racje członków Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" przy MBP im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi, którym jakoś imię ich patrona nie chce przejść przez maszynę do pisania i wolą udawać, że tego imienia nie ma. Ale ono jest faktem. Natomiast MBP w Łodzi nigdy nie nosiła imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego. Był tylko taki zamiar i tylko położono kamień węgielny pod taką bibliotekę. To też są fakty. I — zgadzam się — że ich nie wolno negować, zapomnieć o nich, pominąć. Ale to są tylko takie fakty, a nie inne.

Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" przy MBP im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi prosi o poparcie. Publikujemy ich prośbę i zachęcamy do wyrażenia swej opinii. Ale nie mogę w tej sytuacji nie wyrazić swego zdania. Otóż uważam, że należałoby znaleźć wyjście kompromisowe. Uszanować fakty, nie wykreślając żadnego z nich z dziejów biblioteki. Gdyby zapytano mnie o radę, to powiedziałbym, żeby zachować stan obecny MBP w Łodzi, ale jednocześnie wmurować w widocznym miejscu tablicę pamiątkową, która by informowała, że biblioteka była budowana jako MBP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, ale tak się nie stało, bo była wojna i później narzucono jej obecną nazwę. Byłoby to powrócenie do korzeni, ale bez szkodliwego przerywania historii. Ani Ludwika Waryńskiego nie da się wykreślić z historii Polski, ani tej nazwy z historii MBP w Łodzi. Po co mnożyć byty ponad potrzebę?

MBP im. Ludwika Waryńskiego znajduje się w bardzo trudnej sytuacji lokalowej i myślę, że byłoby z pożytkiem dla biblioteki i kultury w Łodzi — i nie tylko w Łodzi — gdyby Zakładowa Komisja NSZZ „Solidarność" przy MBP skoncentrowała swoją energię, pomysłowość i doświadczenie do działania o poprawę bytu biblioteki. A tak wiele szumu koło zmiany nazwy można potraktować jako działanie zastępcze i pozorne. W walce o byt biblioteki zawsze można liczyć na „Odgłosy".

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DWIE SPRAWY

Chciałbym poruszyć dwie sprawy:

1) Po jakie licho teraz, w czasie takiego kryzysu, dyskutować o tym, czy orzeł musi mieć koronę? Zresztą dyskutować można, tylko jeśli Sejm zatwierdzi tę zmianę godła i nazwę państwa, to chyba można z wykonaniem poczekać kilka lat. Jak by na to nie patrzeć, potrzeba nam w tej chwili wielu innych rzeczy, niż zmiany godła. Ile to będzie kosztować Skarb Państwa? O guzikach żołnierskich, kolejarskich i innych ledwo wspomnę. A gdzie pieczątki, legitymacje, dowody osobiste, paszporty i inne?

2) Dotyczy zmian terytorialnych woj. m. łódzkiego. Jestem mieszkańcem Tuszyna. Chyba nie przesadzę, że 90 proc. ludności zamieszkującej gminę Tuszyn, jeśli nie pracuje na miejscu, to na pewno w Łodzi. Wystarczy spojrzeć na przystanek autobusowy w Tuszynie o godz. 6 rano. Odjeżdżają 2 autobusy. Jeden do Łodzi, drugi do Piotrkowa. W ten drugi wsiadają 3 lub 4 osoby, a do Łodzi masami, kierowca nie może drzwi zamknąć (autobus przegubowy).

To samo można powiedzieć o rolnikach. Po nawozy, materiały budowlane jeżdżą do Rzgowa, Ksawerowa, Janowa. Tuszyn od kilkudziesięciu lat związany był z Łodzią (tramwaj) i podział w 1975 od samego początku wydawał mi się (i nie tylko mnie) nie przemyślany do końca. Jeśli teraz przeprowadzano by coś na wzór referendum wśród mieszkańców gminy Tuszyn, jest prawie pewne, że wszyscy pragnęliby mieszkać w woj. łódzkim.

JAROSŁAW S.

OPŁATA ZA SZOPĘ

Listonosze ostatnio roznoszą blankiety opłat za posiadanie dodatkowych komórek. A że właścicielami są przeważnie renciści więc w największym stopniu ich to dotyczy. Są to komórki wybudowane własnym staraniem, najczęściej kilka—kilkadziesiąt lat temu, przy domach bez żadnych wygód. Te komórki służyły i służą im do różnych celów: trzymania drewna, różnych narzędzi itd. W końcu wiadomo do czego służy komórka w domach i mieszkaniach tylko ze światłem.

Faktem jest, że państwo daje jedną komórkę 1X2 m na węgiel, ale ten kto w takich domach mieszka, ten wie, jak to jest mało (ale wszak decydenci tam nie mieszkają). Do tej pory opłaty za te komórki były różne, ale zawsze wahały się w granicach komornego na mieszkanie. Chcę nadmienić, że budowane one były bez oficjalnych planów, zezwoleń itd. Ale wydaje się, że skoro państwo pobierało za nie przez całe życie opłaty, to chyba zezwoliło je użytkować. Oczywiście nie dano nigdy na nie choćby 1 deski, gwoździa czy papy. Aż przyszedł rok 1989 i nowe opłaty. Wszystko byłoby w porządku gdyby nie wysokość tych opłat — otóż przewyższają one 10-krotnie opłaty za komorne za mieszkanie.

Są nawet większe od opłat za komorne w blokach. Jest to kwota 700 zł (siedemset) za 1 m kw. (za mieszkanie: 700 zł — ale za całe) tak więc daje to dość pokaźne sumy. Jak ten, który ustanowił ten przepis spojrzałby w oczy starej kobiecie, która całe życie uczciwie pracowała dla Ojczyzny, a teraz na starość ma po prostu zwykłą (lecz dodatkową) komórkę, za którą każe jej się płacić 1/4 renty.

Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz: te owe 700 zł za 1 m kw., to okazuje się nie jest za komórkę a za „szopę". Więc co zrobiono? — przemianowano komórki na szopy i to z prostej przyczyny, ponieważ za komórkę jest 70 zł (siedemdziesiąt) za 1 m kw., a nie 700 zł.

Piszę w imieniu mojej matki — rencistki posiadaczki szopy—komórki, na ul. Liściastej w Łodzi. Nie chodzi o to, aby nie płacić, lecz o trochę logiki!

A.D.

ZA BŁĄD PRZEPRASZAM

Do reportażu „Remis ze wskazaniem" opublikowanego w „Odgłosach" z 5 listopada 1989 roku zakradł się błąd.

W jednym z końcowych zdań „wypadło" słowo „Solidarność" przez co zdanie straciło sens: **„W ŁZPB jest podobnie — wskazanie na OPZZ, które w wyniku wyciszania niebezpiecznej erupcji ludzkiego niezadowolenia, niekorzystnego dla rządu Tadeusza Mazowieckiego, nie tylko nie zyskuje nowych zwolenników, ale — jakby czasami — traciła to, co do tej pory zyskała".**

Zdanie powinno brzmieć: **„W ŁZPB jest podobnie — wskazanie na OPZZ, które w wyniku wyciszania przez „Solidarność" niebezpiecznej erupcji ludzkiego niezadowolenia, niekorzystnego dla rządu Tadeusza Mazowieckiego, nie tylko nie zyskuje nowych zwolenników, ale — jakby czasami — traciła to, co do tej pory zyskała".**

Za zaistniały błąd wszystkich zainteresowanych bardzo przepraszam!

LUBOMIR NOSKOWSKI

NIE TEN ZENON KACZMAREK

Andrzej Karol w swoim felietonie na łamach „Odgłosów" (nr 44) zupełnie przypadkowo wymienił nazwisko Zenona Kaczmarka. Wszystkim zainteresowanym wyjaśniamy, że autor nie miał na myśli przewodniczącego Samorządu Mieszkańców na Teofilowie (Komitet Osiedlowy nr 15), którego zresztą nawet nie zna. Był to czysty **przypadek.**

Pan Zenon Kaczmarek poinformował nas, że jest bezpartyjnym działaczem społecznym i nie zamierza zakładać żadnej partii politycznej.

Przepraszamy więc za niefortunny zbieg okoliczności.

REDAKCJA

EMA-SERWIS

PRZEDSIĘBIORSTWO TECHNICZNO HANDLOWE
Spółka z o.o.
ŁÓDŹ ul. Narutowicza 59
90-132 Łódź, tel. 78-43-44 tex 886743 wzrk pl

UWAGA SŁUŻBY PRZECIWPOŻAROWE
do Waszej dyspozycji

obsługa serwisowa urządzeń p.poż.

- **projekty techniczne — montaż — remonty — konserwacje**
- **instalacje sygnalizacji alarmu pożaru (SAP),**
- **stałe urządzenia gaśnicze wodne — instalacje tryskaczowe,**
- **instalacje piorunochronne,**
- **pomiary dozymetryczne wraz z inwentaryzacją izotopowych czujek dymu,**
- **pomiary elektryczne, piorunochronne, natężenia oświetlenia,**
- **inne instalacje przeciwpożarowe.**

Wydajemy świadectwa sprawności technicznej urządzeń SAP i tryskaczy, uprawniające do obniżki składek ubezpieczeniowych w PZU i SZU WESTA. 3713/K

szybko·solidnie·tanio

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE „AUSTROTEX"

Z A T R U D N I

na bardzo korzystnych warunkach finansowych

◄ SZWACZKI ►

Praca jednozmianowa. Nowoczesne maszyny produkcji zachodniej.
Zgłoszenia osobiste, Łódź, ul. Przędzalniana 20. 6935/K

„ODGŁOSACH" ogłaszaj się w

OGŁOSZENIA DROBNE

LOKALE

MAŁŻEŃSTWO nauczycielskie poszukuje mieszkania. 74-98-74. 57935-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

ETERNIT kupię, 33-93-36, 51-23-21. 57515-g

SPRZEDAM ZX — Spectrum plus 3 (stacja dysków), gwarancja, 55-39-23. 57438-g

VIDEOTON sprzedam, 57-73-50. 57967-g

CIŚNIENIOMIERZ komputerowy, japoński sprzedam. 57-73-50 57968-g

EFEKTOWNE kurtki z lisów pustynnych sprzedam, 57-23-33. 57969-g

SCIĄGACZ bawełniany — sprzedam. 74-80-40. 9968-g

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ, zakres szkoły podstawowej, średniej, przygotowania do egzaminów, języków obcych, wtorek, środa, czwartek 10.00—13.00, 32-59-65. 6659-k

MYCIE okien, 55-53-15, Budzisz. 56395-g

ZE SLAJDÓW — odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „STUDIUM", Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). 55108-g

FLOKOWANIE (rajstopy) Okólna 230 57-30-25, 55-41-89 po 19. 58240-g

? ZGUBY

SŁAWOMIR Orpel zgubił legitymację studencką 62159 PŁ. 58108-g

LESZEK Margas zgubił legitymację studencką 62303 PŁ. 58100-g

KRZYSZTOF Urbankowski zgubił legitymację studencką 1992 AM. 58237-g

MARIAN Przybylak zgubił leg. studencką 61296/M PŁ. 58061-g

MAŁGORZATA Zieleniewska zgubiła legit. studencką 313/A AM. 57217-g

BEATA Rajkowska zgubiła legitymację studencką 16914L AM. 57222-g

KAMILA Skrętkowicz zgubiła legit. studencką 16934/L AM. 57194-g

UNIEWAŻNIAM pieczątkę „341 Ewa Kujawa lekarz dentysta Łódź, ul. Piotrkowska 4 m. 12". 57215-g

GRZEGORZ Piestrzeniewicz zgubił legit. studencką W-2/60445 PŁ. 57218-g

JOANNA Bomanowska zgubiła leg. studencką 64067 PŁ. 57649-g

MARIA Krzysztofiak zgubiła legitymację studencką 16664/L AM. 57679-g

IWONA Pietrasiak zgubiła leg. studencką 63907/S UŁ. 57665-g

JACEK Zemła zgubił legit. studencką 65065/S UŁ. 57896-g

ROBERT Sadziński zgubił leg. studencką 60050/PŁ. 57831-g

ADAM Rzeczycki zgubił indeks 60764 PŁ. 57973-g

ZAGUBIONO zezwolenie na usługi oraz pieczątkę „Czarkowski, Majewski flokowanie Piątowcowa 12, 78-66-04". 58226-g

Coś z życia

Rys. Dariusz Pietrzak

◄ PIECZĄTKI ►

w ciągu dnia (Express)
lub
tygodnia (normalnie)
zamówisz w Firmie

„TAGAR"
ŁÓDŹ, ul. KILIŃSKIEGO 59/63
(HOTEL CENTRUM)
pokój 1311.
55340-g

AKADEMICKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „P U C H A T E K"

informuje swych sympatyków i zainteresowanych, iż w swojej strukturze organizacyjnej

U T W O R Z Y Ł A

ZAKŁAD USŁUG POLIGRAFICZNYCH

mieszczący się przy

ul. Armii Ludowej 25, tel. 32-91-74, w. 96

polecając swoje usługi:

- **pełna przygotowalnia na maszyny offsetowe typu „Romayor",**
- **druk wszelkiego rodzaju druków akcydensowych, etykiet, skryptów,**
- **skład na maszyny typo.**

Usługę wykonujemy na surowcu własnym i powierzonym — karton, papier oraz na papierach samoprzylepnych. Ceny konkurencyjne — umowne.
ZAPRASZAMY DO SKORZYSTANIA Z NASZYCH USŁUG. 3483-k

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

16 listopada — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

23 listopada — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 9 LISTOPADA 1989 ROKU.

Coraz częściej nasi Czytelnicy w telefonicznych rozmowach podejmują sprawy dotyczące działań na rzecz społeczeństwa i kraju. Uważają bowiem, że wielki czas, by od słów przejść do czynów. Oto pan **Jerzy Libich** od jakiegoś czasu stara się rozpropagować akcję pomocy dla Ojczyzny poprzez zorganizowanie w tym celu jakiejś jednolitej organizacji? związku? może innej formy? wśród młodzieży szkolnej tej nie zrzeszonej i tej z ZHP. Ponieważ sam nie jest w stanie tego uczynić, zatelefonował do kuratorium prosząc o poparcie ale nie znalazł zainteresowania.

— Co mam robić? — pyta redakcję, pan **Jerzy Libich.** — W jaki sposób skierować energię młodzieży w stronę pracy na rzecz społeczeństwa i w ten sposób odciągnąć od działań nieprzemyślanych, a nieraz wręcz szkodliwych?

Pani **Barbara Juraszus** z **Bełchatowa** z kolei przedstawiła sprawę nagonki, jaką prowadzi była kierowniczka sklepu **PHS w Bełchatowie**, którą zwolniono na wniosek załogi wskutek votum nieufności. Otóż dyrekcja **PHS w Piotrkowie Trybunalskim** zwolnioną kierowniczkę mianowała... kontrolerem tegoż sklepu PHS. Pani **Barbara Juraszus** twierdzi, że obecnie jest tam istne piekło: takich walk podjazdowych, takiej „rozróby" jeszcze nie widziała. Bardzo zatem prosi o interwencję naszej redakcji. Pojedziemy. Sprawdzimy. Opiszemy.

Towarzysz sztuki drukarskiej **Cezary Erdman** 2 sierpnia 1989 r. odwiózł matkę do szpitala. Lekarze zapewnili go, że leczenie potrwa dwa — trzy tygodnie. Niestety, pomylili się. Leczenie trwa nadal. Ale przez te wszystkie miesiące pan **Cezary Erdman** nie odbierał renty swojej matki, gdyż nie posiadał upoważnienia. A gdy takowe otrzymał, okazało się, że o należnych pieniądzach (za trzy miesiące) nie wie ani **Urząd Pocztowy nr 30 przy ul. Nowotki 113, ani ZUS.** Wpierw urząd pocztowy odesłał go do ZUS, twierdząc, że właśnie tam są teraz pieniądze, a ZUS, gdy się zjawił, zarzekł się, że renta jest w urzędzie pocztowym. Pan **Cezary Erdman** kilkakrotnie przemierzył drogę pomiędzy pocztą a ZUS i z powrotem. Niestety, **pieniędzy nigdzie nie ma.** A tu lada dzień matka może opuścić szpital. Co wtedy? Może by wobec tego ZUS oraz urząd pocztowy nr 30 odpowiedzieli nam, gdzie są pieniądze pani Erdman?

Pani **Zofia Zatorska** pyta za naszym pośrednictwem dyrekcję **Ogrodu Botanicznego w Łodzi,** dlaczego ogród zamknięto przed emerytami i rencistami, którzy przychodzili do niego nie tylko odpoczywać, ale i spacerować?

Pan **Włodzimierz Matykiewicz** jest zbulwersowany faktem niszczenia środowiska naturalnego. Jako przykład podał działalność grzybiarzy, którzy nie bacząc na wyrządzane szkody, przychodzą do lasu z grabiami, przy pomocy których rozgrzebują ściółkę w poszukiwaniu grzybów. Jednakże nie pamiętają o tym, że w ten sposób na zawsze niszczą grzybnie i w tym miejscu żaden grzyb nigdy już nie wyrośnie. Pan W. M. pyta, czy teraz w szkołach nie uczą miłości do przyrody?

Pan **H. M.** (dane personalne do wiad. red.) poinformował, że w **Bełchatowie** był ryneczek na Osiedlu Dolnośląska. Ale jednego dnia zieleniak został zlikwidowany i w to miejsce zaczęto wznosić butiki. Pan H. M. pyta dlaczego? Czyżby 20-tysięczne osiedle bardziej pragnęło kiecek i dżinsów niż marchwi, cebuli i kartofli? My także jesteśmy tego ciekawi, więc może uzyskamy odpowiedź z **Urzędu Miasta Bełchatowa.**

Pan **Jerzy Kowalczyk** z ul. Soleckiej 5 poinformował, że na przystanku autobusowym linii 83 od kilku miesięcy leżą 4 słupy trakcji ulicznej, które utrudniają wsiadanie do autobusów i mogą być powodem nieszczęśliwego wypadku. — Kto ma je usunąć? — pyta pan J. K. My też chcielibyśmy wiedzieć, który to bałaganiarz pozostawił po sobie tego typu pamiątkę.

EUGENIUSZ IWANICKI

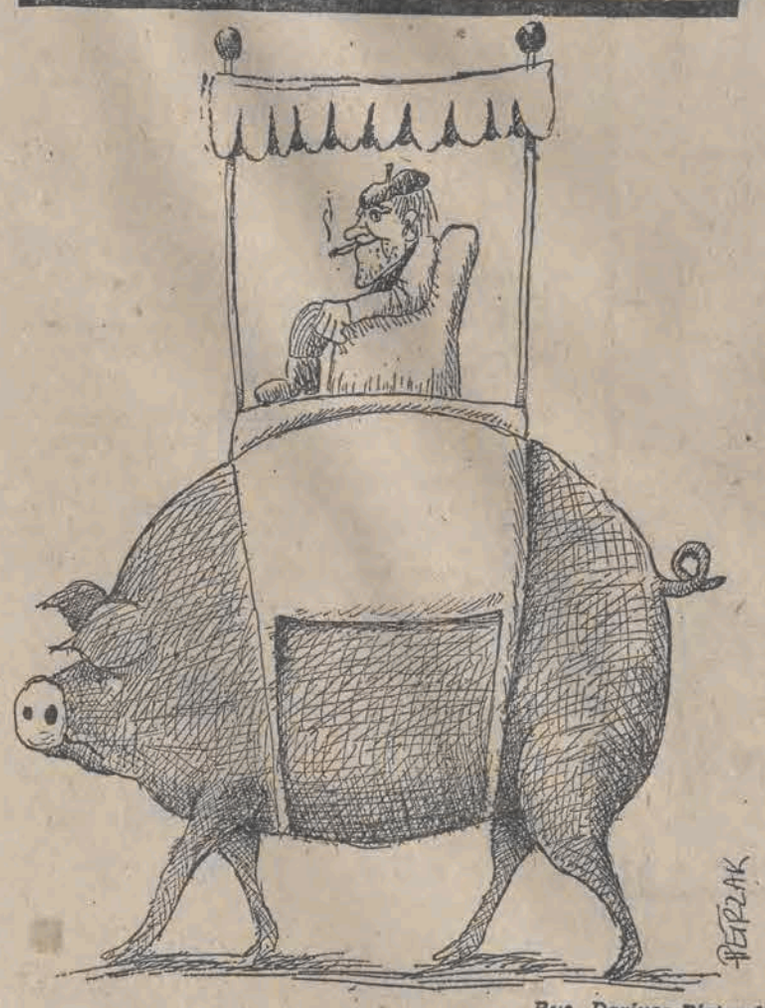

Rys. Dariusz Pietrzak

1 Miasto

„Już wówczas miasto nasze popadło coraz bardziej w chroniczną szarość zmierzchu, porastało na krawędziach liszajem cienia, puszystą pleśnią i mchem koloru żelaza".

Miasto właściwie od zawsze przez stolicę i inne ośrodki traktowane było jak owe Abdery w starożytności. To znaczy, że mieszkańcy grodu mimo jego rozmiarów i tego, że urodziło się tutaj kilku znanych ludzi (ale i w Abderach urodził się przecież Demokryt i Protagoras) uważani byli za wielce ograniczonych prowincjuszy i z góry wszyscy zakładali, że nic wielkiego dziać tu się nie mogło. Nie miało też miasto właściwie nigdy szczęścia do władzy, a bliskość stolicy powodowała, że podchodzono do niego po macoszemu, wyłuskując tylko co bardziej znaczące jednostki. Któryś z wielkich pisarzy nazwał je w jednej ze swoich książek filią stolicy i trzeba obiektywnie powiedzieć, że w tym określeniu było dużo prawdy.

Podupadał więc gród z roku na rok. Z zabytkowych kamieniczek odrywały się płaty tynku, które cicho rozbijały się pod nogami przechodniów. Pół biedy, jeśli to był tylko tynk, gorzej, że dość często zdarzały się i cegły, a wtedy trzeba było uważać. Kiepsko trzymały się również stare zabytkowe balkony. Odtrącali je więc sami ludzie, by zapobiec ewentualnemu wypadkowi. Wąskie ulice centrum były brudne i jakby nigdy nie wietrzone. Każdy powiew wiatru gubił się chyba tutaj i po jakimś czasie nie było już mowy o wydostaniu się na pola poza murami. Podczas letnich upałów z wąskich bram wydobywał się smród śmieci pomieszany z kwaśnym zapachem wilgoci, która rozpostarła się pośród murów, dokąd właściwie nigdy nie docierały promienie słoneczne. W śródmieściu nie było również prawie wcale zieleni, a te niewielkie enklawy, które jeszcze pozostały przypominały mocno pokiereszowane ostatnie bastiony jakiejś pokonanej już armii broniącej się nie wiadomo właściwie dlaczego. Wszystko tu zresztą było najgorsze i najdroższe. A po zmroku miasto było źle oświetlone i nawet na głównej ulicy kręciły się bandy wyrostków, którym lepiej było nie wchodzić w drogę.

Ludzie mieszkający tutaj przyzwyczaili się do tego, co było wokół i przejmując atmosferę miasta stali się letni, wpatrzeni tylko w stolicę i stamtąd oczekujący wszelkich decyzji. I wydawało się, że w takim stanie będą trwać przez lata następne. W momencie jednak, kiedy w kraju doszło do zmian podgrzały się emocje i nagle okazało się, że ludzie są tu wyjątkowo podzieleni i rozgoryczeni. I bojąc się chyba przepowiedni: *„Ale, że jesteś letni i ani zimny, ani gorący, będę musiał ciebie wypluć z ust moich"* stali się gorący i poczęli kłócić się między sobą nawzajem z taką gorliwością, jakby pragnęli w jak najkrótszym czasie nadrobić zaległości.

Miastem zainteresowali się ludzie w całym kraju. Wszystkie poważne czasopisma drukowały o nim obszerne artykuły. A po olbrzymich kłopotach w mieście wybrano wreszcie nowego prezydenta. Powiało nadzieją, choć podziały istniejące wcześniej wcale się nie zmniejszyły, a wielu wydaje się dalej, że tylko w stolicy można szukać rozwiązań występujących tu trudności i w dalszym ciągu ślą w tamtym kierunku protestujące lub proszące o dokonanie zmian pisma. No cóż, niełatwo oderwać się od starych przyzwyczajeń. Mieszkańcy żywią jednak nadzieję, że teraz wszystko odmieni się na lepsze. Oby tak się stało, choć będzie to wyjątkowo trudne. Trzeba jednak próbować, innego wyjścia nie ma!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2 Lewym okiem

Pluralizm i niepo-słuszeństwo

Wysłuchałem przez radio rozmowy z obywatelem Czcionką czy może Trzcionką z Opola. Jest on przewodniczącym komitetu organizacyjnego przygotowującego zręby pod założenie w Polsce Towarzystwa Przyjaźni z Polonią Zagraniczną. Komitet organizacyjny opracował już projekt regulaminu towarzystwa, zasady jego działania, nawiązał kontakty w kraju i poza krajem. Na pytanie redaktora, jakie to są zasady i po ich wypunktowaniu przez prezesa, redaktor powiedział ze zdziwieniem:

— Ależ to jest identycznie to samo, co w Towarzystwie Współpracy z Polonią istniejącym już od kilkudziesięciu lat!

— Oczywiście, że to jest to samo, nasza działalność będzie identyczna.

— Wobec czego, po co drugie takie samo towarzystwo?

— Jak to po co? Żeby był pluralizm!

Z odpowiedzi tej wynika, że pluralizm jest potrzebny do tego, żeby był pluralizm. Myślę, że niedobrze jest, kiedy z jakiegoś pojęcia, nawet bardzo istotnego i określającego ważne dziedziny działań ludzkich, czyni się zaklęcie i przypisuje mu jakieś ponadsemantyczne znaczenie. Musi być pluralizm? Załóżmy więc na przykład drugą (oczywiście niezależną) Straż Pożarną, drugie Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, drugą (niezależną) Policję Państwową. Powtarzam tu przymiotnik „niezależne" również używany ostatnio w najdziwniejszych skojarzeniach. Nie zawsze wiem, od czego dana rzecz ma być niezależna. Wiem natomiast, że jeśli na przykład ma powstać w Krakowie niezależna gazeta codzienna, dofinansowywana przez sponsorów amerykańskich, to gazeta ta nie będzie od tych sponsorów niezależna.

W najbardziej liberalnych krajach świata prasa, radio i telewizja opierające swe istnienie na reklamach są absolutnie uzależnione od firm, które te reklamy im powierzają, i nie opublikują nigdy niczego, co byłoby tym firmom nie w smak. Jest to zależność niewątpliwie bardziej kłopotliwa niż uleganie wpływom ideologicznym.

Nie ma chyba takiego pojęcia w żadnym języku świata, które by zawsze i wszędzie miało sens wyłącznie pozytywny lub negatywny. Są takie piękne słowa jak: lojalność, wierność, posłuszeństwo. Ale i te pojęcia nie zawsze są społecznie pozytywne. Istnieją co najmniej dwa zawody, których najwyższą cnotą jest właśnie nieposłuszeństwo. Myślę o zawodzie sędziego i dziennikarza. Oni powinni być jak najbardziej uodpornieni przeciwko wszelkim wpływom, nieposłuszni wobec wszelkich podszeptów i nakazów. Tadeusz Boy-Żeleński wysławiał kiedyś Francuzów, że ustanowili u siebie medal właśnie za nieposłuszeństwo. Medalem tym odznaczano osoby, które uczyniły wiele dobrego społecznie, nie podporządkowując się otrzymanym, legalnym poleceniom.

Nie wiem, czy taki medal obowiązuje we Francji także obecnie. Myślę, że miałby całkowitą rację istnienia nie tylko nad Sekwaną.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Pod prąd

Niepiśmienni są wśród nas

Śledzenie rozwoju cywilizacji ludzkiej jest zajęciem pouczającym i fascynującym. Ileż to bowiem dokonuje się ostatnio rewelacyjnych odkryć naukowych, ilu niewiarygodnych wynalazków! I w jakim tempie wkraczają one do naszego codziennego życia! Ledwo zdołaliśmy dowiedzieć się, co to jest magnetowid czy mikrokomputer a już urządzenia te mamy w domach. Przestała dziwić telewizja satelitarna, szokować możliwości telefaksu, spowszechniały informacje o lotach w kosmos, a dokonywanych przeszczepów serca nikt dziś chyba nawet nie jest w stanie zliczyć, choć od pierwszego minęło przecież dopiero dwadzieścia lat.

Ale jest też druga strona tego zjawiska — ciemna, smutna, a przy tym nie mniej zdumiewająca.

Oto na przykład w Stanach Zjednoczonych, jednym z przodujących krajów świata, żyje — jak wykazały niedawne badania ankietowe — około dwudziestu siedmiu milionów ludzi, którzy praktycznie nie czytają gazet ani książek, nie potrafią wypełnić formularza podatkowego, czy innego druku, zaś towary w supermarkecie rozpoznają jedynie na podstawie widniejącego na opakowaniu rysunku. W prawie sześćdziesięciomilionowej Wielkiej Brytanii co ósmy obywatel nie umie czytać i pisać, a we Francji liczbę analfabetów szacuje się na około sześć milionów, przy czym są to na ogół ludzie, którzy chodzili kiedyś do szkoły, a zatem dano im szanse spełnienia wszelkich wymogów, by mogli stać się pełnowartościowymi członkami nowoczesnego społeczeństwa.

Dlaczego z niej nie skorzystali? Dlaczego wraz z rozwojem wiedzy i techniki liczba analfabetów na świecie wcale nie maleje, a wprost przeciwnie — rośnie? I to nie tylko w biednych, zacofanych krajach Afryki Azji i Ameryki Łacińskiej, co byłoby jeszcze do pewnego stopnia zrozumiałe, ale również — w tych najbardziej rozwiniętych?

Trudno przejść obok tego problemu obojętnie, przyjmując ze spokojem taki właśnie obraz współczesnego świata. Nie sposób też nie dostrzec w tym pewnego zagrożenia, bo co by nie powiedzieć, nie jest to przecież obraz normalny — zgodny z naszymi oczekiwaniami. A zatem jakieś mechanizmy społeczne, ekonomiczne, polityczne zawodzą. Gdzieś musi tkwić w nich błąd. Błąd, którego skutki mogą się w przyszłości okazać zgubne dla wszystkich, dla całego rodzaju ludzkiego.

Wielki pisarz angielski, Herbert George Wells w swym słynnym „Wehikule czasu" zawarł przerażającą wizję społeczeństwa dalekiej przyszłości, podzielonego na dwie grupy, czy też wręcz gatunki: Morloków i Elojów. Ci pierwsi — mądrzy i pracowici — hodowali tych drugich — gnuśnych i głupich — niczym bydło na rzeź i w końcu ich zjadali. Jeśli wizję tę potraktować jako pewną metaforę, to można dostrzec pewne analogie z tym, co obserwujemy już dziś.

No a w Polsce? — zapyta ktoś. Czy my też mamy wtórnych analfabetów? A jeśli tak, to jak wielu?

Niestety, wszystko wskazuje, że nikt tego chyba nie wie, choć bez większego ryzyka można przyjąć, iż owo smutne zjawisko nie ominęło i naszego kraju. Bo fakt, że na co dzień nie bywa postrzegane, niczego nie dowodzi.

Swego czasu — jeśli się nie mylę w latach pięćdziesiątych — nasza propaganda obwieściła tryumfalnie, iż problem analfabetyzmu został w Polsce raz na zawsze rozwiązany. Na ile było to prawdą wtedy? — to jedno, a na ile jest dziś? — to drugie pytanie. W każdym razie pamiętam też dobrze, jak niemalże z dnia na dzień nad Wisłą pojawiły się tysiące narkomanów, których — jak wcześniej twierdziła ta sama propaganda — w ogóle nie było.

Z analfabetami może być podobnie, choć nie przesądzajmy od razu sprawy. Jedno wszakże nie ulega żadnej wątpliwości: jeśli już mieliby się „pojawić", to im wcześniej, tym lepiej.

JÓZEF RETMAN

Morderczy urlop

RYSZARD BINKOWSKI **(3)**

Zenon Leder poruszył głową i spojrzał rezem na legitymację w ręku gościa. Wykonawszy gest znudzonego urzędnika, obleganego przez nachalnych petentów, mruknął bez entuzjazmu:

— Gazetowy, co? Znamy takich! Zagadują, podpytują, a potem cykną dwa zdania albo i nic...

Kobieta o rzadkich siwych włosach, przylegających jak skorupa do czaszki, tupnęła ze złością nabrzmiałą reumatycznie nogą.

— Pan z Łodzi? — zaskrzeczała.

— Tak. Ale pisuję też do gazet w Warszawie.

— Mieliśmy kiedyś rodzinę w Łodzi...

— Słyszałem.

— Gdzie?

— Ano, zgadało się tak jakoś przy wódce.

— Ale gdzie? — naparła kobieta.

— W knajpie, w Białaczowie. Chłopi powiedzieli mi, że pani mąż miał brata, który zginął w tajemniczych okolicznościach. Jego najmłodszy syn, ten co ocalał z pacyfikacji też podobno przepadł bez wieści...

— Aha... Zgadza się! To pogadaj, Zenek, co? — rzekła mniej agresywnie Lederowa, podsuwając gościowi krzesło.

Andrzej Barski przysiadł z brzegu, położył na stole papierosy, zapałki, notes i długopis. Leder zwrócił ku niemu swoją zniszczoną kanciastą twarz. Pobrużdżone policzki ze zdartymi płatami naskórka wyglądały jak opona przed regeneracją.

— Myśmy tu, proszę pana, bez przerwy żyli w strachu i niepewności — zaczął powoli i jakby niechętnie, z namysłem dobierając słowa. — Za przechowywanie Żyda, Ruska czy naszego groziła kula w łeb lub obóz. Mimo to ratowało się wielu ludzi, ja sam miałem na utrzymaniu pięciu warszawiaków. Pan wie, że przez tę wojnę prawie nie znałem pierzyny?

— E-ee, chwalidupa! — sarknęła Lederowa. — Kogo obchodzi twoja pierzyna? Jak byś sypiał poza domem, to skąd by się wzięły dzieci?

— Idź do diabła! Było, jak mówię, redaktorze. Spało się w ubraniu, przeważnie w lesie, w sadzie lub w stodole. A czasem to i w piwnicy albo w zastawionym szafą sabatniku... Kiedyś, chyba tak pod koniec listopada, przyszli do nas Niemcy z własowcami. Rozłożyli na stole mapę i proszą o mleko. A Maryśka — wskazał kciukiem żonę — jak raz wyprowadziła krowę do lasu. Mleka nie ma, bimbru nie ma, a ja pocę się ze strachu, bo w jednej kieszeni grzeje amunicja, w drugiej zaś broń. Naraz oficer pyta, kiedy w Zaborzu była banda. Trzęsę głową jak głupek i mówię, że nie wiem, a partyzanci byli w nocy. No i nic, szwaby palą papierosy, szwargoczą, zahaczają o różne miejscowości, więc podaję kierunki zgodnie z prawdą, bo na stole ta mapa, nie? Wreszcie każą mi wyjść na dwór... — Leder zamilkł z otwartymi ustami, po czym wciągnął do płuc zapas powietrza, kłapiąc przy tym wargami jak stary karp. Wyglądał na zadowolonego z siebie kombatanta, któremu udało się spotęgować napięcie u słuchaczy. — Jak to usłyszałem — podjął — nogi mi zdrętwiały, a w ustach tak jakoś dziwnie, jakbym łyknął gorzkiej soli. Raz kozie śmierć, zanim strzelą w plecy, rozwalę ze trzech z pistoletu, no i wychodzę jak ten skazaniec... Dookoła wieczór, konie aż gryzą sztachety, takie nerwowe i zgłodniałe.. Ruszamy do lasu... Własowcy siedzą sztywnie, jak przypięci do cugli i gapią się przed siebie. A na prawo rozgrzebany kopiec po kartoflach... Skaczę w krzaki, staczam się do dołu, rzucam na łeb zgniłe łęciny i udaję trupa... Chwila ciszy, potem łomot, a śnieg aż fruwa spod kopyt! Okrążyli galopem wieś, kogoś tam pobili nastraszyli, ale za mną nie poszli. Bali się partyzantów... I tak co tydzień, proszę pana, strach i wieczna nagonka...

Leder wziął od Barskiego papierosa. Przypaliwszy rozkasłał się, aż z oczu pociekły mu łzy. W płucach grała mu zepsuta harmonia.

— A ćmij, głupku! — rzuciła zjadliwie żona.

— Truje się, ludzi zamęcza gadaniem, do roboty go nie ma!

Barski zdjął okulary, przetarł przydymione szkła. Miał brunatne źrenice o dziwnie chorobliwym połysku. Podejrzliwy psycholog uznałby pewnie, iż są to zimne oczy człowieka o wrodzonych grzesznych skłonnościach. Uśmiechnął się do Lederowej i założywszy okulary rzekł uprzejmie:

— Przepraszam, ale mąż tak ciekawie opowiada. Nie zabierałbym wam czasu, ale w okolicy krąży pogłoska, jakoby do pacyfikacji przyczynił się ktoś ze wsi. W knajpie mówili o jakimś „człowieku w masce"...

Lederowie poruszyli niespokojnie głowami. Sprawiali wrażenie całkowicie zamkniętych w sobie, dalekich od tamtych spraw. Może czuli się starsi od własnych wspomnień, których obcy nie ma prawa naruszać?

— Przepraszam — bąknął niewyraźnie Barski — wasza rodzina także poniosła ofiary...

Leder spojrzał spod oka na żonę. Wydawało się, że jej przywiędła bezzębna twarz o zapadniętych ustach nasyca się z wolna cichym żalem.

— Miałam dziwne przeczucie, że nie skończy się na zerwaniu kenkart — szepnęła.

— Nie rozumiem?

— No, nad drzwiami wisiały rodzinne kenkarty i oni zrywali je z tych domów, z których ktoś miał być wywieziony albo zabity na miejscu. Mówiłam wtedy, że Niemcy wrócą, ale nikt mnie nie słuchał. Nawet Zenek nie wierzył...

— To prawda — przyznał Leder. — Żona molestowała, żeby zabrać rodzinę do lasu, ale ja byłem pewny, że Niemcy poprzestaną na aresztowaniach. No i przez to zginęła moja matka i dwoje dzieci brata Bolesława, tego, co ożenił się w Łodzi...

— To wina Bolka! — przerwała Lederowa.

Andrzej Barski czuł, jak jego mózg zastyga w czujnym napięciu. Czekał, aż oni sami zaczną mówić o „człowieku w masce" i o cudem uratowanym chłopcu.

— E-ech! — westchnął Zenon. — Wolałbym nie wypowiadać się na ten temat.

— Dlaczego?

— Wie pan, Bolek rzadko bywał w domu i w nic mnie nie wtajemniczał a przy tym zawsze mnie traktował z góry, jak parobka. A jego żona zamiast się tu wziąć za gospodarkę, cięgiem jeździła do Łodzi i niby to handlowała. Ludzie patrzyli przez to na mnie jak na szpicla, a ja nie miałem dowodów, żeby odeprzeć zarzuty.

— A co wam zarzucano?

— Ano, widzi pan, przed pacyfikacją brat był w partyzantce. Został ranny i przepadł jak kamień w wodę. Potem ktoś sobie przypomniał, że naprawiając w lesie kocioł do gotowania bimbru widział człowieka w masce, który przekazywał Niemcom jakieś papiery. Poszła fama, że to mój brat pomógł Niemcom sporządzić listę ludzi do likwidacji, no i tak już zostało...

— Jego żona nie wiedziała, co się stało?

— Właśnie! Ona z początku też nie wiedziała. Bolek odnalazł się dopiero w czterdziestym piątym. Napisał, że przyjadą z żoną, ale się nie zjawili...

— Zaraz, zaraz! — Barski potrząsnął długopisem. — Nie nadążam notować. Co z tym chłopcem?

— No — powiedziała szybko Lederowa — to ten, którego babka ukryła przed śmiercią w kopcu. Znalazłam go pod słomą, przetrzymałam trochę i oddałam matce, która zabrała go do Łodzi. Ale tam też wyginęła rodzina i już do nas nie wrócił...

Czując opuszczające go napięcie, Barski rzekł bez drżenia głosu:

— Być może ten chłopiec żyje...

— Ludzie mówili — powiedział Zenon — że jak Bolek jechał tu z żoną, rozpoznali go leśni i rozwalili oboje. Myślę, że przed pacyfikacją chcieli wykończyć go Niemcy, ale ponieważ im się wymknął, więc zemścili się na rodzinie. Chciałem się czegoś dowiedzieć w Łodzi, ale powiedzieli mi, że chłopcem zaopiekował się ktoś obcy. Ten ktoś zabrał małego z takiej wsi, co nazywa się, o ile pamiętam, Gawronki...

— Panie Leder, a jak się nazywała przed ślubem i gdzie mieszkała pańska bratowa?

Leder popatrzył na żonę, potem na niebo za oknem. Było świetliście lazurowe, ale poprzez korony drzew przenikał już blask zachodu.

— Nazywała się Stanisława Kurowska — rzekł z niechęcią. — Mieszkała blisko nasypu kolejowego, ulica nazywała się chyba Wieniawy albo coś takiego... Numeru nie pamiętam. Tam ich właśnie szukałem.

— A nie próbował pan odnaleźć bratanka?

— A jakże by nie! Szukałem! — wybuchnął naraz Leder, nie zdoławszy zapanować nad głosem i wyrazem twarzy. — Podawałem nawet do Czerwonego Krzyża. Odpisali, że prawdopodobnie ktoś przysposobił chłopca i zmienił mu nazwisko.

Barski zamknął notes.

— Myślę, że chłopiec miał wtedy za mało lat, aby coś zapamiętać. Gdyby żył pod zmienionym nazwiskiem i przeczytał tę historię w gazecie, niczego by nie skojarzył. Mimo to rozejrzę się, bo sprawa jest ciekawa, nadaje się na powieść. Gdybym chciał poznać szczegóły, przyjadę jeszcze kiedyś, dobrze?

— Jak pan chce! — burknęła nieprzyjaźnie Lederowa. — Ja tam nie mam nic do gadania, ale temu nygusowi sprawi pan frajdę.

(...)

Najbliższy sąsiad Barskiego nazywał się Legucki i zajmował piętrowy domek po drugiej stronie ulicy Polesie. Miał fizjonomię skłonnego do zrzędzenia buchaltera, który przyjaźni się jedynie z segregatorem i kalkulatorem na baterie słoneczne.

— Nie wiadomo, panie kapitanie, z czego ten nygus faktycznie żyje — ciągnął tonem tetryka. — Zjawił się tutaj jakieś trzy lata temu, kupił za parę milionów dom z placem i zagrywa światowca, hodując z upodobaniem chwasty. Jest publiczną tajemnicą, że za ten dom płacił częściowo dolarami. A co gorsza, proszę pana, ten podstarzały dandys to zamiłowany siewca rozpusty!

— Nie do wiary!

— Ależ tak, kapitanie! Mówię panu, facet lubi figlować z lubieżności, i to nie tylko od święta. Takim pasożytem powinna zająć się prokuratura albo przynajmniej IRCh-a...

Madej uśmiechnął się zachęcająco.

— Lewe dochody, co?

— Bez wątpienia. Udaje, że pisze do gazet, a od paru dni znowu baluje, szachraj! Takie typy, obywatelu kapitanie, wprowadzają nam kryzys do reformy.

— Tak, to szkodliwy element. Kiedy pan go ostatnio widział?

— Kiedy? Zdaje się, że wrócił skądś we wtorek nad ranem. Tak, na pewno. Ale wieczorem znowu wyjechał...

— O której?

— Chyba o dziesiątej. Pojawił się dopiero dziś w nocy, tak gdzieś około pierwszej...

— Jest pan pewny?

— Jak najbardziej! Słyszałem warkot i widziałem żółtego wartburga przed bramą.

— I to był na pewno Barski? Może pożyczył komuś auto, co?

Legucki położył na szczątkach czupryny swoje pulchne, wypielęgnowane rączki, jakby się bał, że wrzący z emocji mózg wykipi mu przez czaszkę.

— Pan wybaczy, ale nie wiem doprawdy, za kogo pan mnie bierze — wycedził z namaszczeniem. — Owszem, prowadzę nocne życie, lecz to nie znaczy bynajmniej, że oddaję się rozpuście. Czytuję nocami książki, proszę pana, to najlepszy lek na bezsenność. A kiedy zmęczę wzrok, popatruję sobie przez okno na świat. Sądzi pan, że z odległości trzydziestu metrów nie poznałbym sąsiada?

— No, w ciemności...

— Tego satyra z kozią bródką, całego w kolorze blue poznałbym nawet w piekle.

— Przepraszam. Nie chciałem pana urazić.

— Dziękuję. Ach, żeby pan wiedział, jak ja go nie cierpię! Czesze się taki, za przeproszeniem, jak wstrzemięźliwy mnich, a we łbie samo łajdactwo. Te ciemne szkła to nosi chyba po to, by ukryć płonącą w ślepiach żądzę.

— Odpychający typ, prawda?

— Straszne! Tej nocy widziałem go dokładnie, ponieważ otwierał w świetle reflektorów bramę. Wprowadził auto do garażu, zgasił światło i więcej go nie widziałem...

— Obawiam się, że wyjechał gdzieś za dnia.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Bo nie odbiera telefonów. Na dzwonki przy furtce też nie reaguje.

— Gdyby wyjeżdżał, byłbym zauważył.

— Hm... Może więc ma zepsuty dzwonek albo zwyczajnie zapił.

— To też lubi!

— Powiada pan więc, że Barski to nygus, pijak i samotnik. Nikt go chyba nie odwiedzał...

Buchalter uśmiechnął się obleśnie. Westchnął i spuścił oczy z miną chłopca przyłapanego na podglądaniu siostry w wannie.

— Och, tego bym nie powiedział, kapitanie — szepnął wstydliwie.

— Śmiało, panie Legucki!

— No, mężczyzn to on nie przyjmował, ale za to kobiety... Różne się tutaj przewijały, podlotki i takie bardziej dojrzałe. Ale ostatnio tylko jedna, taka szykowna okularnica z dyskretnie siwiejącym włosem. Byłem tym zbulwersowany, bo na kurwę nie wyglądała...

— To cenne spostrzeżenie, panie Legucki. Jasne, pan przecież wie, jak taka powinna wyglądać.

— Tak, ale nie z autopsji bynajmniej! Wie pan, czyta się gazety, ogląda się telewizję.

— Ach, te filmy z pogranicza...

— Nie uwielbiam tego, kapitanie, ale i nie odrzucam. Tylko nie znoszę wulgarności.

— Przepraszam. Po obejrzeniu Smurfów różne myśli pchają się człowiekowi do głowy. Więc mówi pan, że Barski nie opuszczał domu?

— No, mógł się wymknąć bez samochodu...

— Skoro tak, to obawiam się, że zaginął.

— Może umarł? — szepnął z nadzieją buchalter.

— Zobaczymy. Jak będziemy się tam włamywać, poproszę pana na świadka.

W godzinę później na ulicę Polesie wjechał radiowóz ze specjalistami, a za nim strażacki furgon Madeja. Gdy brama i wszystkie drzwi zostały otwarte, kapitan mógł stwierdzić z ulgą, że nie ma tam żadnego trupa. Wydał ludziom polecenia, odprawił lekarza, naciągnął rękawiczki i udał się w towarzystwie Leguckiego na dokładną lustrację wnętrza domu Barskiego. Buchalter, jak to mówią, płonął z emocji, jednakże milczał taktownie, wczuwając się całym sercem w rolę doktora Watsona. Ale w pewnej chwili nie wytrzymał, chwycił Madeja za rękaw i wskazawszy rozrzuconą garderobę szepnął tonem odkrywcy:

— To jest to, kapitanie! W nocy Barski miał na sobie to niebieskie ubranie.

— Dziękuję. Jest pan spostrzegawczy.

Madej pogrzebał w szufladach i na półce z książkami. Odwróciwszy się potrząsnął plikiem banknotów.

— Sporo tego, panie Legucki, prawie sto tysięcy.

— A nie mówiłem, że pasożyt? One sobie tu leżą, a facet hula. Żyje miłością do władzy, no nie?

— Te pieniądze świadczą jedynie, że nie było tu żadnego sprytnego włamania.

Kapitan nie patrząc na Leguckiego położył na biurku pistolet. Był to stary Mauser z ruchomą lufą i ryglowanym zamkiem, wzór 1893—1906.

— Jezus Maria! — rozległ się zdławiony szept. — To bandyta...

— Szczęście, że pan się z nim nie zadawał.

Madej zdjął z półki fotografię z dedykacją na odwrocie.

— Ona! Jak Boga kocham, ona! Przyjeżdżała tu od wiosny.

— Nie myli się pan?

— A gdzieżby! Parę razy, gdy Barski otwierał bramę, wysiadła z auta na ulicy. Kapitanie, on musi być teraz u tej baby!

— Być może... Musiało mu się cholernie spieszyć...

— Taki niby zakochany, prawda?

— Miłość jest ślepa, panie Legucki. Przez to szaleństwo Barski zupełnie stracił głowę. Zostawił auto, zegarek, pieniądze, dokumenty, a nawet tę groźną spluwę, i rzucił się w objęcia kochanki. Kto wie, proszę pana, czy nie pognał przez las w samych gaciach...

Madej wszedł do kuchni, aby nie patrzeć na zgnębionego Watsona. Pozaglądał do garnków i szafek, ale nie znalazł śladów gotowania ani resztek świeżego jedzenia. Połówka chleba była na tyle miękka, że można nią było tłuc kamienie. Pogrzebał w kuble na śmieci, lecz nie było tam nic oprócz fusów, obierzyn, zgniłego jabłka i słodkawego fetoru.

Wrócił do pokoju i nie zwracając uwagi na podnieconego buchaltera, który widocznie coś odkrył, usiadł przy maszynie do pisania. Zapalił papierosa i zaczął czytać relację Barskiego z miejsca, gdzie dokonano interesującego znaleziska archeologicznego.

— Ależ go gnało! — mruknął. — Przerwał w najciekawszym momencie... Ale to jest dowód, że w ostatnich dniach przebywał w okolicach Bydgoszczy...

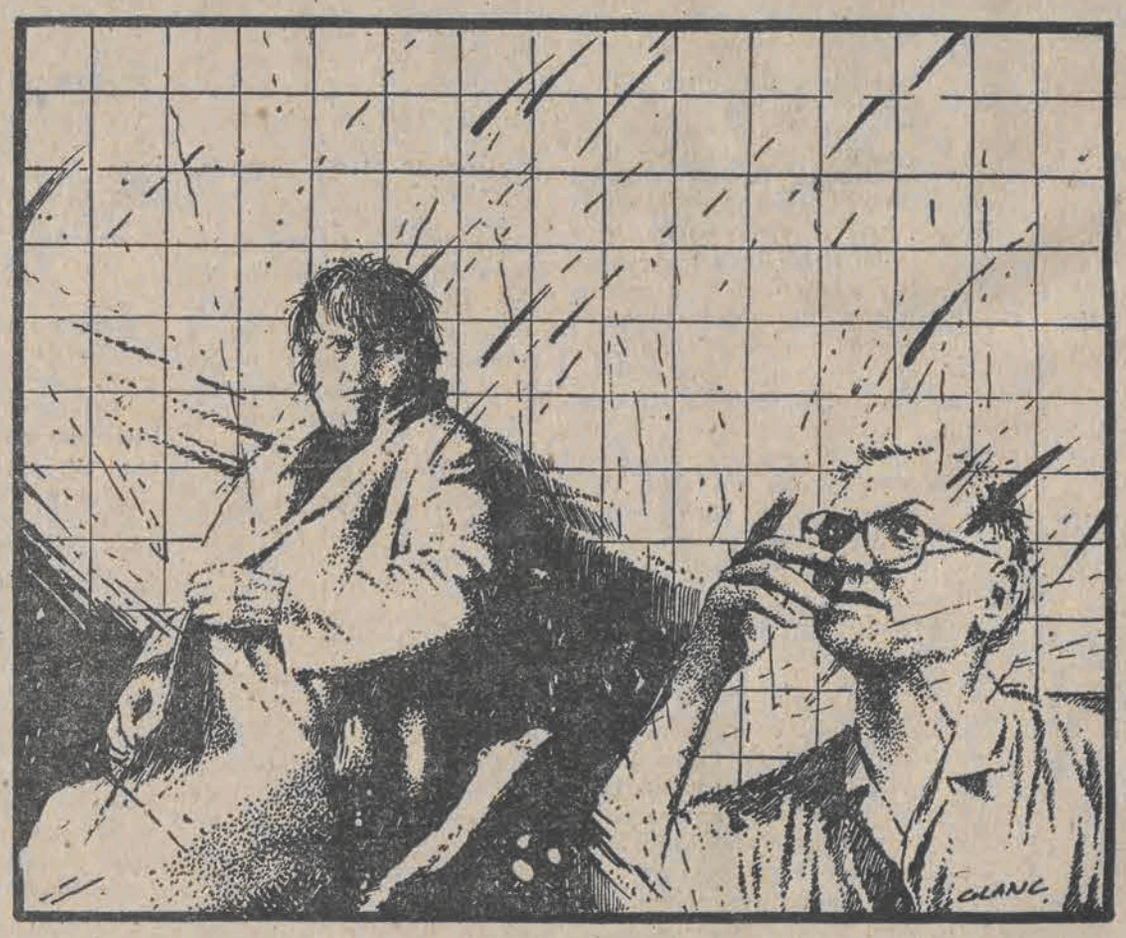

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wszystkie postacie w tej powieści — łącznie z głównym bohaterem — są dziełem fikcji literackiej i nie mają nic wspólnego z realnymi osobami